

BARSOOM IX

Edgar Rice Burroughs

SZTUCZNI LUDZIE Z MARSA



Wyjątkowa seria z amerykańską, brytyjską i rosyjską science fiction i fantasy

Książki i e-booki Edgara Rice'a Burroughsa w serii Galaktyka Gutenberga:



cykl Barsoom

Księżniczka Marsa

Bogowie Marsa

Władca Marsa

Thuvia, wojowniczką Marsa

Szachiści Marsa

Władca umysłów z Marsa

Wojownik Marsa

Miecze Marsa

Sztuczni ludzie z Marsa

Llana z Gathol

cykl Pellucidar

We wnętrzu Ziemi

Pellucidar

Tanar z Pellucidaru

Tarzan w Pellucidarze

Powrót do epoki kamienia

Kraina Grozy

Serię można subskrybować w całości. Dla subskrybentów specjalne edycje powieści i zbiorów opowiadań znanych pisarzy amerykańskich.

Seria dostępna wyłącznie w księgarni Solarisnet.pl

Edgar Rice Burroughs

**SZTUCZNI LUDŹIE
Z MARSJA**

Przełożył
Tomasz Walenciak

Spis treści

Wyjątkowa seria...

Karta tytułowa

1. GDZIE JEST RAS TAVAS?
2. MISJA WODZA
3. NIEPOKONANI WOJOWNICY
4. TAJEMNICA BAGIEN
5. SĄD JEDÓW
6. RAS THAVAS, NAJWIĘKSZY UMYŚŁ MARSA
7. KADZIE ŻYCIA
8. CZERWONY ZABÓJCA
9. PRZEMIANA W HORMADĘ
10. ZNAJDUJĘ JANAI
11. WOJNA SIEDMIU JEDÓW
12. NAGRODA WOJOWNIKA
13. ZNIKA JOHN CARTER
14. KIEDY ROŚNIE POTWÓR
15. ODNALEZIENI
16. JEDDAK ZABIERA GŁOS
17. BEZ WYJŚCIA
18. WYSPA ZDRADY
19. NOCNA UCIECZKA
20. WIELKI JED GOOLIE
21. POJEDYNEK NA ŚMIERĆ I ŻYCIE

22. DO PHUNDAHL!
23. WIĘŹNIOWIE AMHOR
24. UWIĘZIONY
25. KSIĄŻĘ W ZOO
26. UKĄSZENIE ŻMII
27. ZNOWU W OPAŁACH
28. WIELKA FLOTA
29. POWRÓT DO MORBUS
30. KONIEC DWÓCH ŚWIATÓW
31. KONIEC PRZYGODY

1.

GDZIE JEST RAS TAVAS?

Od Phundahl na zachodnim skraju po Toonol na wschodzie, Wielkie Mokradła Toonol obejmują tysiąc osiemset mil dogorywającej planety niczym nieczysty, gargantuiczny, jadowity gad – pełne trujących wyziewów bagna, przeplatane krętymi, wąskimi kanałami, które łączą występujące tu i ówdzie otwarte zbiorniki wodne, niewielkie jeziora o powierzchni najwyżej kilku akrów. Monotonię bagien, dżungli i wody przerywają od czasu do czasu skaliste wyspy, szkielet prastarego pasma górskiego, porośnięte na ogół zieloną dżunglą.

Pozostałe rejony Barsoom posiadają niewielką wiedzę na temat tej części planety, ponieważ tę niegościnną krainę zamieszkują straszliwe gady, dzikie zwierzęta i żyjące od dawna w izolacji resztki pierwotnych plemion, na obu krańcach zaś strzegą jej pozostające we wrogich stosunkach kraje Phundahl i Toonol, prowadzące ze sobą ustawiczną wojnę i nie zalecające nawiązywania relacji z innymi narodami.

Niemal przez tysiąc lat na wyspie w pobliżu Toonol prowadził laboratorium Ras Thavas, największy umysł Marsa, dopóki jeddak Toonol, Vobis Kan, nie zwrócił się przeciw niemu i nie wypędził go z domu na wyspie, po czym odparł armię Phundahl pod wodzą Gor Hajusa, zabójcy z Toonol, który próbował odzyskać wyspę i zwrócić Ras Thavasowi jego siedzibę, po tym jak ten obiecał, że przestanie marnotrawić swoje talenty i wiedzę dla niskich pobudek chciwości i grzechu, a zamiast tego użyje ich, aby ulżyć ludzkim cierpieniom.

Po klęsce tej ekspedycji Ras Thavas zniknął i został praktycznie zapomniany, zupełnie jakby zmarł, co zresztą podejrzewali ci, którzy go znali. Ale byli i tacy, którzy nie mogli go zapomnieć. Valla Dia, księżniczka Duhor, której mózg przeniósł do czaszki Xaxy – odrażającej jeddary Phundahl, aby podarować jej młode i piękne ciało księżniczki. Vad Varo, jej mąż, dawny asystent Ras Thavasa, który pomógł jej odzyskać ciało, urodzony jako Ulysses Paxton w Stanach Zjednoczonych Ameryki i prawdopodobnie poległy w leju po pocisku artyleryjskim we Francji. A wreszcie wódz Marsa i książę Helium, John Carter, którego wyobraźnię zaintrygowały opowieści Vad Varo o niezwykłych zdolnościach największego chirurga i naukowca całego Barsoom.

Nie zapomniał o Ras Thavasie, a kiedy zdarzył się wypadek, w którym talent największego z chirurgów pozostał jego jedyną nadzieją, postanowił ruszyć na jego poszukiwania i odnaleźć naukowca, o ile ten nadal żył. Żona Cartera, księżniczka Dejah Thoris, doznała straszliwych obrażeń w kolizji dwóch statków powietrznych i przez wiele tygodni leżała nieprzytomna z pogruchatym i poskręcany karkiem, aż najwybitniejsi lekarze Helium porzucili wszelką nadzieję. Ich umiejętności pozwalały tylko utrzymać ją przy życiu, ale nie potrafili jej wyleczyć.

Ale jak znaleźć Ras Thavasa? Oto było pytanie. John Carter przypomniał sobie wtedy, że Vad Varo był kiedyś asystentem wielkiego chirurga. Może gdyby nie udało się znaleźć mistrza, umiejętności ucznia okazałyby się wystarczające? Poza tym, spośród wszystkich mieszkańców planety to Vad Varo mógł z największym prawdopodobieństwem znać miejsce pobytu Ras Thavasa. Tak oto John Carter postanowił udać się najpierw do Duhor.

Wybrał ze swojej osobistej floty niewielki, szybki statek nowego typu, rozwijający prędkość czterystu mil na godzinę – ponad dwa razy więcej od starszych jednostek, na których uczył się latać w rzadkiej marsjańskiej atmosferze. Poleciałby sam, ale Carthoris, Tara i Thuvia prosili, aby tego

nie robił. Ostatecznie uległ im i zgodził się zabrać ze sobą oficera swojej osobistej gwardii, młodego padwara imieniem Vor Daj. To jemu zawdzięczamy tę niezwykłą opowieść o zaskakujących marsjańskich przygodach, oraz Jasonowi Gridleyowi, którego odkrycie fal Gridleya pozwoliło mi wysłuchać jej w Tarzanie przez specjalny odbiornik skonstruowany przez wynalazcę, a także Ulyssesowi Paxtonowi, który przełożył ją na angielski i nadał przez czterdzieści milionów mil przestrzeni kosmicznej.

Przekazuję tę opowieść w formie tak bliskiej pierwotnym słowom Vor Daja, na ile pozwala przejrzystość. Niektóre z marsjańskich słów i zwrotów nie dają się przełożyć na ziemski język, podobnie miary czasu i odległości podane są zazwyczaj moimi własnymi słowami; zdarzają się również moje wtrącenia, których autorstwa nie opatrzyłem przypisem, uznawszy że ich źródło będzie dla czytelnika oczywiste. Ponadto, tekst został też bez wątpienia w pewnej mierze zredagowany przez Vad Varo.

Rozpocznijmy zatem tę niezwykłą opowieść, zrelacjonowaną przez Vor Daja.

2.

MISJA WODZA

Na imię mam Vor Daj i jestem padwarem osobistej straży Wodza. Według miary wieku Ziemiaków, dla których – jak rozumiem – spisuję tę relację o moich przygodach – powinienem już dawno temu umrzeć ze starości, ale na Barsoom jestem jeszcze bardzo młodym człowiekiem. John Carter powiedział mi kiedyś, że jeśli Ziemiak dożyje stu lat, staje się przedmiotem powszechnego zainteresowania. Marsjanin przeżywa zwykle tysiąc lat od chwili, kiedy przebije skorupę jaja, w którym spoczywał przez pięć lat, i wyłoni się z niej jako bliska pełnej dojrzałości fizycznej dzika istota, którą trzeba oswoić i wyszkolić niczym młode udomowionych przez ludzi niższych stworzeń. Nauka ta zaś do tego stopnia skupia się na wojnie, że czasami zdaje mi się, iż wyszedłem z jaja mając już na sobie uprzęż i broń wojownika.

Tyle wystarczy tytułem przedstawienia. Wystarczy, że wiecie, jak się nazywam, oraz że jestem wojownikiem, który poświęcił życie służbie Johnowi Carterowi.

Naturalnie, czułem się zaszczycony, kiedy Wódz wybrał mnie na towarzysza w poszukiwaniach Ras Thavasa, choć zadanie wydawało się prozaiczne i nie oferowało wiele poza możliwością spędzenia czasu z Wodzem oraz służenia jemu i księżniczce, niezrównanej Dejah Thoris. Jak mało wiedziałem o tym, co mnie czekało!

John Carter zamierzał udać się najpierw do Duhor, położonego o jakieś dziesięć i pół tysiąca haadów albo około czterech tysięcy mil ziemskich

na północny zachód od bliźniaczych miast Helium. Tam spodziewał się znaleźć Vad Varo, od którego miał nadzieję usłyszeć o miejscu pobytu Ras Thavasa, który – poza być może samym Vad Varo – był jedyną osobą na świecie, której wiedza i umiejętności mogły ocalić Dejah Thoris przed grobem, od którego od paru tygodni niewiele ją dzieliło, i przywrócić jej zdrowie.

Była 8:29 (12:13 przed południem czasu ziemskiego), kiedy nasz zgrabny, szybki statek wzniósł się z lądowiska na pałacowym dachu. Thuria i Cluros pędziły po rozgwieżdżonym niebie, rzucając zmieniające się stale, podwójne cienie na krajobraz w dole, i tworząc złudzenie niezliczonych rzeszy płynących stale niespokojnym ruchem żywych istot lub skłębionej i kipiącej, wzbierającej fali płynnego światła. Według słów Wodza zupełnie różną od widoku światła samotnego ziemskiego satelity, który przemierza sklepienie niebieskie statecznym, majestatycznym tempem.

Nastawiwszy kompas nawigacyjny na Duhor i obroty pracującego w idealnej ciszy silnika, nie musieliśmy zaprzętać sobie głowy nawigacją. O ile nie zdarzyłoby się coś nieprzewidzianego, statek miał lecieć prostym kursem do Duhor i zatrzymać się nad miastem. Czuły wysokościomierz ustawiony był tak, aby utrzymywał pułap 300 adów (około 3000 stóp), z dodatkowym marginesem bezpieczeństwa 50 adów. Innymi słowy, miał trzymać się na wysokości 300 adów nad poziomem morza, ale podczas przelotu nad górzystymi okolicami delikatne urządzenie działające na stery statku przy zbliżaniu się do jakiegokolwiek wzniesienia sięgającego poniżej ustawionej odległości pod kilem, miało pomóc naszemu pojazdowi zachować prześwit co najmniej 50 adów (około 490 stóp). Najlepiej chyba opisać działanie tego mechanizmu, prosząc abyście wyobrazili sobie ustawiający się automatycznie aparat, który można nastawić na dowolną odległość, poza którą zawsze osiąga idealne skupienie. Zbliżając się do przedmiotu znajdującego się w odległości mniejszej niż ta, na którą został nastawiony, mechanizm samoczynnie wprowadza poprawkę. W ten

sam sposób urządzenie to działa na stery statku, każąc maszynie wznosić się do osiągnięcia zadanego pułapu. Urządzenie jest przy tym tak czułe, że z tą samą dokładnością działa w świetle gwiazd, co w pełnym blasku słońca. Przestałoby funkcjonować dopiero w kompletnej ciemności, ale nawet to ograniczenie przewyżczono, używając w rzadkich chwilach, kiedy marsjańskie niebo zaciąga się chmurami, niewielki promień światła kierowany w dół od kilu statku.

Ufni w niezawodność nawigacji, nie zachowaliśmy czujności i przespaliśmy całą noc. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, ale John Carter nie zganił mnie, ponieważ jak sam zaraz przyznał, wina leżała tak samo po jego jak po mojej stronie. W gruncie rzeczy, wziął na siebie całą odpowiedzialność, twierdząc, że zawinił wyłącznie on.

Dobrze po wschodzie słońca odkryliśmy, że z naszą pozycją lub szybkością coś było zdecydowanie nie w porządku. Powinniśmy widzieć przed sobą otaczające Duhor spowite śniegiem wzgórza Artolian, ale zamiast tego patrzyliśmy na porośnięte żółtawym mchem rozległe dno wyschniętego morza i niskie wzgórza w oddali.

Sprawdziliśmy zaraz położenie, odkrywając, że znaleźliśmy się około 4500 haadów na południowy wschód od Duhor; czy też dokładniej 150 stopni na zachód i 15 stopni na północ od Exum. To oznaczało, że byliśmy około 2600 haadów na południowy zachód od Phundahl, położonego na zachodnim skraju Wielkich Mokradeł.

John Carter sprawdzał dokładnie urządzenie nawigacyjne. Wiedziałem, że opóźnienie było dla niego gorzkim rozczarowaniem. Kto inny utyskiwałby pewnie na swój los, ale on powiedział tylko:

– Igła wygięła się lekko, choć na tyle mocno, żeby sprowadzić nas z kursu. Może to i dobrze: w Phundahl prędzej będą wiedzieć, gdzie jest Ras Thavas, niż w Duhor. Naturalnie, najpierw pomyślałem o Duhor, ponieważ tam mogliśmy być pewni przyjaznego przyjęcia.

– Z tego, co słyszałem o tym miejscu, to o wiele więcej niż możemy spodziewać się w Phundahl.

Skinął głową.

– Niemniej, polecimy tam. Dar Tarus, tutejszy jeddak, utrzymuje przyjazne stosunki z Vad Varo. Możliwe, że okaże przychylność również jego przyjacielowi. Ale na wszelki wypadek wejdziemy do miasta jako pantani.

– Pomyślą, że wysoko zaszliśmy – powiedziałem z uśmiechem. – Dwóch pantanów w księżącym statku Wodza Barsoom!

Pantani to wędrowni najemnicy, sprzedający swoje usługi i miecz temu, kto płaci. Ich zarobki są zwykle niskie, ponieważ wszyscy wiedzą, że wolą walkę od jedzenia, nie trzeba im więc dużo płacić. Z kolei to, co najemnicy otrzymają, wydają tak rozrzutnie, że po krótkim czasie znów są bez grosza.

– Nie zobaczą statku – oznajmił John Carter. – Ukryjemy go gdzieś zanim udamy się do miasta. Przez bramy Phundahl przejdiesz pieszo w prostej uprząży, Vor Daju. – Uśmiechnął się. – Oczywiście, zdaję sobie sprawę, jak bardzo moi oficerowie lubią takie spacery.

Lecąc dalej w stronę Phundahl, pozbyliśmy się z uprząży odznak i ozdób, aby stanąć w bramie w prostym stroju bezrobotnych pantanów. Wiedzieliśmy, że nawet mogli nas nie wpuścić do miasta, ponieważ Marsjanie zawsze są podejrzliwi w stosunku do obcych, a tutejszym szpiegom zdarza się korzystać z przebrania najemników. Przy mojej pomocy, John Carter natarł swoją jasną skórę pigmentem w kolorze czerwonej miedzi, który nosi przy sobie na wypadek, gdyby musiał ukryć swoją tożsamość i odgrywać rolę rodowitego czerwonoskórego mieszkańca Barsoom.

Dostrzegłszy w oddali Phundahl, zesliśmy tuż nad powierzchnię, kryjąc się za wzgórzami przed wzrokiem wartowników na murach. Wylądowaliśmy o parę mil od celu podróży, w małym jarze nieopodal niewielkiego zagajnika drzew sompusa, między które wprowadziliśmy

ostrożnie nasz pojazd. Zdemontowaliśmy dźwignie sterów i zakopaliśmy je niedaleko statku, oznaczając cztery otaczające je drzewa, aby z łatwością znaleźć skrytkę po powrocie – o ile miał on kiedykolwiek nastąpić. Następnie ruszyliśmy pieszo do Phundahl.

3.

NIEPOKONANI WOJOWNICY

Niedługo po tym, jak najemnik z Wirginii przybył na Marsa, zielonoskórzy Marsjanie, którzy go schwytali, nadali mu miano Dotar Sojat. Z upływem lat imię to praktycznie zapomniano, ponieważ używało go przez krótki czas tylko paru członków dzikiej hordy. Wódz postanowił przyjąć je na czas trwania naszej przygody, podczas gdy ja pozostałem przy swoim, zupełnie nieznanym w tej części świata. I tak oto dwaj wędrowni najemnicy, Dotar Sojat i Vor Daj, maszerowali z mozołem przez niskie wzgórza na zachód od Phundahl w cichy marsjański poranek. Żółtawy mech nie wydawał żadnych odgłosów pod naszymi obutymi w sandały stopami. Posuwaliśmy się naprzód cicho jak nie odstępujące nas zarysowane ostrymi konturami cienie. Milczące ptaki o barwnych piórach przyglądały się nam z gałęzi drzew skeel i sorapusa, ciche jak piękne owady unoszące się wokół olśniewających kwiatów pimalii i gloresty, porastających gęsto każde zagłębienie między wzgórzami, gdzie najdłużej utrzymywała się skąpa ilość wilgoci obecna w atmosferze Barsoom. Mars to świat wielkiej ciszy, w którym nawet obdarzone głosem stworzenia unikają hałasu, jakby przytłumione świadomością zbliżającej się śmierci, ponieważ Mars jest też światem umierającym. Nie znosimy hałasu, stąd nasze głosy, podobnie jak muzyka, są ciche i miękkie; unikamy też wielomówstwa. John Carter opowiadał mi o zgiełku ziemskich miast, o instrumentach dętych, bębnach i cymbałach ziemskiej muzyki, o pozbawionym znaczenia ustawicznym

trajkotaniu milionów głosów rozprawiających o niczym. Jestem zdania, że tego rodzaju rzeczy wpędziłyby Marsjan w obłąd.

Nie zeszliśmy jeszcze ze wzgórz i nie zobaczyliśmy miasta, kiedy naszą uwagę przyciągnęły dźwięki w górze za nami. Odwróciliśmy się jednocześnie, a naszym oczom ukazał się widok tak zdumiewający, że nie dowierzaliśmy świadectwu własnych zmysłów. W naszą stronę leciało około dwudziestu ptaków. Samo w sobie byłoby to już dostatecznie zdumiewające, ponieważ z łatwością rozpoznaliśmy w nich malagory, gatunek od dawna uznany za wymarły. Ale widok był jeszcze bardziej niewiarygodny, ponieważ każdego z wielkich ptaków dosiadał wojownik. Widać było wyraźnie, że nas zauważyli, więc wszelkie próby ukrycia się przed nimi były już daremne. Schodzili coraz niżej i wkrótce zaczęli zataczać wokół nas kręgi. Mogąc przyjrzeć im się bliżej, odniosłem wrażenie, że w wyglądzie wojowników było coś groteskowego. Mieli w sobie coś nieludzkiego, choć w oczywisty sposób byli podobnymi do nas istotami ludzkimi. Jeden z nich wiozł przed sobą kobietę, usadowioną na karku wielkiego ptaka, ale ponieważ nie przestawali się poruszać, nie mogłem przyjrzeć się dobrze jemu ani pozostałym.

Po krótkim czasie cała dwudziątka wylądowała w kręgu wokół nas i pięciu wojowników zsiadło z wierzchowców, ruszając w naszą stronę. Dopiero teraz zobaczyłem, co sprawiało, że wyglądali tak nienaturalnie. Przypominali nieudane wprawki kiepskiego rysownika, ożywione karykatury ludzi. Nie mieli w sobie żadnej symetrii. U jednego lewa ręka miała tylko stopę długości, podczas gdy prawa była tak długa, że idąc powłóczył dłonią po gruncie. U drugiego czoło zajmowało cztery piąte twarzy, podczas gdy jeszcze inny miał tak samo nieproporcjonalną dolną część głowy. Oczy, nosy i usta były na ogół przemieszczone i nieproporcjonalnie wielkie lub małe w stosunku do sąsiednich części twarzy. Ale był jeden wyjątek: wojownik, który zsiadł właśnie z malagora i ruszył za zbliżającą się do nas piątką. Przystojny i dobrze zbudowany,

miał na sobie wysokiej jakości broń i strój, solidne bojowe wyposażenie. Nosił insygnia dwara, rangi porównywalnej z kapitanem w waszych ziemskich armiach. Na jego rozkaz, pięć groteskowych istot zatrzymało się, a on sam zwrócił się do nas.

– Pochodzicie z Phundahl? – zapytał.

– Przybywamy z Helium – odpowiedział John Carter. – Tam ostatnio pracowaliśmy. Jesteśmy pantanami.

– Jesteście moimi więźniami. Rzućcie broń.

Na wargach Wodza zagościł uśmiech.

– Chodź i zabierz mi ją – powiedział, rzucając wojownikowi wyzwanie.

Ten wzruszył ramionami.

– Jak chcecie. Mamy nad wami przewagę dziesięciu do jednego. I tak zabierzemy was ze sobą, ale możemy was przy tym zabić. Dlatego okażcie rozsądek i poddajcie się.

– Ty zaś okażesz rozsądek, pozwalając nam pójść własną drogą, skoro nie mamy z tobą żadnego zatargu. Ale jeśli go szukasz, nie zginiemy sami.

Dwar posłał mu nieprzenikniony uśmiech.

– Twoja wola – powiedział, po czym odwrócił się do swoich wojowników i rzucił: – Brać ich!

Kiedy ruszyli w naszą stronę, wbrew etyce kierującej zachowaniem marsjańskich oficerów, nie było go wśród atakujących. Został z tyłu, choć powinien osobiście poprowadzić ich do walki i dodawać odwagi własnym przykładem.

Sięgnęliśmy po miecze i stanęliśmy plecami do siebie, przodem zaś do otaczających nas szkaradnych istot. Ostrze Wodza snuło wokół niego sieć ostrej jak brzytwa stali, ja zaś robiłem, co w mojej mocy, aby chronić księcia i bronić honoru swojej rangi. Sprawilem się dobrze, ponieważ sam John Carter, największy ze wszystkich szermierzy, uważa że świetnie władam mieczem. Przeciwnicy w ogóle nie dorównywali nam sprawnością. Nie zdołali przebić się przez obronę, choć walczyli z lekceważeniem życia,

podchodząc pod nasze ostrza i wracając za chwilę po dokładkę. W całym tym koszmarnym starciu to właśnie było najbardziej zniechęcające. Co i rusz przebijałem kogoś tylko po to, by zaczął się cofać, zsuwając się z mojego ostrza, po czym atakował mnie ponownie. Zdawali się nieczuli na szok i ból, oraz całkowicie nieświadomi, czym był strach.

Uciąłem jednemu ramię w barku, a kiedy inny zwał się ze mną, okaleczony schylił się, podniósł miecz drugą ręką i rzucił odciętą kończynę na bok. John Carter pozbawił jednego z przeciwników głowy, ale ciało biegło nadal, siekąc i tnąc w niepowstrzymanym szale, dopóki dwar nie wydał kilku innym żołnierzom polecenia, żeby złapali je i rozbroili, podczas gdy głowa leżała cały czas w piachu, krzywiąc się i wykrzykując obelgi.

To był pierwszy przeciwnik, którego udało nam się trwale unieszkodliwić, i podpowiedziało nam to, w jaki sposób wyłącznie mogliśmy ich pokonać.

– Staraj się celować w szyję, Vor Daj! – zawołał Wódz, pozbawiając głowy kolejnego.

Widok był doprawdy makabryczny. Stworzenie nie przestało walczyć, choć jego głowa leżała na piachu, klnąc i krzycząc głośno. John Carter musiał je rozbroić, a wtedy rzuciło się do przodu, uderzając go pełną masą bezgłowego tułowia tuż pod kolanami i pozbawiając równowagi. Na szczęście, zobaczyłem, co się działo, ponieważ w przeciwnym wypadku kolejna istota przebiłaby Wodza mieczem. Zdażyłem w samą porę i wyprowadziłem czyste cięcie, które strąciło jej głowę z barków na piasek. Pozostało tylko dwóch przeciwników, ale dwar odwołał ich właśnie.

Wrócili do wierzchowców i widziałem, że oficer wydawał im jakieś polecenia, ale nie słyszałem, co mówił. Pomyślałem, że poddadzą się i odlecą, ponieważ kilku wzbiło się właśnie w powietrze, ale dwar nie wrócił na siodło. Stał tylko, przyglądając się nam. Ci, którzy wystartowali, krążyli tuż nad nami poza zasięgiem mieczy. Tymczasem część ich

towarzyszy zsiadła z malagorów i zbliżała się do nas, ale oni również trzymali się na odległość. Trzy ucięte głowy leżały na ziemi, zasypując nas obelgami. Dwa bezgłowe ciała zostały już rozbrojone i związane, podczas gdy trzecie miotało się w tę i z powrotem, ścigane przez kilku wojowników, próbujących złapać je w sieci, które zarzucali za każdym razem, kiedy zdołali podejść dostatecznie blisko.

Ogarnąłem to wszystko kątem oka, ponieważ całą moją uwagę pochłaniali krążący nad nami wojownicy. Próbowałem zgadnąć, w jaki sposób zamierzali nas zaatakować, i moja ciekawość została wkrótce zaspokojona. Odpiąwszy owijające ich w talii sieci, które wziąłem wcześniej za element ich stroju, zaczęli rozciągać je nad nami, próbując nas złapać. Z coraz większym przekonaniem o daremności obrony, próbowaliśmy przeciąć sploty, a choć udało nam się to w kilku miejscach, nie zdołaliśmy się wymknąć i kiedy rzucili sieci na nas, zaplątaliśmy się w nie bezradnie. Dopiero teraz otaczający nas piesi rzucili się na nas i związali. Stawialiśmy opór, ale nawet Wódz mimo swojej siły, nie mógł poradzić sobie z oplatającymi na sieciami i brutalną siłą szkaradnych stworzeń, które miały nad nim olbrzymią przewagę liczebną. Pomyślałem, że teraz nas zabiją, ale cofnęły się na rozkaz dwara.

Krążący w powietrzu wylądowali i zebrali sieci. Podnieśli też kilka głów i rąk, po czym przyczepili je razem z bezgłowymi ciałami do grzbietów malagorów. Kiedy byli tym zajęci, oficer podszedł porozmawiać z nami. Wyglądało na to, że nie żywił do nas urazy za obrażenia wyrządzone wojownikom i skomplementował naszą odwagę i wprawę we władaniu mieczem.

– Okazalibyście jednak rozsądek, słuchając mojej rady i poddając się od razu – dodał. – Cud, że nie zginęliście ani nie odnieśliście poważnych ran. Ocaliła was tylko wasza niezwykła biegłość w walce.

– Jedyne cud, jaki się tu zdarzył, to ten, że twoi ludzie w ogóle wyszli z tego z głowami. Ich umiejętności szermierki są doprawdy pożałowania

godne – odpowiedział John Carter.

Dwar uśmiechnął się.

– Całkowicie się z tobą zgadzam, ale braki w technice nadrabiają z nawiązką brutalną siłą i nieustraszoną oraz tym, że aby ich obezwładnić, trzeba posiekać ich na kawałki. Jak już pewnie zdążyłeś zauważyć, nie da się ich zabić.

– Skoro już jesteśmy twoimi więźniami, co zamierzasz z nami zrobić? – zapytał Wódz.

– Zabiorę was do moich przełożonych. To oni zadecydują. Jak się nazywacie?

– To jest Vor Daj, a ja jestem Dotar Sojat.

– Przybywacie z Helium i zdążyliście do Phundahl. Po co?

– Mówiłem już, że jesteśmy pantanami. Szukamy pracy.

– Macie w Phundahl przyjaciół?

– Ani jednego. Nigdy tam nie byliśmy. Gdybyśmy po drodze trafili na inne miasto, zaoferowalibyśmy tam swoje usługi. Wiesz, jak to jest z najemnikami.

Mężczyzna skinął głową.

– Może jeszcze zaznacie walki.

– Czy mógłbyś mi powiedzieć, jakiego rodzaju stworzeniami są twoi wojownicy? – zapytałem. – Nigdy nie widziałem podobnych do nich istot.

– Ani ty, ani nikt inny – odrzekł. – To hormadowie. Polubisz ich tym bardziej, im rzadziej będziesz ich widywał. A teraz, skoro musicie przyznać, że jesteście moimi jeńcami, mam pewną propozycję. Gdybyście mieli lecieć do Morbus w pętach, podróż byłaby dla was niezwykle uciążliwa, a nie chcę narażać tak dzielnych wojowników na niepotrzebne niewygody. Obiecacie, że nie będziecie próbowali ucieczki, dopóki nie dotrzemy do miasta, a rozwiążę was.

Najwyraźniej dwar był całkiem przyzwoitym człowiekiem, wobec czego chętnie przystaliśmy na jego propozycję. Własnoręcznie zdjął nam więzy,

po czym wskazał nam ptaki, których mieliśmy dosiąść z jego wojownikami. Dopiero teraz przyjrzałem się bliżej kobiecie wiezionej przez jednego z hormadów. Nasze spojrzenia spotkały się przez chwilę i ujrzałem w jej oczach bezradność i przerażenie. Zdążyłem też zauważyć, że była piękna, po czym ogromne ptaki wzbiły się w niebo z głośnym łopotem skrzydeł i ruszyliśmy w drogę do Morbus.

4.

TAJEMNICA BAGIEN

U boku malagora, którego dosiadałem, wisiała w sieci jedna z głów, które ścięliśmy ich właścicielom podczas starcia z hormadami. Zaciekawilo mnie, dlaczego postanowili zachować to makabryczne trofeum. Przypuszczałem, że to jakiś przesąd lub tradycja nakazywała im zabrać ciało na wieczny spoczynek z powrotem do ojczyzny.

Lecieliśmy na południe od Phundahl, które dowódca najwyraźniej starał się ominąć. Z przodu, jak okiem sięgnąć, rozciągały się bezkresne Mokradła Toonol – labirynt krętych strumieni, wijących się przez bezludne bagno, z którego miejscami wyrastały skaliste wysepki, oznaczone tu i ówdzie ciemniejszymi obszarami lasu i błękitem maleńkich jezior.

Patrząc na rozciągającą się w dole panoramę, usłyszałem nagle czyjś płaczliwy głos:

– Odwróć mnie! Nie widzę niczego poza brzuchem tego ptaka!

Zdawało się, że głos dobiegał z dołu. Spuściwszy wzrok, przekonałem się, że mówiła wisząca w sieci głowa! Leżała twarzą do góry, w stronę brzucha malagora, nie mogąc obrócić się ani poruszyć. Widok tej martwej, mówiącej istoty był iście makabryczny i muszę przyznać, że zadrzałem.

– Nie mogę cię odwrócić – powiedziałem. – Nie sięgnę cię. Zresztą co za różnica, czy oczy masz zwrócone w tę czy tamtą stronę? Nie żyjesz, a umarli nie widzą.

– Gdybym był martwy, czy potrafiłbym mówić, ty bezmózgi kretynie? Nie zginąłem, ponieważ to niemożliwe. Nie da się mnie pozbawić esencji

życia; przenika ona wszystkie moje tkanki. O ile moje ciało nie zostanie całkowicie zniszczone, na przykład ogniem, będzie żyć, a to, co żyje, musi rosnać. Takie jest prawo natury. A teraz odwróć mnie, ty tępy kłocu! Potrząśnij siecią albo podciągnij ją i obróć mnie.

No cóż, manieri stworzenia nie należały do najlepszych, ale pomyślałem, że gdyby to mi ucięto głowę, zapewne też byłbym rozdrażniony, zacząłem więc potrząsać siecią, aż głowa odwróciła się na bok, zwrócona w innym kierunku niż brzuch malagora.

– Jak cię nazywają? – zapytała.

– Vor Daj.

– Zapamiętam to imię. Może ci się przydać przyjaciel w Morbus. Zapamiętam cię.

– Dzięki – powiedziałem. Zastanawiałem się, na co mógł mi się przydać przyjaciel pozbawiony ciała. Ciekawiło mnie również, czy fakt, że potrząsnąłem dla tej istoty siecią, przeważy ten, że pozbawiłem ją głowy. Aby okazać uprzejmość, zapytałem głowę o imię.

– Nazywam się Tor-dur-bar – odpowiedziała. – Sam Tor-dur-bar, we własnej osobie. Masz wielkie szczęście, że jestem twoim przyjacielem. Jestem kimś naprawdę niezwykłym. Zrozumiesz to, kiedy dotrzesz do Morbus i poznasz więcej hormadów.

Tor-dur-bar oznacza w języku Ziemiaków cztery miliony osiem. Imię wydało mi się dość osobliwe, ale ostatecznie wszystko w hormadach było niezwykle. Siedzący przede mną wojownik najwyraźniej przysłuchiwał się naszej rozmowie, ponieważ odwrócił głowę i pogardliwym tonem rzucił:

– Nie zwracaj uwagi na Tor-dur-bara. To parweniusz. To ja jestem niezwykły. O ile zależy ci na wpływowym przyjacielem, nie musisz szukać dalej. Skromność nie pozwala mi powiedzieć więcej. Ale jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebował prawdziwego przyjaciela, po prostu przyjdź do Teeaytan-ova. (W waszym języku oznacza to tysiąc sto siedem.)

Tor-dur-bar prychnął z niesmakiem:

– Parweniusz, też mi coś! Na stworzenie mnie trzeba było milionów kultur, a dokładnie rzecz biorąc ponad czterech milionów. Teeaytan-ov to tylko eksperyment.

– Wykończyłbym cię, gdybym odczepił teraz sieć – pogroził mu Teeaytan-ov.

Tor-dur-bar zaczął wrzeszczeć na cały głos:

– Sytor! Sytor! Mordują!

Dwar, który leciał na czele dziwnego oddziału, zawrócił malagora i podleciał do nas.

– Co tu się dzieje? – zapytał.

– Teeaytan-ov grozi, że zrzuci mnie do bagna! – zawołał Tor-dur-bar. – Zabierz go ode mnie, Sytorze.

– Znowu się kłócicie? – ofuknął ich Sytor. – Jeśli usłyszę któregoś jeszcze raz, po powrocie do Morbus obaj traficie do spalarni. Teeaytan-ov, pilnuj, żeby Tor-dur-barowi nic się nie stało. Rozumiesz?

Teeaytan-ov odburknął coś, a Sytor wrócił na swoje miejsce w szyku. Lecieliśmy dalej w milczeniu i oddałem się spekulacjom na temat pochodzenia dziwnych istot, w których ręce wpadłem. Wódz leciał z przodu, a dziewczyna nieco po lewej. Często wędrowałem wzrokiem w jej stronę i współczułem jej, pewny, że również była więźniem. Jaki straszliwy los ją czekał? Nasze położenie było wystarczająco kiepskie nawet dla mężczyzny, ale mogłem domyślać się tylko, o ile gorsze było dla kobiety.

Malagory leciały szybko i równo, z prędkością sięgającą moim zdaniem ponad czterystu haadów na zod (około sześćdziesięciu mil na godzinę). Zdawały się niestrudzone, wędrując nieprzerwanie przed siebie, bez odpoczynku, godzina za godziną. Zatoczywszy łuk wokół Phundahl, polecieliśmy prosto na wschód, a późnym popołudniem zbliżyliśmy się do wielkiej wyspy wznoszącej się pośród otaczających ją trzęsawisk. Od północy opływał ją jeden z niezliczonych krętych strumieni, rozlewając

się szerzej i tworząc niewielkie jezioro, na brzegu którego stało małe, otoczone murami miasto. Zatoczyliśmy nad nim koło, po czym zesliśmy do lądowania przed główną bramą wychodzącą na jezioro. Zauważyłem poza murami miasta skupiska małych szałasów, rozrzucone jak okiem sięgnąć po całej wyspie. Wskazywało to, że wyspa była gęsto zaludniona, a ponieważ widziałem tylko niewielką jej część, odniosłem wrażenie, że populacja tej całkiem sporej wyspy musiała być naprawdę olbrzymia. Miałem przekonać się jeszcze, że nawet najśmielsze z moich domysłów nie dorównywały prawdzie.

Kiedy zsiadliśmy z ptaków, całą naszą trójkę ustawiono razem. Ocalone z bitwy ciała, głowy, ręce i nogi zostały wrzucone do sieci, żeby łatwiej było je nieść. Brama otworzyła się szeroko i weszliśmy do Morbus.

Dowódca straży w bramie okazał się zwykłą istotą ludzką o najzupełniej zwyczajnym wyglądzie, ale jego podwładnymi byli odrażająco groteskowi hormadowie. Wymienił z Sytorem pozdrowienia, zadał parę pytań na nasz temat, po czym kazał niosącym sieci wojownikom zabrać makabryczny ładunek do „laboratorium rewitalizacji nr 3”, a Sytor poprowadził nas biegnącą na południe aleją. Na pierwszym skrzyżowaniu obładowani sieciami wojownicy skręcili w lewo, a kiedy oddalali się, jakiś głos zawołał:

– Nie zapomnij, że Tor-dur-bar jest twoim przyjacielem, Vor Daju! I pamiętaj, Teeaytan-ov to tylko eksperyment!

Obejrzałem się na potworną głowę Tor-dur-bara łypiącą na mnie z dna sieci.

– Nie zapomnę – powiedziałem, wiedząc że rzeczywiście nie zapomnę nigdy jej przerażającego widoku, choć zastanawiało mnie, w jaki sposób mogła przydać mi się pozbawiona ciała głowa, nawet obdarzona najbardziej przyjaznymi intencjami.

Morbus różniło się od wszelkich marsjańskich miast, jakie do tej pory zwiedziłem. Budynki były okazałe i pozbawione dekoracji, ale prostota ich

kształtów miała w sobie swoiste dostojęstwo, przydające im uroku. Sprawiało wrażenie nowego miasta, zbudowanego według dobrze przemyślanego planu, gdzie każda linia wskazywała na przemyślane planowanie. Chcąc, nie chcąc, zacząłem zastanawiać się, jakim celom mogło służyć w głębi Mokradeł Toonol. Kto z własnej woli chciałby mieszkać w tak odległej i przygnębiającej okolicy?

Czy podobne miasto mogło istnieć bez rynków i handlu?

Moje spekulacje zostały przerwane, kiedy doszliśmy do niewielkich drzwi w jakimś murze. Sytor uderzył o nie ręką miecza, na co w drzwiach otworzył się mały panel i pojawiła się w nim twarz.

– Jestem Sytor, dwar dziesiątego utanu, pierwszego daru gwardii trzeciego jeda. Przyprowadziłem więźniów, żeby czekali na wezwanie przed Radę Siedmiu Jedów.

– Ilu? – zapytał człowiek przy okienku.

– Trzech, dwóch mężczyzn i kobietę.

Drzwi otworzyły się szeroko i Sytor zaprosił nas gestem do środka. Sam nie wszedł z nami. Najwyraźniej znaleźliśmy się w swego rodzaju wartowni, ponieważ oprócz oficera, który nas wpuścił, a który – jak pozostali spotkani do tej pory – był zwykłym czerwonoskórym człowiekiem, przebywało tam około dwudziestki hormadów. Dowódca spytał nas o imiona, które wpisał do księgi obok innych informacji, takich jak zawód i miasto pochodzenia. Podczas tego przesłuchania dowiedziałem się, jak miała na imię dziewczyna. Nazywano ją Janai i twierdziła, że pochodziła z Amhor, położonego około siedmiuset mil na północ od Morbus. To niewielkie miasto, rządzone przez księcia imieniem Jal Had, owianego tak kiepską reputacją, że dotarła ona nawet do odległego Helium. To było mniej więcej wszystko, co wiedziałem o Amhor.

Skończywszy przesłuchanie, oficer polecił jednemu z hormadów nas odprowadzić. Wojownik zabrał nas korytarzem do wielkiego patio, gdzie zastaliśmy kilku czerwonych Marsjan.

– Zostaniecie tu, aż po was przyślą – powiedział hormada. – Nie próbujcie uciekać. – Po czym opuścił nas.

– Uciekać! – powiedział John Carter z kpiącym uśmiechem. – Uciekłem z wielu miejsc i zapewne ucieknę też z tego miasta, ale ucieczka z bagien to już zupełnie inna sprawa. Ale to się jeszcze zobaczy.

Czerwoni ludzie, którzy również okazali się więźniami, podeszli do nas. Było ich pięciu.

– Kaor! – pozdrowili nas. Przedstawiliśmy się nawzajem i zaczęli zasypywać nas pytaniami o świat zewnętrzny, jakby tkwili tu od lat.

Było jednak inaczej. Przez to, że Morbus było odcięte od świata, wydawało im się, że od dawna byli pozbawieni kontaktu ze światem. Dwóch pochodziło z Phundahl, jeden z Toonol, jeden z Ptarthu, a jeden z Duhor.

– Po co im więźniowie? – zapytał John Carter.

– Część służy jako oficerowie szkolący i dowodzący wojownikami – powiedział jeden z Phundahlian, imieniem Pandar. – Inni dostarczają ciała mózgom hormadów, którzy przejawiają dość wysoką inteligencję, żeby zajmować wysokie stanowiska. Ciała pozostałych trafiają do laboratoriów, gdzie Ras Thavas wykorzystuje ich tkanki w swoich nikczemnych eksperymentach.

– Ras Thavas! – zawołał Wódz. – Czy on tu jest?

– Owszem, jest więźniem we własnym mieście, sługą stworzonych przez siebie odrażających istot – odparł Gan Had z Toonol.

– Nie nadążam – powiedział John Carter.

– Po tym jak jeddak Toonol, Vobis Kan, wypędził go z laboratorium, Ras Thavas przybył na tę wyspę, żeby dopracować odkrycie, nad którym pracował od lat – wyjaśnił Gan Had. – Wynałazł metodę hodowania istot ludzkich z pobranych tkanek. Opracował medium, które sprzyjało stałemu wzrostowi tkanek. Początkowo hodowała żywej tkanki z maleńkiej komórki wypełniała całe laboratorium, ale twór pozostawał bezkształtny. Problem

polegał na tym, jak pokierować wzrostem. Zaczął eksperymentować z różnymi gadami, które po utracie pewnych części ciała, takich jak palce, ogony czy kończyny, potrafią je regenerować, a wreszcie odkrył kierującą tym procesem zasadę i zastosował ją do sterowania rozwojem ludzkich tkanek w wyspecjalizowanym medium. Rezultatem tych odkryć i eksperymentów są hormadowie. Trzy czwarte budynków w Morbus przeznaczone jest na hodowlę tych szkaradnych stworzeń, których wyprodukował już nieskończenie wiele.

– Praktycznie wszyscy hormadowie są niezbyt inteligentni, choć kilku posiada normalne mózgi. Część z nich zawiązała spisek, aby przejąć wyspę i założyć własne królestwo. Pod groźbą śmierci zmusili Ras Thavasa do dalszej produkcji nieprzebranej ilości tych stworzeń, ponieważ wpadli na zdumiewający plan. Polega on na tym, by stworzyć armię złożoną z milionów hormadów i za ich pomocą podbić cały świat. Najpierw zdobędą Phundahl i Toonol, a potem rozejdą się stopniowo po całej powierzchni globu.

– Zadziwiające – powiedział John Carter. – Wydaje mi się jednak, że wymyślili to, nie rozumiejąc w pełni wszystkich zagadnień związanych z tego typu przedsięwzięciem. Nie do pomyślenia, na przykład, aby planeta zdołała wyżywić w polu tak liczną armię; sama ta wyspa nie poradziłaby sobie z wykarmieniem choćby jej załączka.

– Tu się mylisz – odparł Gan Had. – Pożywienie dla hormadów jest wytwarzane tym samym sposobem, co oni sami. Wykorzystuje się w nim tylko nieco inne medium, to wszystko. Zwierzęce tkanki rosną w nim z niesłychaną szybkością, co pozwala zapewnić armii dość pożywienia. Wystarczy, że wojownicy zabiorą ze sobą zbiorniki z medium, a ponieważ medium zawiera sporą ilość wody, rozwiązać można tym samym problem pragnienia.

– Ale czy ci półludzie mogą mieć nadzieję na zwycięstwo nad wyszkolonymi i inteligentnymi żołnierzami, wyposażonymi

do prowadzenia nowoczesnej wojny? – zapytałem.

– Tak sędzę – powiedział Pandar. – Choćby tylko dzięki ich straszliwej liczebności, nieznajomości strachu i faktowi, że aby uczynić ich niezdolnymi do walki, trzeba pozbawić ich głowy.

– Jak liczna jest ta armia? – chciał wiedzieć John Carter.

– Morbus zamieszkuje obecnie kilka milionów hormadów. Ich szalały są rozrzucone po całej wyspie. Szacuje się, że pomieściłaby nawet sto milionów, a Ras Thavas twierdzi, że potrafiłby wysyłać do walki dwa miliony rocznie, a nawet gdyby wszyscy zginęli, pierwotne siły nie uległyby uszczupleniu o choćby jednego żołnierza. Produkuje ich w ogromnych ilościach. Część jest tak koszmarne zdeformowana, że okazują się całkowicie niezdatni do służby. Kroi się ich na setki tysięcy drobnutkich kawałeczków, które trafiają z powrotem do kadzi z medium, gdzie rosną w tak niewiarygodnym tempie, że po dziewięciu dniach z każdego powstaje pełnej wielkości hormad, z których zadziwiająca liczba przybiera postać z grubsza zdolną do marszu i władania bronią.

– Sytuacja wydawałaby się poważna, gdyby nie jedno – stwierdził John Carter.

– Co takiego? – zapytał Gan Had.

– Transport. Jak zamierzają przetransportować taką ogromną armię?

– Mieli z tym problem, ale teraz uważają, że został on rozwiązany przez Ras Thavasa. Naukowiec od dłuższego czasu eksperymentował z tkankami małagorów i specjalnym nośnikiem do ich hodowli. O ile uda mu się wyprodukować wystarczającą liczbę ptaków, problem transportu zostanie rozwiązany. Okręty, których potrzebują, spodziewają się przechwycić po zajęciu Phundahl i Toonol, i stworzyć z nich załazek wielkiej floty, która będzie rosła w miarę, jak ich podboje ogarną coraz więcej miast.

Rozmowę przerwało przybycie paru hormadów z naczyniami, w których przynieśli nam na kolację zwierzęce tkanki, mięsną breję o zdecydowanie nieapetycznym wyglądzie.

Człowiek z Duhor, który jak się zdawało zgłosił się dobrowolnie do roli kucharza, rozpalił ognisko w piecu wmurowanym w wysoką na dwadzieścia stóp ścianę, zamykającą jedyną stronę patio nie otoczoną budynkiem. Wkrótce nasza kolacja piekła się nad ogniem.

Chociaż głodny jak wilk, nie byłem w stanie patrzeć na naszą strawę bez odrazy. Myśli wypełniały mi wątpliwości zrodzone z tego, co słyszałem od wejścia na dziedziniec; odwróciłem się więc do Gan Hada z pytaniem.

– Czy to nie są przypadkiem ludzkie tkanki?

Wzruszył ramionami.

– Raczej nie, ale nie zadajemy sobie takich pytań, ponieważ aby przetrwać, musimy jeść, a nic innego nam nie przynoszą.

5.

SĄD JEDÓW

Dziewczyna z Amhor, Janai, usiadła z dala od nas. Jej położenie wydawało mi się ze wszech miar godne współczucia: samotna kobieta uwięziona z siedmioma obcymi mężczyznami w mieście zamieszkanym przez odrażających wrogów. Czerwoni ludzie z Barsoom są wprawdzie z natury dworni, ale mężczyźni są tylko mężczyznami, a nic nie wiedziałem o zastanej w więzieniu piątce. Dopóki byliśmy z nią John Carter i ja, dziewczyna była bezpieczna. Tego byłem pewny i wydawało mi się, że gdyby ona również o tym wiedziała, zmniejszyłoby to nieco jej obawy.

Podszedłem do niej, zamierzając nawiązać rozmowę, kiedy na dziedziniec wszedł oficer, który przesłuchiwał nas w wartowni, w towarzystwie dwóch innych oficerów i kilku hormadów. Ustawili nas razem, a towarzyszący dowódcy straży oficerowie obejrzel nas dokładnie.

– Niezła zbieranina – powiedział jeden.

Drugi wzruszył ramionami.

– Najlepszych zabiorą jedowie, a Ras Thavas jak zawsze będzie utyskiwał na materiał, jakiego mu dostarczamy.

– Dziewczyny chyba nie potrzebują, prawda? – zapytał dowódca straży.

– Nasze rozkazy mówią, żeby przyprowadzić więźniów – odpowiedział jeden z pozostałych.

– Chciałbym zatrzymać ją tutaj – powiedział dowódca.

– A kto by nie chciał? – rzucił drugi oficer ze śmiechem. – Dostałbyś ją może, gdyby miała twarz szczura, ale ładne przypadają jedom, a ta tutaj

jest więcej niż ładna.

Janai stała obok mnie i prawie poczułem, jak zadrżała. Poruszony nagłym impulsem, ścisnąłem jej dłoń. Przez chwilę chwyciła ją kurczowo, instynktownie szukając ochrony, po czym puściła mnie i okryła się rumieńcem.

– Chciałbym ci jakoś pomóc – powiedziałem.

– To miłe. Rozumiem, ale to niemożliwe. Tobie jest łatwiej tylko dlatego, że jesteś mężczyzną. Mogą cię najwyżej zabić.

Groteskowi hormadowie otoczyli nas i wyprowadzili przez wartownię na ulicę. John Carter zapytał jednego z oficerów, dokąd nas zabierali.

– Przed Radę Siedmiu – odrzekł. – Tam rozstrzygną, co z wami zrobić. Niektórzy trafią do kadzi hodowlanych. Ci, którym dopisze szczęście, przeżyją, aby szkolić wojsko i dowodzić nim, jak ja. To niewiele, ale zawsze lepsze niż śmierć.

– Czym jest ta Rada Siedmiu? – zapytał Wódz.

– To rządzący Morbus hormadowie, u których mózgi rozwinęły się normalnie i którzy odebrali władzę Ras Thavasowi. Każdy z nich aspirował do władzy, a ponieważ żaden nie chciał zrzec się tego, co uważał za swoje prawo, wszyscy ogłosili się jedami i teraz rządzą wspólnie.

Oddalwszy się nieco od więzienia, doszliśmy wreszcie do wielkiego budynku, przed którym stała straż złożona z hormadów pod dowództwem kilku oficerów. Nastąpiła krótka wymiana zdań, po czym wprowadzono nas do budynku i powiedziano długim korytarzem do wielkiej sali, przed drzwiami której zatrzymał nas na kilka minut kolejny oddział straży. Kiedy drzwi otworzyły się, ujrzeliśmy zgromadzonych na środku pomieszczenia hormadów i oficerów, na drugim zaś końcu podest, gdzie na rzeźbionych tronach zasiadało siedmiu czerwonych ludzi. Najwyraźniej to właśnie byli jedowie, choć nie przypominali hormadów, których zdążyliśmy już poznać. Przeciwnie, wyglądali całkiem normalnie, a większość była wręcz przystojna.

Zaprowadzono nas do stóp podwyższenia, gdzie jedowie przyjrzeni się nam, zadając te same pytania, co dowódca straży, kiedy przyjmował nas do więzienia. Rozmawiali o nas dość długo, zupełnie jakby rozprawiali o thoatach czy calotach, które zamierzali nabyć. Kilku wyglądało na mocno zainteresowanych Janai, a w końcu trzech z nich oznajmiło, że chce jej dla siebie.

To dało początek kłótni, zakończonej głosowaniem nad tym, komu miała przypaść dziewczyna, ale ponieważ żaden nie zdobył większości głosów, postanowili zatrzymać ją na parę dni, a potem oddać Ras Thavasowi, gdyby pretendenci nie doszli do porozumienia. Kiedy to postanowiono, jeden z jedów zwrócił się do reszty więźniów.

– O ile zostawimy was przy życiu, ilu zechce służyć nam jako dowódcy wojska?

Ponieważ jedyną alternatywą była śmierć, wszyscy zgłosiliśmy chęć służby. Jedowie pokiwali głowami.

– Przekonamy się zaraz, którzy z was najlepiej nadają się do roli dowódcy naszych wojsk – powiedział jeden, po czym przemówił do stojącego przy nas oficera. – Przyprawdź siedmiu najlepszych wojowników.

Odprowadzono nas na bok sali, gdzie czekaliśmy.

– Wygląda na to, że czeka nas walka – stwierdził z uśmiechem John Carter.

– Nic innego nie odpowiadałoby ci lepiej – odparłem.

– Ani tobie – powiedział, po czym zwrócił się do oficera, z którym rozmawiał w drodze z więzienia. – Wydawało mi się, że mówiłeś, iż jedowie są hormadami?

– Owszem, są.

– Nie przypominają żadnych z hormadów, których widziałem.

– Ras Thavas ich ulepszył – oznajmił oficer. – Może o tym nie wiesz, ale to największy naukowiec i chirurg na całym Barsoom.

– Tyle o nim słyszałem.

– To prawda. Potrafi wyjąć człowiekowi mózg i przenieść go do czaszki kogoś innego. Przeprowadził tę operację setki razy. Kiedy jedowie dowiedzieli się o tym, wybrali siedmiu najbardziej reprezentacyjnych oficerów i zmusili Ras Thavasa, żeby przeniósł ich mózgi do ich czaszek. Rozumiesz, byli szkaradnymi stworzeniami, a chcieli być przystojni.

– A co z tymi oficerami? – zapytałem.

– Trafili do kadzi, a właściwie trafiły tam ich mózgi i pierwotne ciała jedów. A oto i siedmiu naszych wojowników. Za parę chwil przekonacie się, czy traficie do kadzi.

Zaprowadzono nas na środek sali i ustawiono przed siedmioma roslymi hormadami, najmniej zdeformowanymi z tych, które do tej pory widzieliśmy, ale i tak prawdziwie odpychającymi. Dostaliśmy miecze i oficer wydał polecenia. Każdy z nas miał walczyć ze stojącym przed nim wojownikiem, a ci, którym udałooby się przeżyć starcie bez poważniejszych ran, mieli służyć w armii Morbus.

Na rozkaz jednego z oficerów oba szeregi ruszyły przed siebie i po chwili komnata wypełniła się szczękiem stali uderzającej o stal. Mężczyźni z Helium uważają się za najlepszych szermierzy Barsoom, a nikt z nas nie dorównuje wielkiemu Johnowi Carterowi, nie obawiałem się więc o wynik starcia w naszym przypadku. Atakujące mnie stworzenie polegało na swoim ciężarze i brutalnej sile, co jest ogólnie przyjętą taktyką hormadów, które nie są obdarzone zbyt wielką inteligencją. W oczywisty sposób chciał przebić się przez moją obronę jednym straszliwym ciosem ciężkiej broni, ale jestem zbyt doświadczony, żeby ulec tak prymitywnej formie ataku. Kiedy odbiłem cięcie i odsunąłem się na bok, hormad przebiegł niezgrabnie obok mnie. Mógłbym z łatwością przebić go wtedy mieczem, ale w pierwszym starciu z tymi potworami zdążyłem się już przekonać, że rany, które dla zwykłego człowieka byłyby śmiertelne, nie robiły na nich żadnego wrażenia. Musiałbym odciąć mu nogę, obie ręce

albo pozbawić go głowy, żeby wykluczyć go z walki. Rzecz jasna, dzięki temu miał nade mną ogromną przewagę, ale nie była ona nie do pokonania. Tak przynajmniej sądziłem na początku pojedynku, choć wkrótce w moje myśli wkradł się cień zwątpienia. Wojownik władał mieczem o wiele lepiej niż którykolwiek ze spotkanych, kiedy nas schwytano. Dowiedziałem się później, że istoty, z którymi walczyliśmy, wybrano dla ich nieprzeciętnej jak na hormada inteligencji i biegłości w sztuce władania mieczem.

Oczywiście, gdyby mój przeciwnik był normalnym człowiekiem, z łatwością poradziłbym sobie z nim. Ale unikanie jego szaleńczych parad i pozbawienie go głowy okazało się o wiele trudniejszym zadaniem niż się spodziewałem. Na domiar wszystkiego, był też niezwykle odpychającym przeciwnikiem, obdarzonym niewymownie odrażającą twarzą. Jedno oko, dwa razy większe od drugiego, tkwiło pośrodku czoła. Nos miał tam, gdzie powinno być jedno z uszu, podczas gdy ucho zajmowało zwykłe miejsce nosa. Wielkie usta były wykrzywioną dziurą w twarzy, pełną wielkich kłów. Samo oblicze wystarczyłoby mu z powodzeniem, żeby zniechęcić przeciwnika do walki.

Od czasu do czasu widziałem kątem oka, jak radziła sobie reszta. Zobaczyłem, jak padł jeden z Phundahlian. Niemal równocześnie głowa przeciwnika Johna Cartera potoczyła się po posadzce i zaległa, wyrzaskując przekleństwa, podczas gdy ciało miotało się wściekle, zagrażając wszystkim obecnym. Kilku hormadów i oficerów goniło je z pętlami i sieciami, próbując złapać je i związać, a kiedy byli tym zajęci, stworzenie wpadło na mojego przeciwnika, wytrącając go z równowagi i tworząc w jego obronie lukę, na którą czekałem. Wyprowadziłem zamaszyste cięcie i ciąłem go w kark, strącając głowę na posadzkę. Teraz dwa bezgłowe ciała rzucały się tu i tam, bijąc na wszystkie strony ciężkimi mieczami. Upłynęło ładnych parę minut, zanim reszta wojowników i oficerowie złapali i poskromili te groteskowe stworzenia, a do tej pory było już po walce. Na podłodze miotało się dwóch kolejnych hormadów,

obaj pozbawieni jednej nogi. Pokonali ich Pandar i Gan Had. Człowiek z Ptarthu i z Duhor zginęli. Została nas tylko czwórka. Leżące na posadzce głowy drwiły z nas, kiedy wojownicy zebrali szczątki po bitwie i wynieśli je w sieciach.

Zabrano nas znów przed podwyższenie, na którym zasiadała Rada Siedmiu. Jedynie ponownie nas wypytywali, tym razem bardziej uważnie. Skończywszy, szeptali między sobą przez jakiś czas, po czym jeden zwrócił się do nas.

– Będziecie służyć jako oficerowie, okazując posłuszeństwo przełożonym i wszystkim rozkazom Rady – oznajmił. – Nigdy nie uda wam się uciec z Morbus. Pozwolimy wam żyć, o ile będziecie nam wiernie służyć, ale zdrada lub nieposłuszeństwo zostaną ukarane wysłaniem do kadzi, gdzie spotka was koniec. – Odwrócił się do mnie i Johna Cartera. – Ludzie z Helium trafią na razie do straży laboratorium. Waszym obowiązkiem jest pilnować, aby Ras Thavas nie uciekł i aby nie spotkało go nic złego. Zostaliście wybrani do tej służby z dwóch powodów: obaj świetnie władacie mieczem, a pochodząc z dalekiego Helium, na pewno nie stoicie po żadnej ze stron, czy to Toonol, czy Phundahl, czy wreszcie samego Ras Thavasa. Możecie więc działać wyłącznie w naszym interesie wbrew interesom naszych wrogów. Ras Thavas chciałby stąd uciec albo odzyskać panowanie nad Morbus. Phundahl chciałoby go uratować, Toonol zaś uśmiercić. Oba miasta byłyby szczęśliwe, mogąc go nam odebrać, aby nie tworzył kolejnych hormadów.

– Ludzie z Phundahl i Toonol będą szkolili naszych wojowników, kiedy ci wyjdą z kadzi. Rada Siedmiu przemówiła, okażcie posłuszeństwo.

Skinął w stronę oficera, który nas przyprowadził.

– Zabrać ich.

Spojrzałem w stronę Janai. Napotkała mój wzrok i uśmiechnęła się do mnie słabo, starając się zrobić dzielną minę. Godny litości uśmiech serca pozbawionego nadziei! Po chwili wyprowadzono nas z sali.

6.

RAS THAVAS, NAJWIĘKSZY UMYSŁ MARSJA

Kiedy prowadzili nas korytarzem w stronę głównego wyjścia, moje myśli były zaprzątnięte przegłędem niewiarygodnych wydarzeń tego dnia. Tych kilka godzin wystarczyłoby na całe życie. Przeżyłem przygody, jakich nie potrafiłbym wyobrazić sobie w najbardziej szalonych snach. Zostałem oficerem monstrualnej armii w mieście, o którego istnieniu przed paroma godzinami nie miałem nawet pojęcia. Spotkałem nieznaną dziewczynę z dalekiego Amhor i po raz pierwszy w życiu zakochałem się, a niemal równocześnie utraciłem ją. Miłość to dziwne uczucie. Nie potrafiłbym wyjaśnić, dlaczego przyszła do mnie w ten sposób. Wiedziałem tylko, że kochałem Janai i że to uczucie miało trwać wiecznie. A jednak miałem jej już nigdy nie zobaczyć. Nie mogłem dowiedzieć się, czy odwzajemniłaby moją miłość, ani nawet powiedzieć jej o swoim uczuciu. Odtąd całe moje życie miało być naznaczone smutkiem po utraconej miłości i wspomnieniami o niej, a jednak nie wyparłbym się tego uczucia, gdybym mógł. Miłość jest doprawdy niezwykła.

W miejscu, gdzie główny korytarz krzyżował się z innym, nasza eskorta pokierowała naszą dwójkę w prawo. Pandar i Gan Had poszli dalej w stronę głównego wyjścia. Pożegnaliśmy się głośno i rozeszliśmy. Niezwykłe, jak szybko w sytuacji wspólnego zagrożenia zawiązują się przyjaźnie. Ci ludzie pochodzili z miast wrogich Helium, a jednak dzięki temu, że wszystkim nam groziło to samo niebezpieczeństwo, żywiłem do nich przyjazne uczucia. Nie wątpiłem przy tym, że oni również mieli podobny stosunek

do naszej dwójki. Zastanawiałem się, czy jeszcze kiedyś mieliśmy się spotkać.

Poprowadzono nas nowym korytarzem i przez wielki dziedziniec do kolejnego budynku, nad którego drzwiami widniały nieznane mi hieroglify. Żaden lud Barsoom nie używa takiego samego pisma, choć istnieje wspólny język naukowy rozumiany przez mędrców wszystkich narodów. A jednak mamy tylko jeden język mówiony, używany i rozumiany przez wszystkich, nawet dzikich zielonych ludzi z dna martwych mórz. John Carter jest jednak wykształcony i potrafi czytać w wielu językach. Powiedział, że napis mówił: Laboratorium.

Wprowadzono nas do niezbyt wielkiej sali przyjęć, gdzie oficer kazał nam czekać, aż sprowadzi Ras Thavasa, żeby przedstawić nam człowieka, którego mieliśmy strzec i obserwować. Powiedział też, że mieliśmy traktować naukowca z troską i szacunkiem, o ile nie podejmie próby ucieczki. Mógł poruszać się swobodnie po laboratorium i był tam w pewnym sensie wszechwładny. Gdyby zażądał naszej pomocy przy swoich pracach, mieliśmy zgodzić się na to. Widać było, że Rada Siedmiu podziwiała go, choć był ich więźniem, i jedowie posiadali dość rozumu, aby jak najbardziej ułatwić mu życie. Płonałem z niecierpliwości, żeby zobaczyć Ras Thavasa, o którym wiele słyszałem. Nazywano go największym umysłem Marsa, a choć często używał swoich niezwykłych talentów do podłych celów, podziwiano go niemniej dla jego wielkiej wiedzy i umiejętności. Wiedziano, że miał ponad tysiąc lat, i już choćby dlatego bardzo chciałem go ujrzeć, ponieważ tak starzy ludzie są na Barsoom rzadkością. Przyjmuje się, że granicą długości ludzkiego życia jest tu tysiąc lat, ale przez naszą wojowniczą naturę i zdarzające się powszechnie zabójstwa, mało kto dożywa tego wieku. Pomyślałem, że na pewno przypominał małą, pomarszczoną mumię i dziwiło mnie, że miał siły kontynuować swoje olbrzymie dzieło.

Nie czekaliśmy długo, kiedy oficer wrócił w towarzystwie niezwykle przystojnego młodzieńca, który obrzucił nas wyniosłym spojrzeniem, jakbyśmy byli mętami ludzkości, on zaś – bogiem.

– Kolejni szpiedzy, którzy mają mnie obserwować – powiedział z szyderstwem w głosie.

– To wojownicy, którzy mają cię chronić – poprawił oficer.

A zatem to był Ras Thavas! Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Niewątpliwie miałem przed sobą młodego człowieka, ponieważ choć to prawda, że po Marsjanach nie widać oznak starzenia się prawie do końca przypisanego im czasu, kiedy to degeneracja organizmu postępuje bardzo szybko, istnieją pewne oczywiste cechy wskazujące na młodość.

Ras Thavas nie przestawał mierzyć nas uważnym spojrzeniem. Zauważyłem, że zmarszczył w zadumie czoło, nie odrywając wzroku od Johna Cartera, jakby próbował przypomnieć sobie na wpół zapomnianą twarz. Wiedziałem jednak, że ta dwójka nigdy się nie spotkała. O czym mógł myśleć naukowiec?

– Skąd mam wiedzieć, że ta dwójka nie wkręciła się tu specjalnie po to, żeby mnie uśmiercić? – warknął nagle. – Skąd mam wiedzieć, czy nie są z Toonol lub Phundahl?

– Przybyli z Helium – odpowiedział oficer. Spostrzegłem, że twarz chirurga rozpogodziła się nagle, jakby wpadł na rozwiązanie jakiegoś problemu. – To dwaj pantani, których złapaliśmy, kiedy szli do Phundahl szukając pracy – zakończył dowódca eskorty.

Ras Thavas skinął głową.

– Pomogą mi w laboratorium.

Oficer sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Czy nie lepiej, żeby przez jakiś czas służyli w straży? Zyskasz w ten sposób czas, żeby przyjrzeć się im i stwierdzić, czy bezpiecznie będzie zostać z nimi samemu w laboratorium.

– Wiem, co mówię – uciął Ras Thavas. – Nie potrzebuję porad pośledniego umysłu, który podszeptowałby mi, co dla mnie dobre, choć może w twoim przypadku to niezасłużony komplement.

Oficer zaczerwienił się.

– Dostałem rozkaz przyprowadzić ci tych ludzi. Co z nimi zrobisz, to nie moja sprawa. Chciałem cię tylko chronić.

– A zatem wypełnij swoje rozkazy i pilnuj własnego nosa. Potrafię o siebie zadbać. – Ton Ras Thavasa był równie nieprzyjemny, jak jego słowa. Miałem przecucie, że mógł okazać się bardzo uciążliwym przełożonym.

Oficer wzruszył ramionami, wydał rozkaz towarzyszącym nam hormadom i wyprowadził ich z sali marszowym krokiem. Ras Thavas skinął na nas.

– Chodźcie ze mną.

Zaprowadził nas do niewielkiego pomieszczenia, którego ściany były zastawione półkami pełnymi ksiąg i rękopisów. Stało tam zarzucone papierami i książkami biurko, przy którym usiadł, równocześnie wskazując nam miejsce na ławie obok.

– Jak was wołają? – zapytał.

– Na imię mam Dotar Sojat – odpowiedział John Carter. – A to Vor Daj.

– Znasz go dobrze i ufasz mu bezwarunkowo? – zapytał Ras Thavas. Wydawało się to dziwne, skoro nie znał żadnego z nas.

– Znam go od lat – odparł Wódz. – W każdej sprawie zawierzyłbym jego lojalności i inteligencji, a w walce – odwadze i umiejętnościom.

– Świetnie – stwierdził Ras Thavas. – A zatem mogę obu wam zaufać.

– Ale skąd wiesz, że możesz mi wierzyć? – zapytał z lekkim zdziwieniem John Carter.

Chirurg uśmiechnął się.

– Uczciwość Johna Cartera, księcia Helium i Wodza Barsoom, jest znana na całym świecie.

Spojrzelismy na niego ze zdziwieniem.

– Dlaczego uważasz, że nim jestem? – zapytał Wódz. – Nigdy go nie widziałeś.

– Podczas spotkania w sali przyjęć uderzyło mnie, że nie wyglądałeś na prawdziwego czerwonego Marsjanina. Przyjrzałem ci się uważnie i zauważyłem, że pigment, którym zabarwiłeś skórę, przetał się w paru miejscach. Na Marsie żyje tylko dwóch mieszkańców Jasoom. Jednym jest Vad Varo, znany na Ziemi jako Ulysses Paxton. Znam go dobrze, ponieważ był moim asystentem w laboratorium w Toonol. W istocie rzeczy, wyszkoliłem go tak dobrze, że potrafił przenieść mój stary mózg do tego młodego ciała. Wiedziałem więc, że to nie ty. Drugim Ziemianinem jest John Carter, stąd łatwo było domyślić się twojej tożsamości.

– Twoje podejrzenia były uzasadnione, a rozumowanie bez zarzutu – przyznał Wódz. – To rzeczywiście ja. Powiedziałbym ci o tym sam, ponieważ zmierzałem do Phundahl w poszukiwaniu ciebie, kiedy ujeli nas hormadowie.

– Z jakiego powodu mógł mnie szukać sam Wódz Marsa? – zapytał wielki chirurg.

– Dejah Thoris, moja księżniczka, odniosła ciężkie obrażenia w kolizji statków powietrznych. Od wielu dni leży nieprzytomna. Najwięksi lekarze Helium nie są w stanie jej pomóc. Szukałem cię, żeby błagać o pomoc w przywróceniu jej zdrowia.

– I znalazłeś mnie uwięzionego na odległej wyspie pośrodku wielkich bagien, gdzie sam jesteś jeńcem.

– Ale znalazłem cię jednak.

– Tylko czy to da cokolwiek tobie i twojej księżniczce?

– Poleciałbyś ze mną i pomógł jej, gdybyś mógł?

– Oczywiście. Złożyłem Vad Varo i Dar Tarusowi, jeddakowi Phundahl, obietnicę, że będę używał swoich talentów i wiedzy dla dobra ludzkości, starając się ulżyć jej cierpieniom.

– W takim razie znajdziemy jakiś sposób – powiedział John Carter.

Ras Thavas potrząsnął głową.

– Łatwo powiedzieć, ale to niemożliwe. Z Morbus nie da się uciec.

– Mimo to, musimy coś wymyśleć – odparł książę. – Domyślam się, że przeszkody w ucieczce z samej wyspy nie są nie do pokonania. Najbardziej martwi mnie konieczność przeprawy przez bagna.

Ras Thavas potrząsnął głową.

– Nigdy nie uda nam się stąd wydostać. Po pierwsze, wyspa jest dobrze pilnowana, aż roi się tu od szpicli i szpiegów. Wielu z oficerów, którzy wyglądają na czerwonych Marsjan, to w rzeczywistości hormadowie, których mózgi przenieśliśmy do ciał normalnych ludzi. Nawet ja nie potrafię ich rozpoznać, ponieważ operacje przeprowadzam tylko w obecności Rady Siedmiu, a twarze dawców ciał są schowane pod maską. Niektórzy z tej siódemki są naprawdę przebiegli. Potrzebowali ludzi, którym mogliby zlecić zadanie śledzenia mnie, a gdybym widział twarze ludzi, którym przeszczepiłem mózgi hormadów, ich plan byłby na nic. Tymczasem nie mam pojęcia, którzy z otaczających mnie oficerów to hormadowie, a którzy są normalnymi ludźmi – poza wami dwoma. Johna Cartera mogę być pewny, ponieważ pamiętałbym z pewnością operację na człowieku o białej skórze mieszkańca Jasoom, co zaś do ciebie, Vor Daju, mam słowo Johna Cartera. Poza naszą trójką, nie możemy ufać nikomu; uważajcie więc, z kim się przyjaźnicie i co mówicie przy innych. Będziecie...

Przerwało mu istne pandemonium, jakie rozpętało się nagle w innej części budynku. Doszła nas przeraźliwa mieszanina wrzasków, ryku, jęków i powarkiwań, jakby zgraję dzikich zwierząt ogarnął nagły szal.

– Pójdziemy asystować przy narodzinach potworów – powiedział Ras Thavas. – Mogą nas tam potrzebować.

7.

KADZIE ŻYCIA

Ras Thavas zaprowadził nas do ogromnego pomieszczenia, gdzie naszym oczom ukazało się widowisko, jakiego nie widziano chyba jeszcze w żadnym zakątku wszechświata. Pośrodku sali stał olbrzymi zbiornik wysoki na jakieś cztery stopy, z którego wyłaniały się potworne szkaradzieństwa, przekraczające niemal możliwości ludzkiej wyobraźni. Otaczała go liczna grupa hormadów z oficerami, którzy rzucali się na te groteskowe istoty, przygniatając je do podłogi i wiążąc, lub – jeśli okazały się zbyt mocno zdeformowane, aby móc służyć w roli wojownika – uśmiercając je. Zabijano w ten sposób co najmniej połowę, odpychające karykatury życia niepodobne do zwierzęcia ani człowieka. Jedno z tych stworzeń składało się tylko z bryły żywego mięsa z pojedynczym okiem i jedną dłonią. U innego ręce i nogi były zamienione miejscami, przez co poruszało się odwrócone, z głową między nogami. U wielu części twarzy uległy groteskowemu przemieszczeniu. Ich nosy, uszy, oczy i usta były rozsiane bezładnie po całym tułowiu lub na kończynach. Wszystkie z nich uśmiercano, pozostawiając przy życiu tylko te, które miały dwie ręce i dwie nogi oraz części twarzy umieszczone gdzieś na głowie. Mogły mieć nos pod uchem a usta nad oczami, ale o ile tylko jako tako funkcjonowały, ich wygląd nie był istotny.

Ras Thavas przyglądał się im z wyraźną dumą.

– I co o nich myślisz? – zwrócił się do Johna Cartera.

– Okropność – odpowiedział.

Naukowiec sprawiał wrażenie urażonego.

– Nie próbowałem zbliżyć się do ideału piękna – stwierdził. – Przyznam też, że nie udało mi się nawet osiągnąć symetrii, ale na to przyjdzie jeszcze pora. Stworzyłem istoty ludzkie. Pewnego dnia stworzę człowieka doskonałego i Barsoom zasiedli nowa rasa nadludzi: pięknych, inteligentnych i nieśmiertelnych.

– A tymczasem te stworzenia rozejdą się po całym świecie i podbiją go. Unicestwią twoich nadludzi. Stworzyłeś armię potworów, które przyniosą zagładę nie tylko tobie, ale całemu cywilizowanemu światu. Nie przyszło ci to nigdy do głowy?

– Owszem, ale nie zamierzałem przecież tworzyć ich aż tak wielu. To pomysł siedmiu jedów. Chciałem wyhodować tylko tylu, aby stworzyć niewielką armię, która pomogłaby mi zdobyć Toonol oraz odzyskać moją wyspę i dawne laboratorium.

Harmider w pomieszczeniu wzmógł się tak bardzo, że dalsza rozmowa była niemożliwa. Po posadzce toczyły się wrzeszczące niemiłosiernie głowy. Hormadowie wyciągali za drzwi świeżo powstałe istoty, które uznano za zdatne do życia, a na ich miejsce pojawiali się nowi. Z kadzi, kipiącej drgającymi ciałami niczym ogromny kocioł czarownicy, wyłaniały się nieprzerwanie nowe stworzenia. Ta sama scena rozgrywała się w czterdziestu podobnych pomieszczeniach w całym mieście, podczas gdy przez bramy wylewał się strumień świeżych hormadów, oswajanych i szkolonych przez oficerów oraz co bardziej inteligentnych współtowarzyszy.

Z ulgą i zachwytem usłyszałem, jak Ras Thavas zaproponował abyśmy obejrzeliby kolejny etap jego prac i pozwolił nam tym samym opuścić tę salę rodem z koszmaru. Zabrał nas do innego pomieszczenia, gdzie odbywała się rekonstrukcja hormadów. Głowom odrastały tu ciała, a bezgłowym ciałom – nowe głowy. Wojownicy, którzy stracili ręce czy nogi,

wykształcali tu nowe. Czasami coś szło źle, a wtedy uciętej głowie z szyi wyrastała jedynie samotna noga.

Identyczny przypadek znajdował się wśród tych, które ujrzeliśmy. Głowa była z tego powodu rozszerzona i zachowywała się wręcz obelżywie, obrzucając Ras Thavasa wyzwiskami.

– Co ci po mnie z jedną głową i jedną nogą? – pytała. – Podobno jesteś największym umysłem Marsa! Też coś! Twój mózg nie dorównuje nawet sorakowi. Kiedy one tworzą swoje młode, obdarzają je ciałem i sześcioma nogami, że o głowie nie wspomnę. I co teraz zrobisz? Bardzo chciałbym wiedzieć.

– Cóż – powiedział chirurg zamyślonym głosem – zawsze mogę cię pokroić i wrzucić z powrotem do kadzi.

– Nie! Nie! – wrzasnęła głowa. – Daruj mi życie, ale odetnij tę nogę i pozwól spróbować wyhodować ciało.

– Świetnie – powiedział Ras Thavas. – Zrobimy to jutro.

– Po co takie stworzenie chce żyć? – zapytałem, kiedy je minęliśmy.

– To cecha wszelkiego życia, bez względu na to, w jak niskiej postaci występuje – odparł. – Nawet te nieszczęsne, bezpłciowe monstra, których jedyną przyjemnością jest pożeranie surowego mięsa, pragną żyć. Nie śniły nawet o przyjaźni czy miłości, nie posiadają zasobów intelektualnych czy duchowych, z których mogłyby czerpać satysfakcję lub zadowolenie, a mimo to chcą żyć.

– Ależ mówią o przyjaźni – zauważyłem. – Głowa Tor-dur-bara powiedziała mi, abym nie zapomniał, że jest moim przyjacielem.

– Znają to słowo, ale jestem przekonany, że nie rozumieją jego subtelniejszych konotacji – odparł Ras Thavas. – Do pierwszych rzeczy, jakich się uczą, należy posłuszeństwo. Możliwe, iż chciał powiedzieć, że będzie cię słuchał i służył ci. Teraz może nawet cię nie pamięta. Niektórzy nie mają praktycznie żadnych wspomnień. Wszystkie ich reakcje są czysto mechaniczne. Reagują na często powtarzane bodźce i rozkazy:

maszeruj, walcz, przyjdź, odejdź, stój. Poza tym robią to, co większość ich towarzyszy. Chodźcie! Odszukamy tę głowę i przekonamy się, czy cię pamięta. To będzie ciekawy eksperyment!

Przeszliśmy do kolejnego pomieszczenia, w którym hormadowie przechodzili rekonstrukcję. Ras Thavas powiedział coś do dowódcy zmiany, na co ten zaprowadził nas na drugi koniec pomieszczenia, gdzie stała wielka kadź, w której tułowiom wyrastały nowe ramiona, głowy lub nogi, a kilka głów wykształcało nowe ciała.

Zaledwie podeszliśmy do zbiornika, któraś z głów powiedziała głośno:

– Kaor, Vor Daj! – Był to Cztery-miliony-osiem we własnej osobie.

– Kaor, Tor-dur-barze! – odpowiedziałem. – Cieszę cię, że cię znów widzę.

– Nie zapomnij, że masz w Morbus przyjaciela – oznajmił. – Niedługo będę miał nowe ciało, a wtedy, o ile będziesz mnie potrzebował, gotów jestem ci służyć.

– Niezwykła inteligencja jak na hormada – stwierdził Ras Thavas. – Muszę mieć na niego oko.

– Taki mózg, jak mój, zasługuje na ładne ciało – rzucił Tor-dur-bar. – Chciałbym być przystojny, jak Vor Daj albo jego przyjaciel.

– Zobaczymy – powiedział Ras Thavas, po czym nachylił się do głowy. – Teraz już o tym nie mów – szepnął. – Po prostu zaufaj mi.

– Ile potrwa, zanim odrośnie mu ciało?- zapytał John Carter.

– Dziewięć dni, ale możliwe, że nie będzie nadawało się do użytku, a wtedy trzeba będzie zacząć od nowa. Wiele zdmiałem, ale nadal nie potrafię kierować wzrostem ciał ani ich członków. Zwykle z głowy wyrasta ciało, ale może okazać się przy tym tak zdeformowane, że będzie bezużyteczne, czasem znów może to być tylko część ciała albo druga głowa. Pewnego dnia nauczę się kontrolować ten proces, a wtedy stworzę doskonałe istoty ludzkie.

– O ile istnieje Wszechmogący, to ta uzurpacja jego mocy może nie przypaść mu do gustu – zauważył Wódz z uśmiechem.

– Pochodzenie życia to niewyjaśniona zagadka – oświadczył Ras Thavas – i równie wiele dowodów wskazuje na to, że było dziełem przypadku, jak na to, że powstało dzięki jakiejś istocie wyższej. Rozumiem, że wasi ziemscy naukowcy uważają, iż całe tamtejsze życie wykształciło się z niezwykle prymitywnej formy życia zwierzęcego zwanej amebą, mikroskopijnej jądrzastej masy protoplazmy, pozbawionej choćby podstawowej świadomości czy intelektu. Równie dobrze jakiś wszechmocny stwórca mógł powołać najpierw do życia najwyższą wyobraźną formę – istotę doskonałą – choć żadne ze stworzeń zamieszkujących obie planety nie jest doskonałe ani nawet bliskie ideału.

– Na Marsie wyznajemy odmienną teorię stworzenia i ewolucji. Uważamy, że w miarę ochładzania się planety, związki chemiczne połączyły się, tworząc zarodnik, podstawę wszelkiego życia roślinnego, które po niezliczonych wiekach dało początek Drzewu Życia, które mogło rozwinąć się, jak chcą niektórzy, dwadzieścia trzy miliony lat temu w Dolinie Dor, a może gdzie indziej. Przez niezliczone wieki owoce tego drzewa przechodziły stopniowe przemiany, ewoluując od czystej rośliny do hybrydy rośliny i zwierzęcia. W pierwszych stadiach, owoc, wciąż połączony z rośliną macierzystą przez szypułkę, mógł tylko poruszać mięśniami; następnie wykształcił mózg, dzięki czemu zaczął myśleć i poruszać się jak samodzielna istota. Następnie, z rozwojem postrzegania, pojawiła się zdolność porównywania wrażeń, oraz formowania i zestawiania osądów, a w ten sposób na Barsoom zrodził się intelekt i zdolność rozumowania.

– Mijały wieki. Drzewo Życia wykształciło i odrzuciło wiele form, ale wszystkie były nadal połączone z macierzystą rośliną różnej długości szypułkami. Ostatecznie, owoc przekształcił się w postać maleńkich ludzi-roślin, podobnych do tych, których można wciąż spotkać w innej skali

w Dolinie Dor. Nadal tkwili jednak w gałęziach Drzewa, uczepieni ich wyrastającymi z czubka głowy szypułkami.

– Zarodki, z których rozwinęli się ludzie-rośliny, przypominały wielkie orzechy, o średnicy mniej więcej stopy, przedzielone podwójną ścianką na cztery części. Jedna z nich mieściła człowieka-roślinę, druga – sześcionogiego robaka, trzecia – przodka białych małp, a czwarta – prymitywnych ludzi z Barsoom.

– Kiedy pączek pękł, człowiek-roślina nadal wisiał na końcu szypułki, ale pozostałe trzy części spadły na powierzchnię, gdzie uwięzione w nich istoty, próbując uwolnić się, rozbiegły się na wszystkie strony świata.

– Z czasem rozprzestrzeniły się w ten sposób po całej planecie. Przetrwały wieki w swoich twardych skorupach, skacząc tu i tam, wpadając do istniejących wtedy jeszcze rzek, jezior i mórz, które roznosiły je po całym świecie. Niezliczone miliardy zdążyły umrzeć, zanim na światło dzienne wydobyła się ze swojego więzienia pierwsza istota ludzka.

– Pchana ciekawością, rozbiła pozostałe skorupy i Barsoom zaczął się zaludniać. Drzewo Życia wprawdzie obumarło, ale zanim do tego doszło, ludzie-rośliny nauczyli się oddzielać od niego, a ich dwupłciowość pozwalała im rozmnażać się na wzór prawdziwych roślin.

– Spotkałem ich w Dolinie Dor – powiedział John Carter. – Każdy nosił pod ramionami małe ludziki, wiszące na ogonku przyczepionym do czubka głowy.

– Tak właśnie powstały wszystkie obecne formy życia – ciągnął Ras Thavas – a studiując je od najbardziej prymitywnych po najbardziej skomplikowane, nauczyłem się tworzyć życie.

– Kto wie, czy nie na własną zgubę – zasugerowałem.

– Kto wie – przytaknął.

8.

CZERWONY ZABÓJCA

Dni mijały, a Ras Thavas trzymał nas niemal stale przy sobie; w pobliżu kręcił się jednak niezmiennie ktoś jeszcze, przez co nie mieliśmy zbyt wielu okazji do planowania, ponieważ nie mogliśmy odróżnić przyjaciół od szpiegów. Myśli o Janai napełniały mnie smutkiem i stale wypatrywałem sposobu, dzięki któremu mógłbym dowiedzieć się czegoś o jej losach.

Ras Thavas ostrzegł, żebym nie okazywał zbyt wiele zainteresowania dziewczyną, ponieważ mogło to wzbudzić podejrzenia, które doprowadziłyby do mojej śmierci. Zapewnił jednak, że pomoże mi w każdy możliwy sposób, który pozwoli mi uniknąć podejrzeń, aż wreszcie pewnego dnia udało mu się coś wymyśleć.

Mieliśmy wysłać grupę nieprzeciętnie inteligentnych hormadów przed Radę Siedmiu, aby przebadano ich pod kątem zdatności do służby w osobistej straży utrzymywanej przez każdego z jedów. Ras Thavas wyprawił mnie tam w towarzystwie innych oficerów. Po raz pierwszy znalazłem się poza laboratorium, ponieważ żaden z nas nie mógł go opuszczać z wyjątkiem oficjalnych zadań, takich jak to.

Kiedy wszedłem do wielkiego budynku, który pełnił funkcję pałacu Siedmiu Jedów, moje myśli pochłaniały całkowicie myśli o Janai i nadzieja, że uda mi się ją gdzieś wypatrzeć. Zaglądałem w korytarze, zerkałem przez otwarte drzwi, rozważałem nawet opuszczenie grupy i ukrycie się w jednym z mijanych pomieszczeń, aby później spróbować przeszukać

pałac. Ostatecznie zdrowy rozsądek wziął jednak górę i poszedłem dalej do wielkiej sali, gdzie zasiadała Rada Siedmiu.

Hormadowie zostali poddani drobiazgowemu przesłuchaniu, a przysłuchując się uważnie pytaniom i odpowiedziom, oraz obserwując reakcje jedów, zacząłem formować w myślach pewien plan. Gdyby udało mi się sprawić, aby Tor-dur-bara przydzielono do straży pałacowej jeda, mógłbym dowiedzieć się, co stało się z Janai. W swoim czasie dowiedcie się, jak odmiennie potoczyły się losy i jak niezwykła była ostateczna wersja zdarzeń.

Nie wyszliśmy jeszcze z sali, kiedy weszła do niej grupa wojowników, prowadząc ze sobą jeńca – kroczącego dumnie czerwonego człowieka, pokrytego bliznami wojownika, którego szyderczy grymas i pełne buty zachowanie sprawiały wrażenie wystudiowanych i stosowanych rozmyślnie, aby znieważać strażników i siedmiu jedów. Potężnie zbudowany, mimo starań wojowników, omal nie przedarł się do stóp podwyższenia, zanim go powstrzymano.

– Co to za człowiek? – zapytał jeden z jedów.

– Jestem Gantun Gur, zabójca z Amhor! – ryknął więzień donośnym głosem. – Oddajcie mi miecz, śmierdzące szczury, a pokażę wam, co robi prawdziwy wojownik z waszymi zdeformowanymi potworami i wami samymi. Złapali mnie w sieci! Przyzwoici ludzie nie postępują w ten sposób z wojownikiem.

– Milcz! – rzucił jed, poblady z gniewu i urażony tym, że nazwano go śmierdzącym szczurem.

– Mam milczeć? – krzyknął Gantun Gur. – Na wszystkich przodków! Nie ma człowieka, który potrafiłby zmusić mnie do milczenia. Chodź tu i spróbuj, jeden na jednego, płaczliwy robaku.

– Wyprowadzić go! – zawołał jed. – Zabrać go do Ras Thavasa! Niech usunie mu mózg i spali go. Z ciałem może zrobić, co zechce.

Gantun Gur walczył jak opętany, kładąc hormadów pokotem na lewo i prawo. Pokonali go dopiero ponownie zarzucając na niego sieci. Ciskając gromko przekleństwami i zniewagami, został powleczony do laboratorium.

Zaraz po tym incydencie, jedowie wybrali hormadów, których chcieli zostawić przy sobie. Resztę wyprowadziliśmy z sali i przekazaliśmy oficerom, którzy rozdysponowali nimi według własnego uznania. Następnie wróciłem do laboratorium, nie ujrzawszy nawet Janai, ani nie dowiedziawszy się niczego na jej temat. Byłem przybity i straszliwie rozczarowany.

Zastałem Ras Thavasa w małym, prywatnym gabinecie w towarzystwie Johna Cartera i względnie prawidłowo rozwiniętego hormady. Kiedy wszedłem, ten ostatni stał obrócony plecami do mnie. Na dźwięk mojego głosu, odwrócił się i pozdrowił mnie po imieniu. Był to Tor-dur-bar z nowym ciałem. Jedna ręka była nieco dłuższa od drugiej, tułów nieproporcjonalny w stosunku do krótkich nóg, na jednej stopie miał sześć palców, a na lewej dłoni dodatkowy kciuk; ale ogólnie rzecz biorąc, jak na hormadę, był całkiem udanym okazem.

– Oto i ja, zupełnie jak nowy! – zawołał z szerokim uśmiechem na okropnym obliczu. – I jak ci się podobam?

– Cieszę się, że mam w tobie przyjaciela – powiedziałem. – To nowe ciało jest chyba bardzo silne. Wygląda na wspaniale umięśnione.

Rzeczywiście tak było.

– Chciałbym za to mieć takie ciało i twarz jak ty – powiedział Tor-dur-bar. – Rozmawiałem właśnie o tym z Ras Thavasem i obiecał, że zdobędzie je dla mnie, o ile tylko zdoła.

Momentalnie przypomniałem sobie Gantun Gura, zabójcę z Amhor, i wyrok, jaki na niego wydano.

– Zdaje się, że w laboratorium czeka na ciebie całkiem dobre ciało – powiedziałem, po czym zrelacjonowałem im historię zabójcy. – Decyzja należy do Ras Thavasa. Jed powiedział, że z ciałem może zrobić, co zechce.

– Obejrzyjmy tego człowieka – powiedział chirurg i poprowadził nas do sali przyjęć, gdzie trzymano świeże ofiary, czekające na jego dyspozycje.

Zastaliśmy Gantun Gura w pętach, pod silną strażą. Na nasz widok zaczął ryczeć i miotać się, obrzucając obelgami całą naszą trójkę. Wyglądało na to, że miał naprawdę paskudny charakter. Ras Thavas przez chwilę mierzył go wzrokiem w milczeniu, po czym odprawił eskortę, która go przyprowadziła.

– Zajmiemy się nim – powiedział. – Zameldujcie Radzie Siedmiu, że mózg zostanie spalony, a z ciała zrobię dobry użytek.

Słyszając to, Gantun Gur wygłosił taką tyradę, iż odniosłem wrażenie, że oszalał. Możliwe, że tak właśnie było. Zgrzytał zębami, toczył pianę z ust i obrzucał Ras Thavasa wszelkimi obelgami, jakie ślina przyniosła mu na język.

Ras Thavas odwrócił się do Tor-dur-bara.

– Dasz radę go ponieść?

W odpowiedzi, hormad uniósł czerwonego człowieka, jakby ten nic nie ważył, i zarzucił sobie na szerokie barki. Nowe ciało Tor-dur-bara rzeczywiście było niewiarygodnie silne.

Chirurg poprowadził nas z powrotem do prywatnego gabinetu, a stamtąd przez małe drzwiczki do pomieszczenia, którego jeszcze nie widziałem. Stały tam dwa stoły, w odległości około dwudziestu cali jeden od drugiego, każdy z blatem z wypolerowanego starannie wytrzymałego ersytu. Na końcu każdego stołu wisiała półka z dwoma pustymi naczyniami ze szkła i dwoma innymi, wypełnionymi podobnym do wody, bezbarwnym, przejrzystym płynem. Pod każdym stołem był mały silnik. Zauważyłem też ułożone schludnie instrumenty chirurgiczne, rozmaite naczynia z kolorowymi płynami i przybory, jakie można znaleźć w laboratorium lub szpitalu, o których przeznaczeniu nie wiedziałem zgoła nic, ponieważ jestem przede wszystkim wojownikiem i niczym poza tym.

Ras Thavas polecił Tor-dur-barowi położyć Gantun Gura na jednym ze stołów.

– Teraz sam połóż się na drugim – powiedział.

– Naprawdę to zrobisz? – zawołał Tor-dur-bar. – Podarujesz mi nowe, piękne ciało i twarz?

– Nie nazwałbym go szczególnie pięknym – zauważył z lekkim uśmiechem Ras Thavas.

– Ależ jest cudowne! – zawołał Tor-dur-bar. – Pozostanę na zawsze twoim niewolnikiem, jeśli to dla mnie zrobisz!

Choć Gantun Gur był solidnie związany, musieliśmy przytrzymać go obaj, John Carter i ja, podczas gdy Ras Thavas zrobił dwa nacięcia, jedno na grubej żyłę, drugie w tętnicy. Wprowadził do nich tuby, z których jedna połączona była z pustym szklanym naczyniem, a druga z podobnym pojemnikiem, wypełnionym bezbarwnym płynem. Skończywszy je wprowadzać do organizmu zabójcy, wcisnął guzik uruchamiający zamontowany pod stołem silnik i krew Gantun Gura została przepompowana do pustego naczynia, podczas gdy zawartość drugiego słoja została wtłoczona do opróżniającego się krwioobiegu zabójcy. Recz jasna, niemal zaraz po włączeniu silnika Gantun Gur stracił przytomność i odetchnąłem z ulgą, kiedy umilkł. Gdy cała krew w jego ciele została zastąpiona bezbarwną cieczą, Ras Thavas wyjął przewody i zalepił otwory po nich kawałkami plastra, po czym odwrócił się do Tor-dur-bara.

– Naprawdę jesteś pewny, że chcesz zostać czerwonym człowiekiem? – zapytał.

– Nie mogę się tego doczekać – padło w odpowiedzi.

Ras Thavas powtórzył zabieg, jaki wykonał przed chwilą na Gantun Gurze, po czym spryskał oba ciała płynem, który jak nam wyjaśnił, był silnym środkiem antyseptycznym. Następnie spryskał nim siebie, myjąc dokładnie dłonie. Wreszcie wziął do ręki ostry lancet i zdjął z obu ciał skalpy, podążając za linią włosów wokół całej głowy. Skończywszy,

przepiłował obu pacjentom czaszki zamontowaną na końcu elastycznego obrotowego ramienia okrągłą piłą, podążając za linią odsłoniętą po zdjęciu skalpów.

Przystąpił wreszcie do długiej i przeprowadzonej z niesamowitą wprawą operacji, a po czterech godzinach przeniósł mózg Tor-dur-bara do czaszki człowieka, który jeszcze niedawno był Gantun Gurem. Połączył wprawnie rozcięte nerwy i zwoje nerwowe, osadził na miejscu czaszkę i skalp, po czym owinął ciasno głowę plastrem, który miał nie tylko działanie antyseptyczne i zablizniające, ale zapewniał też miejscowe znieczulenie.

Podgrzał teraz krew pobraną z ciała Gantun Gura, dodając do niej parę kropel jakiejś przejrzystej mikstury, a w końcu wypompował płyn konserwujący z krwiobiegu, zastępując go krwią. Zaraz potem zrobił mu zastrzyk.

– Za godzinę Tor-dur-bar obudzi się do nowego życia w świeżym ciele – powiedział.

Kiedy przyglądałem się tej niesamowitej operacji, przyszedł mi do głowy szaleńczy plan, dzięki któremu mógłbym dotrzeć do Janai albo przynajmniej dowiedzieć się, co ją spotkało.

– Czy gdyby zaszła taka potrzeba, potrafiłbyś przenieść mózg Gantun Gura z powrotem do jego głowy? – zwróciłem się do Ras Thavasa.

– Oczywiście.

– Albo przeszczepić go do pustej czaszki Tor-dur-bara?

– Tak.

– Ile czasu po usunięciu mózgu trzeba zastąpić go innym?

– Płyn, którym wypełniam krwiobieg, pozwala zachować ciało przez nieograniczony okres czasu. Podobnie konserwuję wypompowaną z ciała krew. Do czego zmierzasz?

– Chcę żebyś przeniósł mój mózg do ciała Tor-dur-bara.

– Oszalałeś? – wtrącił się John Carter.

– Nie. No chyba, że miłość to szaleństwo. Moglibyście posłać mnie jako hormada do Rady Siedmiu i możliwe, że wybraliby mnie do służby. To całkiem prawdopodobne, ponieważ wiem, jak odpowiadać na ich pytania. Skoro się tam znajdę, może uda mi się znaleźć okazję, żeby dowiedzieć się, co się stało z Janai. Może nawet uda mi się ją uratować. A bez względu na to, czy uda mi się czy nie, Ras Thavas zawsze może przenieść mój mózg z powrotem do mojego ciała. Zrobisz to, Ras Thavasie?

Chirurg posłał w stronę Johna Cartera pytające spojrzenie.

– Nie mogę mu tego zabronić – powiedział Wódz. – Ciało i mózg Vor Daja należą do niego samego.

– Świetnie! – stwierdził Ras Thavas. – Pomóż mi zdjąć nowego Tor-durbara ze stołu i połóż się na nim.

9.

PRZEMIANA W HORMADĘ

Kiedy odzyskałem przytomność i otworzyłem oczy, przywitał mnie widok mojego ciała leżącego obok na ersytowym blacie. Oglądanie własnych zwłok było dość makabrycznym przeżyciem, ale kiedy podniosłem się i spojrzałem na nowe ciało, było jeszcze gorzej. Nie przewidziałem tego, jak koszmarne mogło być życie w postaci zdeformowanego hormady o odpychającym obliczu. Czuję niemal odrazę na myśl o dotknięciu się swoimi nowymi dłońmi. A gdyby coś przydarzyło się Ras Thavasowi? Na tę myśl oblał mnie zimny pot. Chirurg i John Carter stali w miejscu, mierząc mnie wzrokiem.

– Co się stało? – zapytał Ras Thavas. – Wyglądasz na chorego.

Powiedziałem mu o obawach, które nagle mnie opadły. Wzruszył ramionami.

– To byłby zwykły pech – oświadczył. – Na całym świecie, a może i we wszechświecie, jest tylko jeden człowiek poza mną, który potrafiłby przenieść twój mózg z powrotem do twojego ciała, gdyby coś mi się przypadkiem stało. Ale dopóki Morbus jest rządzony przez hormadów, nie zdołałbyś go tu ściągnąć.

– Kto to taki? – zapytałem.

– Vad Varo, obecny książę Duhor a kiedyś Ulysses Paxton z Jasoom. W Toonol był moim asystentem. To on przeniósł mój stary mózg do tego młodego ciała. Ale nie martw się. Żyję już ponad tysiąc lat, a hormadowie potrzebują mnie. Nie ma powodu, dla którego nie miałbym przeżyć

kolejnego tysiąca. Przedtem wyszkolę kolejnego asystenta, aby przeszczepił mój mózg do nowego ciała, a więc jak widzisz, będę żył wiecznie.

– Mam nadzieję – powiedziałem. W tej samej chwili zauważyłem na podłodze ciało zabójcy z Amhor. – Co się stało z Tor-dur-barem? – spytałem. – Powinien chyba ocknąć się przede mną?

– Dopilnowałem, żeby stało się inaczej – powiedział Ras Thavas. – Uzналиśmy z Johnem Carterem, że dobrze byłoby, gdyby nikt poza nami nie wiedział, że twój mózg trafił do ciała hormady.

– Racja. Niech myślą, że jestem w pełni hormadą.

– Przenieś Tor-dur-bara do mojego gabinetu. Tam odzyska przytomność, ale przedtem musisz zejść mu z oczu. Idź do laboratorium i pomóż przy wyciąganiu nowych hormadów z kadzi. Powiesz oficerowi, że to ja cię przysłałem.

– Ale czy Tor-dur-bar nie rozpozna mnie potem, kiedy mnie zobaczy?

– Nie sądzę. Nie widywał własnej twarzy na tyle często, żeby się z nią oswoić. W Morbus jest niewiele luster, a nowe ciało posiadał tak krótko, że istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, aby je rozpoznał. Gdyby tak się jednak stało, będziemy musieli mu powiedzieć.

Kolejne dni były niewymownie nieprzyjemne. Byłem hormadą, musiałem więc trzymać się towarzystwa innych hormadów i jeść z nimi surowe syntetyczne mięso. Ras Thavas dał mi broń, którą uśmiercałem straszliwe ludzkie karykatury, wydobywane z koszmarnych kadzi laboratorium w tak zdeformowanej postaci, że nawet jako hormadowie nie nadawały się do niczego. Pewnego dnia natknąłem się na Teeaytan-ova, z którym przyleciałem do Morbus na grzbiecie malagora. Rozpoznał mnie, tak mi się przynajmniej zdawało.

– Kaor, Tor-dur-barze! – pozdrowił mnie. – A zatem masz nowe ciało! Co się stało z moim przyjacielem, Vor Dajem?

– Nie wiem, może trafił do kadzi. Często o tobie wspominał, zanim ślad po nim zaginął. Zależało mu na tym, żebyśmy my dwaj zaprzyjaźnili się

ze sobą.

– Dlaczego nie? – stwierdził.

– Sądzę, że to wspaniały pomysł – powiedziałem, ponieważ zależało mi na wszelkich przyjaciółach, jakich mogłem znaleźć. – Co teraz porabiasz?

– Należę do straży trzeciego jeda i mieszkam w pałacu.

– Świetnie! Pewnie widzisz wszystko, co się tam dzieje.

– Owszem, sporo. Na sam widok chciałoby się być jedem. Chciałbym mieć nowe ciało, takie jak oni.

– Ciekawe, co się stało z tą dziewczyną, która trafiła do pałacu tego samego dnia, co Vor Daj? – zaryzykowałem pytanie.

– Jaką dziewczyną?

– Miała na imię Janai.

– A, o nią chodzi. Nadal tam jest. Pożąda jej dwóch jedów, a pozostali nie chcieli odstąpić jej żadnemu z nich. Tak przynajmniej było do teraz. Niedługo będą nad tym głosować. Wydaje mi się, że pragną jej wszyscy. To najładniejsza kobieta, jaką od dawna schwytano.

– A zatem jest na razie bezpieczna?

– Co chcesz przez to powiedzieć? Dopisze jej szczęście, jeśli przypadnie któremuś z jedów. Będzie żyła w luksusach i nie trafi do kadzi Ras Thavasa. Ale dlaczego tak się nią interesujesz? Może chcesz jej dla siebie?

– Wybuchł śmiechem. Dopiero byłby zdziwiony, gdyby dowiedział się, że trafił w sedno.

– Jak ci się podoba służba w straży jeda? – zapytałem.

– Bardzo dobrze. Nieźle mnie traktują, mam mnóstwo jedzenia, wygodne miejsce do spania i nie muszę ciężko pracować. Mam też dużo swobody. Mogę poruszać się po całej wyspie, z wyjątkiem prywatnych kwater jedów. Ty nie możesz wyjść nawet z tego laboratorium. – Dotknął medalu zawieszzonego na łańcuchu zwisającym mu z karku. – To właśnie daje mi tyle swobody – oznajmił. – To znak, że jestem na służbie trzeciego

jeda. Nikt nie ośmieli się stawać mi na drodze. Jestem teraz kimś ważnym, Tor-dur-barze. Żal mi cię, zlepku zwierzęcych tkanek, obdarzonych mową i zdolnością chodzenia.

– Miło mieć tak ważnego przyjaciela – oznajmiłem. – Zwłaszcza takiego, który pomoże mi, o ile tylko zdoła.

– W jaki sposób miałbym ci pomóc? – zapytał.

– Jedynie stale potrzebują nowych wojowników, aby zastąpili poległych. Byłbym dobrym strażnikiem i wspaniale byłoby służyć razem z tobą. A zatem, gdybym trafił do grupy wybranej do przesłuchania przed jedami, mógłbyś wtrącić za mną dobre słowo, kiedy spytają, czy ktoś mnie zna.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę bez pośpiechu, aż wreszcie stwierdził:

– Dlaczego nie? Wyglądasz na siłacza, a czasami, kiedy strażnicy zaczynają kłócić się między sobą, dobrze byłoby mieć silnego przyjaciela. Dobrze, pomogę ci, jeśli zdołam. Czasami pytają nas, czy znamy silnego i inteligentnego wojownika, po czym posyłają po niego i poddają badaniu. Oczywiście, nie jesteś zbyt inteligentny, ale może przyjmą cię dzięki twojej sile. Ile tak naprawdę masz w sobie krzepy?

Właściwie sam tego nie wiedziałem. Zdawałem sobie tylko sprawę, że byłem nieprzeciętnie silny, skoro z łatwością unosiłem ciała w laboratorium.

– Nie wiem – odpowiedziałem.

– Dałbyś radę mnie podnieść? Jestem naprawdę ciężki.

– Mogę spróbować – powiedziałem. Uniosłem go z łatwością. Zdawał się nic nie ważyć; uznałem więc, że przekonam się, czy zdołam go podrzucić. Efekt przeszedł wszelkie nasze oczekiwania. Cisnąłem nim prawie do sufitu i złapałem, gdy spadał. Kiedy postawiłem go na nogi, spojrzał na mnie w zdumieniu.

– Jesteś największym siłaczem w Morbus – stwierdził. – Nie było jeszcze drugiego takiego. Opowiem o tobie trzeciemu jedowi.

Odszedł, zostawiając mnie z tą nadzieją. Przedtem spodziewałem się, że w najlepszym wypadku Ras Thavas przypisze mnie pewnego dnia do grupy hormadów wysyłanych na badanie przed jedów, ale ponieważ szeregi strażników zasilali często poborowi z osad poza miastem, nie wiadomo jak długo musiałbym czekać, zanim nadarzyłaby się taka okazja.

Ras Thavas zrobił mnie osobistym służącym Johna Cartera, byliśmy więc nierozłączni, a ponieważ Wódz pracował stale z chirurgiem, często spędzaliśmy czas w trójkę. W obecności innych odnosili się do mnie, jak do każdego innego hormady – nierozumnego, tępego sługi – ale kiedy zostawialiśmy sami, traktowali mnie znów jako równego. Obaj dziwili się mojej ogromnej sile, która była tylko jedną z osobliwości nowego ciała Tor-dur-bara, i byłem pewny, że Ras Thavas chciałby pokroić mnie na kawałki i wrzucić z powrotem do kadzi z nadzieją, że stworzy w ten sposób nowy szczep nadzwyczajnie potężnych hormadów.

John Carter to jedna z najbardziej ludzkich znanych mi osób. W każdym tego słowa znaczeniu jest wielkim człowiekiem: mężem stanu, żołnierzem, możliwe również że największym szermierzem w dziejach, przerażającym i nieustępliwym w walce. Przy tym wszystkim jednak jest skromny i przystępny, i nie traci nigdy poczucia humoru. Kiedy byliśmy sami, żartował ze mną na temat mojej nowej „urody”, zanosząc się cichym śmiechem, aż trzęsły mu się boki. Istotnie przedstawiałem widok, który mógł wzbudzać śmiech i grozę jednocześnie. Z wielkim tułowiem na krótkich nogach, prawą ręką sięgającą poniżej kolan i lewą zaledwie nieco niżej talii, byłem zupełnie nieproporcjonalny.

– Największa twoja zaleta to twarz – powiedział, przyjrzawszy mi się przez dłuższą chwilę. – Chciałbym zabrać cię w tej postaci do Helium i zaprezentować na następnym przyjęciu u jeddaka. Zdajesz sobie, oczywiście sprawę, że uważano cię za jednego z najprzystojniejszych

mężczyzn w Helium. Powiedziałbym: „Oto szlachetny Vor Daj, padwar mojej straży”, a kobiety zleciałyby się do ciebie!

Moja twarz rzeczywiście przyciągała uwagę. Żadna część nie znajdowała się na swoim miejscu, a wszystkie były dysproporcjonalne – jedne za wielkie, inne znów za małe. Prawe oko wyrosło wysoko na czole, tuż pod linią włosów, i było dwa razy większe od lewego, które znajdowało się około pół cala przed lewym uchem. Usta zaczynały się na podbródku i biegły w górę pod kątem mniej więcej 45 stopni, kończąc się nieco pod prawym okiem. Nos był ledwie załączkiem i zajmował miejsce, w którym powinno tkwić lewe oko. Jedno ucho było maleńkie i przylegało do czaszki, podczas gdy drugie zwisało bezkształtną masą prawie do ramienia. Zaczynałem w związku z tym wierzyć, że symetryczna budowa zwykłych ludzi mogła nie być do końca dziełem przypadku, jak uważał Ras Thavas.

Tor-dur-bar, w nowym ciele chciał dostać imię zamiast numeru; John Carter i Ras Thavas ochrztili go więc Tun-gan, przedstawiając sylaby w imieniu zabójcy z Amhor. Kiedy opowiedziałem im o rozmowie z Teeaytan-ovem, zgodzili się, że powinienem pozostać przy imieniu Tor-dur-bara. Ras Thavas stwierdził, że powie Tun-ganowi, iż przeniósł do jego dawnego ciała nowy mózg hormady. Tak też zrobił przy pierwszej okazji.

Niedługo po tym natknąłem się na Tun-gana w jednym z korytarzy laboratorium. Mierzył mnie przez chwilę wzrokiem, po czym zatrzymał mnie.

– Jak masz na imię? – zapytał.

– Tor-dur-bar – odpowiedziałem.

Wzdrygnął się zauważalnie.

– Naprawdę jesteś tak odrażający, jak się wydajesz? – zapytał, po czym nie czekając na odpowiedź dodał: – Zejdź mi z oczu, o ile nie chcesz trafić do spalarni albo do kadzi.

Kiedy opowiedziałem o tym Johnowi Carterowi i Ras Thavasowi, uśmiechali się. Dobrze było pośmiać się od czasu do czasu, ponieważ

w laboratorium niewiele było zabawnych rzeczy. Martwiłem się o Janai i o to, że być może nigdy nie odzyskam poprzedniego ciała; Ras Thavas był przybity z powodu niepowodzenia planów na odzyskanie dawnego laboratorium i zemstę na Vobis Kanie; z kolei John Carter w widoczny sposób martwił się stale o los swojej księżniczki.

Kiedy rozmawialiśmy w prywatnym gabinecie Ras Thavasa, zapowiedziano oficera z pałacu. Nie czekając na zaproszenie, wszedł do pokoju.

– Przybyłem po hormadę imieniem Tor-dur-bar – oznajmił. – Poślijcie po niego niezwłocznie. Rozkaz Rady Siedmiu. – Ponury i butny, należał bez wątpienia do tych czerwonoskórych jeńców, którym przeszczepiono mózgi hormadów.

Ras Thavas wzruszył ramionami i wskazał palcem na mnie.

– Oto on.

10.

ZNAJDUJĘ JANAI

Przed podwyższeniem, na którym zasiadało siedmiu jedów, ustawiło się obok mnie siedmiu innych hormadów. Możliwe, że byłem najbrzydszy ze wszystkich obecnych. Zadawano nam wiele pytań. Na swój sposób był to prymitywny test inteligencji, ponieważ jedom zależało na tym, aby w ich wyselekcjonowanej koszmarnej straży służyli wojownicy wykazujący się ponadprzeciętnym intelektem. Dowiedziałem się też, że stawali się wyczuleni na wygląd swoich strażników, ponieważ jeden z nich mierzył mnie przez dłuższą chwilę wzrokiem, po czym skinieniem dłoni kazał mi odsunąć się na bok.

– Nie chcemy w straży tak szkaradnego stworzenia – oświadczył.

Spojrzałem po pozostałych obecnych w pomieszczeniu hormadach i nie odniosłem wrażenia, aby były między nami aż tak wielkie różnice. Wszyscy byli szkaradnymi monstrami. Jakie znaczenie miało, czy byłem nieco bardziej odpychający od nich? Oczywiście, nic nie mogłem zrobić, wobec czego z wielkim rozczarowaniem wycofałem się z szeregu.

Piątka z pozostałej siódemki okazała się ledwie nieco mądrzejsza od idioty, przez co zostali wyeliminowani. Pozostali dwaj byli w najlepszym razie autentycznymi kretynami; mimo to zostali przyjęci do straży. Trzeci jed zwrócił się do jednego z oficerów.

– Gdzie ten hormad, po którego posłałem, Tor-dur-bar?

– To ja – powiedziałem.

– Podejź tu – powiedział trzeci jed. Ponownie stanąłem przed podwyższeniem.

– Jeden z moich strażników twierdzi, że jesteś najsilniejszą istotą w Morbus – ciągnął trzeci jed. – Czy to prawda?

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Jestem bardzo silny.

– Twierdzi, że potrafisz podrzucić człowieka do sufitu i złapać go w locie. Chciałbym zobaczyć, jak to robisz.

Podniosłem jednego z odrzuconych hormadów i cisnąłem nim w górę jak najwyżej potrafiłem. Przekonałem się, że nie poznałem jeszcze w pełni skali własnej siły. Sala była dość wysoka, a jednak nieszczęsne stworzenie uderzyło z głuchym hukiem w sufit i spadło nieprzytomne w moje ramiona. Wszyscy jedowie i reszta zgromadzonych spojrzeli na mnie ze zdumieniem.

– Może i nie jest piękny – powiedział trzeci jed – ale wezmę go na strażnika.

Ten, który kazał mi się odsunąć, sprzeciwił mu się.

– Strażnicy muszą być również inteligentni – oświadczył. – To stworzenie wygląda, jakby nie miało mózgu.

– Przekonamy się – dodał kolejny, po czym zasypali mnie pytaniami. Oczywiście były to proste pytania, na które odpowiadałby z łatwością największy ignorant wśród czerwonych ludzi, skoro zadający je dysponowali tylko mózgami i doświadczeniami hormadów.

– Odpowiedział z łatwością na wszystkie pytania – stwierdził trzeci jed. – Okazał się bardzo inteligentny, upieram się więc przy przyjęciu go do mojej straży.

– Będziemy ciągnąć o niego losy – zaproponował pierwszy.

– Nie ma mowy! – oburzył się trzeci jed. – Należy do mnie. To ja po niego posłałem, a żaden z was w ogóle o nim nie słyszał.

– Poddajmy to głosowaniu – zaproponował czwarty.

Piąty jed, który mnie odrzucił, milczał. Siedział tylko z nachmurzoną twarzą. Wystawiłem go na pośmiewisko, okazując się tak świetnym

kandydatem, że teraz chciało mnie kilku jedów.

– Zagłosujmy, żeby zdecydować, czy oddamy go trzeciemu jedowi czy będziemy ciągnąć o niego losy – powiedział siódmy jed.

– Szkoda waszego czasu – oznajmił trzeci – ponieważ tak czy owak jest mój.

Potężnie zbudowany, był o wiele wyższy niż którykolwiek z towarzyszy.

– Zawsze sprawiasz kłopoty – warknął pierwszy jed.

– To wy je sprawiacie – odciął się trzeci – próbując pozbawić mnie tego, co mi się należy.

– Ma rację – oświadczył drugi jed. – Żaden z nas nie może rościć sobie praw do tego hormady. Chcielibyśmy go odrzucić, dopóki trzeci nie udowodnił, że będzie z niego świetny strażnik.

Sprzecjali się długo, w końcu jednak ulegli trzeciemu jedowi. Miałem nowego pana. Powierzył mnie jednemu ze swoich oficerów, który zabrał mnie, aby wprowadzić w obowiązki pałacowego strażnika.

Udaliśmy się do wielkiej wartowni, gdzie było wielu innych hormadów. Zastaliśmy wśród nich Teeaytan-ova, który od razu zaczął przypisywać swoim zasługom to, że przyjęto mnie do straży. Do pierwszych rzeczy, jakich mnie nauczono, należał fakt, że miałem teraz walczyć dla trzeciego jeda i zginąć w jego obronie, jeśli okaże się to konieczne. Zawieszono mi na szyi znak strażnika, po czym oficer chciał przeszkolić mnie w posługiwaniu się długim mieczem. Musiałem markować niezgrabność, żeby nie odkrył, że posługiwałem się tą bronią lepiej od niego. Skomplementował moją szybkość uczenia się i oznajmił, że zacznie udzielać mi codziennych lekcji.

Moi towarzysze ze straży okazali się zgrają kretynów o nadętym ego. Zazdrościli sobie wzajemnie i jedom, którzy byli ostatecznie tylko hormadami o ciałach czerwonych ludzi. Strażników ograniczał właściwie tylko i wyłącznie strach, ponieważ byli na tyle inteligentni, aby nienawidzić swojej doli i zazdrościć jedom oraz oficerom, którzy posiadali nad nimi

władzę. Zastałem dojrzały grunt do buntu lub rewolucji. Co prawda, był to tylko ukryty prąd, który można było wyczuć przy odrobinie inteligencji, ponieważ strażnicy zbyt mocno bali się szpiegów i donosicieli, aby wyrażać głośno swoje prawdziwe odczucia.

Irytowało mnie teraz wszystko, co opóźniało rozpoczęcie poszukiwań Janai. Nie śmiałem pytać o nią, ponieważ w ten sposób wzbudziłbym natychmiast podejrzenia; nie ośmieliłem się też myszkować po pałacu, póki nie poznałem lepiej obowiązujących tam zwyczajów i rozkładu dnia.

Następnego dnia wyszedłem z oddziałem strażników poza mury miejskie, między zatłoczone wioski zwykłych hormadów. Ujrzałem tam tysiące koszmarnych monstrów, ponurych i głupich, nie znających żadnych przyjemności poza jedzeniem i spaniem, i obdarzonych dawką inteligencji wystarczającą tylko do tego, by odczuwać niezadowolenie ze swojego losu. Wielu, oczywiście, miało jeszcze mniej rozumu i wyobraźni niż zwierzęta. Tylko ci byli zadowoleni.

Wielu obrzucało nas i oficerów spojrzeniami, w których widziałem zazdrość i nienawiść; odprowadzał nas też mrukliwy warkot, jak cichy śpiew wiatru za rufą statku powietrznego. Doszedłem do wniosku, że w swoich pompatycznych planach podboju świata przy pomocy tych stworzeń władcy Morbus musieli liczyć się z wieloma przeszkodami, z których największą miały okazać się na pewno one same.

W końcu poznałem zwyczaje obowiązujące w pałacu i nabrałem orientacji, zacząłem więc przetrząsać systematycznie budynek, za każdym razem kiedy schodziłem ze służby. Przemieszczałem się zawsze szybko, jakbym powierzono mi jakieś ważne zadanie, kiedy więc natykałem się na oficerów lub innych hormadów, nie zwracali na mnie uwagi.

Pewnego dnia, kiedy dotarłem do końca korytarza, jakiś hormad wyszedł z drzwi i stanął przede mną.

– Co tu robisz? – zapytał. – Nie wiesz, że to pokoje kobiet i nikomu nie wolno tu wchodzić poza ich strażnikami?

– Pilnujesz pokojów kobiet? – zapytałem.

– Tak, a teraz znikaj stąd i nie wracaj.

– To pewnie bardzo ważne stanowisko – podsunąłem.

Wyraźnie się nadał.

– W rzeczy samej. Powierzają je tylko najbardziej zaufanym wojownikom.

– Czy kobiety są piękne? – dopytywałem.

– I to bardzo.

– Zazdroszczę ci. Chciałbym móc pełnić tu straż. Byłbym szczęśliwy, mogąc oglądać piękne stworzenia. Nigdy jeszcze nie widziałem kobiety. Cudownie byłoby chociaż rzucić na którąś okiem.

– No cóż, chyba nic się nie stanie, jeśli pozwolę ci tylko zajrzeć do środka – stwierdził. – Sprawiasz wrażenie inteligentnego. Jak ci na imię?

– Nazywam się Tor-dur-bar – odpowiedziałem. – Należę do straży trzeciego jeda.

– Tor-dur-bar, największy siłacz w Morbus?

– We własnej osobie.

– Słyszałem o tobie. Wszyscy mówią o tobie i o tym, jak podrzuciłeś hormadę do sufitu sali audiencyjnej tak mocno, że go zabiłeś. Z radością pozwolę ci obejrzeć na kobiety, ale nie mów nikomu, że to zrobiłem.

– Oczywiście – zapewniłem go.

Podszedł do drzwi na końcu korytarza i otworzył je szeroko. Za nimi było wielkie pomieszczenie, w którym ujrzałem kilka kobiet i paru pozbawionych płci hormadów, którzy byli widocznie ich sługami.

– Możesz wejść – powiedział strażnik. – Uznają, że jesteś moim zmiennikiem.

Wszedłem do środka i rozejrzałem się pospiesznie, a wtedy serce podskoczyło mi do gardła, ponieważ na drugim końcu pomieszczenia ujrzałem Janai. Nie zważając na nic, ruszyłem w jej stronę. Zapomniałem o strażniku. Zapomniałem o tym, że byłem teraz szkaradnym potworem.

Zapomniałem o wszystkim, poza tym, że widziałem przed sobą kobietę, którą kochałem, i byłem przy niej. Strażnik dogonił mnie i położył mi dłoń na ramieniu.

– Ejże! Dokąd to? – zapytał.

Oprzytomniałem.

– Chciałem im się bliżej przyjrzeć – powiedziałem. – Przekonać się, co takiego jedowie w nich widzą.

– Napatrzyłeś się już. Sam nie rozumiem, na co im one. No dalej, musisz już wyjść.

Kiedy mówił, drzwi, którymi weszliśmy, otworzyły się szeroko i do środka wszedł trzeci jed. Strażnik struchlał z grozy.

– Szybko! – szepnął ciężkim głosem. – Wejdz między sługi. Udawaj, że jesteś jednym z nich. Może cię nie zauważy.

Podszedłem zaraz do Janai i uklęknąłem przed nią.

– Czego chcesz? – zapytała. – Co tu robisz? Nie należysz do naszej służby.

– Przynoszę wiadomość – szepnąłem, dotykając jej dłoni. Nie mogłem się powstrzymać. Z trudem zdołałem opanować przemożną chęć, aby chwycić ją w ramiona. Cofnęła się przede mną z wyrazem odrazy i obrzydzenia na twarzy.

– Nie dotykaj mnie, hormadzie! – rzuciła. – Inaczej zawołam strażnika.

Przypomniałem sobie wtedy, jakim monstrem byłem, i cofnąłem się.

– Nie wołaj go, dopóki nie wysłuchasz tego, co mam ci przekazać – poprosiłem.

– Nie ma tu nikogo, kto mógłby wysłać mi wiadomość, jaką chciałabym usłyszeć.

– A Vor Daj? – zapytałem. – Zapomniałaś o nim?

Z zapartym tchem czekałem na jej reakcję.

– Vor Daj! – szepnęła. – Czy to on cię przysłał?

– Tak. Polecił mi cię znaleźć. Nie wiedział, czy wciąż żyjesz. Gdybym cię znalazł, kazał mi przekazać, że dzień i noc szuka jakiegoś sposobu, aby wywieźć cię z Morbus.

– Nie ma żadnej nadziei – oznajmiła – ale powiedz mu, że nie zapomniałam o nim i nigdy nie zapomnę. Każdego dnia o nim myślę, a od teraz codziennie będę dziękowała za to, że on również myśli o mnie i chce mi pomóc.

Miałem już powiedzieć więcej i dodać, że Vor Daj kochał ją, aby przekonać się, czy ucieszy ją ta wiadomość, ale usłyszałem z tyłu donośny głos.

– Co ty tu robisz?

Odwróciwszy się, stwierdziłem, że do pomieszczenia wszedł pierwszy jed, który stał teraz w oskarżycielskiej pozie przed trzecim.

– Przyszedłem po moją niewolnicę – odparł ten ostatni. – I co teraz zrobisz?

– Rada nie rozdzieliła jeszcze kobiet. Nie masz prawa do żadnej z nich. Jeśli potrzebujesz więcej niewolników, zamów dodatkowych hormadów. A teraz wynoś się stąd!

Słyszając to, trzeci jed przeszedł przez salę i chwycił Janai za rękę.

– Pójdiesz ze mną, kobieto – warknął, ciągnąc ją w stronę drzwi. Pierwszy jed wyjął miecz i zagroził mu drogę. W powietrzu błysnęło ostrze trzeciego jeda i obaj mężczyźni starli się, przez co trzeci jed musiał puścić rękę Janai.

Pojedynek był pokazem kiepskiej szermierki jakich mało, ale obaj przeciwnicy skakali po sali z takim impetem i wymachiwali mieczami na wszystkie strony z taką siłą, że reszta przebywających w pomieszczeniu musiała stale się przemieszczać, żeby uniknąć obrażeń. Próbowałem zasłaniać sobą Janai, a po pewnym czasie znalazłem się w pobliżu drzwi, mając dziewczynę obok siebie. Strażnik i reszta ludzi nie odrywali wzroku od walczących. Drzwi były tuż za nami. Największe niebezpieczeństwo

groziło Janai właśnie tutaj. Możliwe, że już nigdy nie nadarzyłaby się okazja, żeby wykraść ją z pokojów, w których była więziona. Nie miałem pojęcia, dokąd mogłem ją zabrać, ale to już byłoby coś. Gdyby tylko udało mi się przemycić ją do laboratorium, byłem pewny, że John Carter i Ras Thavas znaleźliby dla niej jakąś kryjówkę. Nachyliwszy moje szpetne oblicze do jej pięknej twarzy, szepnąłem:

– Chodź za mną! C- ofnęła się. – Nie bój się mnie, proszę – nalegałem. – Robię to dla Vor Daja, który jest moim przyjacielem. Chcę ci jakoś pomóc.

– Dobrze – odpowiedziała bez wahania.

Rozejrzałem się naprędce po sali. Nikt nie zwracał na nas uwagi. Oczywiście wszyscy byli skupieni na walczących. Ująłem dłoń Janai i wysliznęliśmy się przez drzwi do korytarza.

11.

WOJNA SIEDMIU JEDÓW

Kiedy opuściliśmy pomieszczenie, gdzie przetrzymywano Janai, nie miałem najmniejszego pojęcia, dokąd ją zabrać. Pierwsza osoba, która by nas ujrzała, nabrałaby od razu podejrzeń. Zapytałem dziewczynę, czy znała jakąś bezpieczną kryjówkę, gdzie mógłbym ją zostawić, dopóki nie znajdę sposobu na wyprowadzenie jej z pałacu. Odparła, że nie. Znała tylko salę, w której była uwięziona.

Pociągnąłem ją prędko korytarzem, którym przyszedłem, ale ze szczytu prowadzącej na dół pochylni ujrzałem dwóch wspinających się po niej oficerów. Po lewej miałem jakieś drzwi, a ponieważ musieliśmy błyskawicznie zejść im z oczu, otworzyłem je i wciągnąłem Janai do ukrytego za nimi pomieszczenia, które na szczęście okazało się puste. Najwyraźniej używano go jako składu, ponieważ pod ścianami stały skrzynie i worki. Po drugiej stronie pokoju zauważyłem okno, a w jednej z bocznych ścian kolejne drzwi.

Odczekałem, aż oficerowie przeszli korytarzem, po czym otworzyłem drzwi w bocznej ścianie, żeby sprawdzić, co kryło się za nimi. Trafiłem na kolejny pokój, w którego rogu leżała sterta jedwabi i futer. Na wszystkim zalegała warstwa kurzu, co wskazywało, że pomieszczenia od dawna nie używano. W oddzielonej kotarami niszy stała wanna, na ścianie zaś wisiał kompletny strój wojownika z bronią. Najwyraźniej poprzedni mieszkaniec pokoju opuścił go, spodziewając się wrócić. Domyślałem się, że był oficerem, który wyruszył w jakiejś misji i zginął,

ponieważ pozostawiona broń i strój przypominały noszone przez wojowników przy paradnych okazjach.

– Przez przypadek znaleźliśmy ci świetną kryjówkę – powiedziałem. – Zawsze rygluj drzwi do tego pokoju; od środka są zaopatrzone w zasuwę. Kiedy tylko zdołam, przyniosę ci jedzenie, a kiedy będzie to możliwe, zabiorę cię stąd w bezpieczniejsze miejsce.

– Może Vor Daj przyjdzie się tu ze mną spotkać? – zasugerowała. – Powiedz mu, gdzie jestem.

– Przyszedłby, gdyby mógł, ale trafił do laboratorium i nie może go opuścić. Naprawdę chciałabyś go zobaczyć? – nie mogłem powstrzymać się od zadania tego pytania.

– Owszem, bardzo.

– Ucieszy się, kiedy mu o tym powiem, a póki nie znajdzie okazji, żeby cię odwiedzić, zrobię co w mojej mocy, żeby ci pomóc.

– Dlaczego jesteś dla mnie taki dobry? – zapytała. – Wydajesz się różnić od innych hormadów, których poznałam.

– Jestem przyjacielem Vor Daja – odpowiedziałem. – Dla niego i dla ciebie zrobię wszystko. Nie boisz się mnie już?

– Nie. Bałam się na początku, ale teraz już nie.

– Nie musisz się mnie obawiać. Nie ma rzeczy, której bym dla ciebie nie zrobił, łącznie z oddaniem życia.

– Dziękuję, choć nie rozumiem – powiedziała.

– Pewnego dnia zrozumiesz, ale jeszcze nie teraz. Muszę już iść. Bądź dzielna i nie porzucaj nadziei.

– Żegnaj... och, nie wiem nawet, jak masz na imię.

– Nazywają mnie Tor-dur-bar – powiedziałem.

– Teraz sobie przypominam. Straciłeś głowę w trakcie potyczki, podczas której schwytano Vor Daja i Dotar Sojata. Pamiętam, że obiecałeś wtedy Vor Dajowi przyjaźń. Masz nowe ciało!

– Szkoda, że nie dali mi jeszcze nowej twarzy – powiedziałem, markując uśmiech ogromnymi, szkaradnymi ustami.

– Wystarczy, że masz dobre serce.

– Wystarczy mi, że tak myślisz, Janai. A teraz już żegnaj.

Przechodząc przez zewnętrzne pomieszczenie przyjrzałem się zgromadzonym tam workom i skrzyniom, i z radością odkryłem, że była w nich żywność. Czym prędzej zapoznałem Janai z tą wiadomością, po czym opuściłem ją i wróciłem do wartowni.

Reszta strażników stanowiła bardzo nieciekawe towarzystwo. Jak większość głupców, mówili głównie o sobie, przechwalając się przy tym ile wlezie. Kolejnym arcyważnym tematem ich rozmów było jedzenie i spędzali całe godziny na opowieściach o olbrzymich ilościach syntetycznego mięsa, jakie pochłonęli przy różnych okazjach. Kiedy w pobliżu nie było oficera, dawali upust swojej niechęci do władzy jedów, ale robili to z lękiem, ponieważ zawsze istniało niebezpieczeństwo, że w otoczeniu znajdą się szpiedzy lub donosiciele. Nagrodą za donoszenie na towarzyszy było przeniesienie na wygodniejszą pryczę i zwiększenie przydziału żywności.

Nie minęło wiele czasu od mojego powrotu, kiedy do wartowni wpadł jakiś oficer, kazał nam przypiąć broń i iść za nim. Poprowadził nas do wielkiego pomieszczenia w części pałacu należącej do trzeciego jeda, któremu służyliśmy. Odkryłem że zgromadzili się tam już pod bronią wszyscy jego podwładni. W powietrzu unosiły się szeptane spekulacje. Oficerowie sprawiali wrażenie niezwykle poważnych, a atmosfera zdawała się brzemienna nerwowym lękiem.

Niedługo do sali wszedł trzeci jed w asyście czterech głównych dwarów. Krwawił z kilku obandażowanych ran. Wiedziałem, gdzie je zdobył, i zastanawiałem się, jak poszło pierwszemu jedowi. Trzeci jed wszedł na podwyższenie i zwrócił się do nas.

– Pójdziecie ze mną przed Radę Siedmiu! – powiedział. – Musicie baczyć, aby nie spotkało mnie nic złego. Słuchajcie waszych oficerów. O ile okażecie się lojalni, dostaniecie dodatkowy przydział jedzenia i wiele przywilejów. Skończyłem.

Pokierowano nas do sali narad, nabitej uzbrojonymi hormadami ze straży osobistej wszystkich siedmiu jedów. Powietrze było gęste od tłumionego podniecenia. Zdawało się, że ogarnęło ono nawet najgłupszych strażników. Na podwyższeniu siedziało sześciu jedów. Pierwszy owinięty był przesiąkniętymi krwią bandażami. Miejsce trzeciego było puste. Otaczając go, utorowaliśmy sobie drogę przed podwyższenie, ale trzeci jed nie wspiął się na swój tron. Zamiast tego, stanął twarzą do pozostałej szóstki, zwracając się do nich agresywnym tonem w wyzywającej pozie.

– Wysłaliście wojowników, żeby mnie ujęli – powiedział. – Nie żyją. Nie ma w Morbus nikogo, kto miałby władzę, aby mnie aresztować. Niektórzy z was chcieliby ogłosić się jeddakiem i rządzić resztą. Tego właśnie chce pierwszy jed. Nadeszła pora, żeby określić, kto z nas nadaje się do tej roli, ponieważ zgadzam się z wami, że jeden człowiek zawsze będzie rządzić lepiej od siedmiu. Władza dzielona to nie władza.

– Jesteś aresztowany! – zawołał pierwszy jed.

Trzeci roześmiał się z niego.

– Oto kolejny dowód, że nie nadajesz się na jeddaka. Potrafisz tylko wydawać rozkazy, ale nie umiesz ich egzekwować.

Pierwszy jed skierował spojrzenie na swoich strażników, zwracając się do głównego dwara osobistej straży.

– Brać go! – rozkazał. – Ujmijcie zdrajcę żywego lub martwego.

Wojownicy ruszyli w naszą stronę, przeciskając się powoli przez tłum innych strażników. Tak się złożyło, że znalazłem się w pierwszym szeregu przed nadciągającym oddziałem. Pierwszy przepchnął się do nas rosły wojownik, który zamierzył się na mnie mieczem, ale ponieważ był bardzo

niezgrabny i powolny, bez żadnego problemu odsunąłem się na bok, unikając jego ciosu. Włożył w pchnięcie tyle siły, że chybiając, stracił równowagę i zatoczył się prosto w moje ramiona. Nadarzyła się wspaniała okazja! Podrzuciłem nim do góry i cisnąłem o pełne pięćdziesiąt stóp od siebie, tak że wylądował wśród swoich towarzyszy, przewracając wielu na ziemię.

– Dobra robota, Tor-dur-barze! – zawołał trzeci Jed. – Dostaniesz za to tyle mięsa, ile tylko zechcesz.

Dotarł do mnie właśnie drugi strażnik i rzuciłem nim przez całe pomieszczenie. Dopiero teraz zaczynałem rozumieć, jak ogromną siłą dysponowałem. Zdawało się niewiarygodne, że ktokolwiek mógł być aż tak silny. Zapadła cisza, w której rozległ się znowu głos trzeciego jeda.

– Ogłaszam się jeddakiem Morbus! – zagrział. – Niech wstaną ci z jedów, którzy są gotowi złożyć mi przysięgę wierności!

Nikt się nie podniósł. Sprawy przybrały dla niego zły obrót, ponieważ sala była wypełniona wojownikami pozostałych jedów. Nasza sytuacja również prezentowała się kiepsko. Zastanawiałem się, co zamierzał zrobić teraz trzeci jed. Wyglądało na to, że bez względu na to, co postanowiłby zrobić, mógł żegnać się z życiem. Odwrócił się i przemówił do skupionych wokół siebie dwarów, którzy błyskawicznie wydali nam rozkaz wycofania się w stronę drzwi. Kiedy pozostali jedowie wydali swoim wojownikom polecenie powstrzymania naszej ucieczki, wywiązała się walka.

Trzeci jed zawołał mnie po imieniu.

– Tor-dur-barze! Utoruj nam drogę do drzwi!

Miałem wrażenie, że w zbyt wielkim stopniu polegał na mojej sile, ale lubiłem walkę, a oto nadarzała się wspaniała okazja do nasycenia się przemocą. Przepchałem się przez nasze szeregi do rzędu, który stał się teraz awangardą naszego ataku, i odkryłem, że los obdarzył mnie deformacją, która dawała mi wielką przewagę w walce. Moja niezwykle długa ręka, którą władałem mieczem, wsparta nadludzką siłą i długim ostrzem skosiła

cały rząd nieprzyjaciół, jak za sprawą czarów otwierając przed nami drogę, ponieważ ci ze strażników, którzy nie posmakowali mojej stali, odwrócili się i pierzchli przed tak zawziętym atakiem.

Na podłodze leżały drgające i wijące się głowy, ramiona, nogi i połówki ciał. Pod stopami czuliśmy ciskające przekleństwami i wrzeszczące dziko głowy, zaś po całym pomieszczeniu biegały na oślep bezgłowe ciała, wpadając co chwila na wrogów i przyjaciół. Sala audiencyjna pałacu siedmiu jedów w Morbus zamieniła się w istne jatki. Hormadowie byli na ogół zbyt głupi, aby znać strach, ale na widok uciekających przede mną dowódców stracili ducha walki i przebiliśmy się do drzwi, tracąc zaledwie kilku z naszej liczby.

Stamtąd oficerowie wyprowadzili nas z pałacu do miasta i długą aleją do bram. Tam nie wiedziano jeszcze nic o zajściach w pałacu i na rozkaz trzeciego jeda otworzono je przed nami na oścież. Zresztą, strażnicy i tak nie zdołaliby nas zatrzymać, ponieważ mieliśmy nad nimi ogromną przewagę liczebną.

Zastanawiałem się, dokąd mieliśmy się udać, opuszczając miasto. Niedługo miałem się tego dowiedzieć, ponieważ w pierwszej z wiosek poza murami, do której dotarliśmy, jed oświadczył, że jest jeddakiem Morbus i zażądał, aby mieszkańcy poddali się nam. Zaprzysiągł oficerów i wojowników do służby, wielu z tych pierwszych awansował, podczas gdy drugim obiecał zwiększone racje. Wreszcie, pozostawiwszy jako swojego namiestnika jednego z dwarów, pomaszerował ku dalszym podbojom.

Nigdzie nie trafił na opór i w trzy dni podporządkował sobie całą wyspę z wyjątkiem miasta. Dwarowie, których zostawiał w wioskach, zorganizowali miejscowych wojowników, aby mogli stawić czoło każdej armii wysłanej za nami przez pozostałych w mieście jedów, ale przez trzy dni z Morbus nie wyruszyła żadna armia, aby rzucić wyzwanie władzy nowego jeddaka.

Piątego dnia zawędrowaliśmy do wielkiej wioski na wybrzeżu, w pobliżu miasta. Tu Ay-mad, jeddak Morbus, założył swoją stolicę. Trzeci jed przybrał to nowe imię, które dosłownie tłumaczone oznacza jednego człowieka, człowieka numer jeden lub pierwszego człowieka. Tak czy inaczej, był teraz najważniejszym na wyspie człowiekiem i wydaje mi się, że z całej ich siódemki, najlepiej nadawał się do roli jeddaka. Posiadał odpowiedni do tego wygląd oraz jeden z najlepszych intelektów spośród poznanych przeze mnie hormadów.

Oczywiście, wszystkie te zdarzenia stawiły mnie w rozpaczliwej sytuacji. Janai została w mieście, bez żadnej nadziei na pomoc z mojej strony. Odłączyłem się od Johna Cartera i Ras Thavasa. Stałem się zwykłym, nędznym hormadą, bez żadnej pozycji czy wpływów. Nie mogłem nic zrobić, a w mieście byłem już na pewno tak sławny, że nie zdołałbym wśliznąć się tam niepostrzeżenie. Zwolennicy sześciu jedów zbyt dobrze poznali moje szpetne rysy, abym mógł żywić nadzieję, że uda mi się ukradkiem dostać za mury.

Kiedy w końcu stanęliśmy obozem w nowej stolicy Ay-mada, rzuciłem się na ziemię z pozostałymi hormadami i czekałem na wydanie oślizłego syntetycznego mięsa, które było główną nagrodą za nasze podboje. Wystarczało to większości otaczających mnie nędznych, otępiąłych i głupich stworzeń, ale nie mnie. Posiadałem więcej rozumu, zdolności, doświadczenia, i siły fizycznej niż którykolwiek z nich. Miałem o wiele lepszy tytuł do nazywania siebie człowiekiem niż sam jeddak, a jednak byłem teraz tylko potwornie zdeformowanym hormadem, którego nie zechciałby za towarzysza żaden szanujący się calot. Użalałem się w ten sposób nad sobą, kiedy zjawił się jakiś oficer, wołając głośno moje imię. Podniosłem się.

- To ja jestem Tor-dur-bar – powiedziałem.
- Chodź ze mną – rzucił. – Jeddak chce cię widzieć.

Poszedłem za nim do miejsca, gdzie zebrali się sam jeddak i najwyżsi stopniem dowódcy. Zastanawiałem się, jakie zadanie wymyślił tym razem, aby poddać próbie moją niezwykłą siłę, ponieważ nie mieściło mi się w głowie, że mógłby chcieć widzieć się ze mną w innym celu. Zdążyłem już nabyć typowego dla hormadów poczucia własnej niższości.

Ay-madowi przygotowano już podwyższenie i swego rodzaju tron, na którym siedział niczym prawdziwy jeddak, otoczony zebranymi oficerami.

– Zbliź się, Tor-dur-barze! – polecił. Podeszedłem i stanąłem przed tronem. – Uklęknij – powiedział i uklęknałem, będąc ostatecznie tylko nędznym hormadem. – Tobie bardziej niż komukolwiek zawdzięczamy nasz sukces w sali Rady Siedmiu w Morbus – oznajmił. – Posiadasz nie tylko siłę wielu ludzi, ale i rozum. Dlatego mianuję cię dwarem, a kiedy zdobędziemy Morbus, pozwolę ci wybrać dowolne ciało czerwonego człowieka, do którego Ras Thavas przeniesie twój mózg.

A zatem zostałem dwarem! Podziękowałem Ay-madowi i ustawiłem się z pozostałymi zgromadzonymi oficerami. Wszyscy mieli ciała czerwonych ludzi. Nie wiedziałem, ilu skrywało mózgi hormadów, ale tylko ja posiadałem ciało hormady. Na ile wiedziałem, mogłem być jedynym z zebranych z mózgiem istoty ludzkiej.

12.

NAGRODA WOJOWNIKA

Morbus jest otoczone ze wszystkich stron murami i praktycznie rzecz biorąc nie do zdobycia dla ludzi uzbrojonych tylko w miecze. Przez siedem dni Ay-mad próbował przedrzeć się przez mury, ale jego wojownicy mogli tylko tłuc bezsilnie pięściami w wielką drewnianą bramę, podczas gdy obrońcy zrzucali im na głowy ciężkie kamienie. Wieczorem wycofywaliśmy się, a obrońcy zapewne szli spać w poczuciu całkowitego bezpieczeństwa. Ósmego dnia Ay-mad zwołał zebranie wszystkich dwarów.

– Nic nie wskóraliśmy – powiedział. – Moglibyśmy tłuc w tę bramę choćby i tysiąc lat, i zadrapalibyśmy ją tylko. Jak zdobyć to miasto? Skoro chcemy podbić świat, musimy przejąć Morbus i Ras Thavasa.

– Nie podbijesz świata – oznajmiłem – ale możesz zdobyć Morbus.

– Dlaczego nie uda mi się podbić świata? – zapytał.

– Świat jest na to zbyt wielki i musiałbyś pokonać zbyt wiele potężnych narodów.

– Co ty o tym wiesz? – rzucił. – Jesteś tylko hormadą, który nigdy nie opuszczał Morbus.

– Przekonasz się, że mam rację, jeśli spróbujesz to zrobić. Morbus za to mógłbyś zdobyć z łatwością.

– W jaki sposób?

Wytłumaczyłem mu w paru słowach, co zrobiłbym, gdybym to ja dowodził. Przyglądał mi się dłuższą chwilę, zastanawiając się nad tym.

– To zbyt proste – oznajmił, po czym odwrócił się do pozostałych. – Dlaczego nikt z was wcześniej na to nie wpadł? Tor-dur-bar jedyny z was ma rozum.

Przez całą tę noc i następny dzień tysiąc hormadów szykowało długie drabiny. Zbudowaliśmy ich tysiąc, a kiedy kolejnej nocy oba księżycy zaszły za horyzont, sto tysięcy wojowników zaczęło czołgać się w stronę murów miejskich, ciągnąc je za sobą. Przystawiliśmy drabiny jednocześnie do muru w tysiącu miejsc wokół całego miasta i na dany sygnał na każdą wdrapała się setka ludzi, którzy zeskoczyli zaraz na ulice miasta.

Dalej było już łatwo. Zajęliśmy uśpione miasto, tracąc zaledwie paru wojowników; zaś Ay-mad w otoczeniu dwarów pomaszerował do sali Rady Siedmiu. Najpierw kazał usunąć z podwyższenia wszystkie trony poza jednym, po czym zasiadłszy na nim, kazał przywlec przed siebie sześciu jedów. Stanęli przed nim, zmieszani i przerażeni.

– Jaki rodzaj śmierci wybieracie? – zapytał. – A może wolelibyście, żeby wasze mózgi trafiły z powrotem do czaszek hormadów, z których pochodzą?

– To niemożliwe – powiedział piąty jed. – Ale nawet gdyby było inaczej, wolałbym wrócić do kadzi. Nie chcę znowu stać się hormadą.

– Dlaczego niemożliwe? – zapytał Ay-mad. – Ras Thavas może przecież powtórzyć to, co robił już tyle razy.

– Nie ma go w mieście – odpowiedział piąty jed. – Zniknął.

Możecie sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarły na mnie te słowa. Gdyby okazały się prawdą, byłbym skazany na dożywocie w potwornym ciele hormady. Nie miałem jak od tego uciec, ponieważ Vad Varo z Duhor był w chwili obecnej równie daleki, jak gdyby znalazł się z powrotem na swojej ojczystej planecie, a na całym świecie nie było innego człowieka, który mógłby przenieść mój mózg do mojego własnego ciała, gdyby Ras Thavas zginął. Skoro świeżo upieczony jeddak Morbus zamierzał podbić świat, wszyscy staliby się naszymi wrogami. Nie mogłem liczyć na ratunek.

A co z Janai? Na zawsze miałem pozostać dla niej odrażającym monstrem, nie mogłem więc zdradzić jej prawdy. Lepiej byłoby, gdyby uznała, że zginąłem, niż gdyby dowiedziała się, że mój mózg był na zawsze ukryty za tą odczłowieczoną, szkaradną maską. Czy ktoś o mojej powierzchowności mógł mówić o miłości? Miłość nie była dla hormadów.

W zamroczeniu usłyszałem, jak Ay-mad spytał, co się stało z Ras Thavasem, i odpowiedź piątego jeda.

– Nikt tego nie wie. Po prostu zniknął, a ponieważ nie mógł uciec z miasta niepostrzeżenie, jesteśmy zdania, że jacyś hormadowie pokroili go z zemsty i wrzucili kadzi hodowlanej.

Ay-mad był wściekły, ponieważ bez Ras Thavasa jego marzenie o podboju świata legło w gruzach.

– To robota moich wrogów! – krzyknął. – Część z waszej szóstki maczała w tym palce. Zabijcie Ras Thavasa albo ukryliście go! Zabracz ich i wtrąć do osobnych cel w podziemiach! Ten, który pierwszy przyzna się do winy, zachowa życie i wolność. Reszta zginie. Daję wam jeden dzień na decyzję.

Kiedy ich wywleczono, jeddak ogłosił ułaskawienie dla wszystkich oficerów straży jedów, którzy chcieli złożyć przed nim przysięgę wierności. Nikt nie odrzucił zaproszenia, ponieważ odmowa mogła oznaczać tylko śmierć. Po tych formalnościach, które trwały kilka godzin, Ay-mad ogłosił publicznie, że to mnie zawdzięczał powodzenie oblężenia, i oświadczył, że spełni każde moje życzenie, na domiar wszystkiego zaś nadaje mi rangę odwara, odpowiednik ziemskiego generała.

– A teraz powiedz, o jaką nagrodę chcesz mnie prosić – zapytał.

– Chciałbym zrobić to na osobności – odparłem – ponieważ moja prośba nie powinna interesować nikogo poza nami dwoma.

– Doskonale – stwierdził. – Zaraz po zakończeniu audiencji spotkam się z tobą w moich prywatnych pokojach.

Z niecierpliwością wyczekiwałem końca sesji w sali Rady, a kiedy Ay-mad wreszcie wstał i wskazał gestem, żebym poszedł za nim, odetchnąłem z ulgą. Zaprowadził mnie do niewielkiego pokoju zaraz za podwyższeniem i usadowił się za wielkim biurkiem.

– O co chcesz mnie prosić? – zapytał.

– O dwie rzeczy – odparłem. – Chciałbym, żebyś powierzył mi pełną odpowiedzialność za budynek laboratorium.

– Nie widzę żadnych przeciwwskazań – przerwał mi. – Ale skąd ta niezwykła prośba?

– Spoczywa tam ciało czerwonego człowieka, do którego chciałbym przenieść swój mózg, o ile uda nam się odnaleźć Ras Thavasa – wyjaśniłem. – Posiadając pełną kontrolę nad laboratorium, będę mógł chronić to ciało i dopilnować, aby Ras Thavas dokonał tej operacji.

– Doskonale! – stwierdził. – Spełnię twoje życzenie. A jakie jest drugie?

– Chciałbym dostać tę dziewczynę, Janai.

Słyszając to, nachmurzył się.

– Na co ci ona? – zapytał. – Jesteś tylko hormadą.

– Może pewnego dnia stanę się czerwonym człowiekiem.

– Dlaczego akurat ona? Co o niej wiesz? Nie miałem pojęcia, że w ogóle ją widziałeś.

– Byłem w oddziale, który ją schwytał. Z kobiet, które widziałem, tylko jej pragnę.

– Nie mógłbym oddać ci jej, nawet gdybym chciał – oznajmił. – Ona również zniknęła. Musiała wymknąć się z pomieszczeń kobiet, kiedy walczyłem z pierwszym jedem, i od tej pory jej nie widziano.

– Oddasz mi ją, jeśli zostanie odnaleziona?

– Wolałbym zostawić ją sobie.

– Ale możesz wybierać spośród wielu innych. Widziałem w pałacu piękne kobiety; musi być wśród nich taka, która okaże się godną ciebie

żoną, wspaniałą towarzyszką dla jeddaka. Ze wszystkich możliwych próśb, na tej najbardziej mi zależy.

– Wolałaby pewnie zginąć niż trafić do tak szkaradnego stwora jak ty – oświadczył.

– Wobec tego ustalmy chociaż, że jeśli ją znajdą, decyzję pozostawisz jej.

Roześmiał się.

– Chętnie na to przystanę. Nie sądzisz chyba, że wolałaby ciebie od jeddaka i wybrałaby potwora zamiast człowieka?

– Słyszałem, że kobiety są nieprzewidywalne. Chcę podjąć to ryzyko i zastosować się do jej decyzji, o ile ty również to zrobisz.

– A zatem zgoda – powiedział dobrodusznym tonem, tak pewny był wyniku. – Ale nagroda za usługi, jakie mi oddałeś, nie jest zbyt wielka. Myślałem, że poprosisz co najmniej o własny pałac i liczną służbę.

– Poprosiłem o to, czego pragnę najbardziej, i to mi wystarczy – odpowiedziałem.

– Cóż, pałac i służbę możesz dostać, kiedy tylko zechcesz, ponieważ przez własną propozycję nigdy nie zdobędziesz dziewczyny, nawet jeśli zostanie znaleziona.

Kiedy mnie odprawił, udałem się czym prędzej do pokoju, w którym zostawiłem Janai. Serce podchodziło mi do gardła z lęku, że jej nie zastanę. Musiałem uważać, żeby nikt nie zauważył, jak wchodziłem do magazynu prowadzącego do jej kryjówki, ponieważ nie chciałem, żeby Ay-mad usłyszał, iż przez cały czas wiedziałem, gdzie się ukrywała. Na szczęście, korytarz był pusty, wobec czego wszedłem do środka niezauważony. Podszedłem do drzwi wewnętrznych i zapukałem. Nie było odpowiedzi.

– Janai! – zawołałem. – To ja Tor-dur-bar. Jesteś tam?

Usłyszałem odsuwany rygiel, drzwi otworzyły się szeroko i stanęła w nich! Serce omal nie zamarło we mnie z poczucia ulgi. Była taka śliczna! Zdawało się, że z każdym spotkaniem nabierała coraz więcej urody.

– Wróciłeś! – powiedziała. – Zaczynałam się już bać, że nigdy nie przyjdiesz. Masz może wieści od Vor Daja?

A zatem myślała o nim! Na takiej właśnie, lekkiej strawie, dane jest rosnać miłości. Wszedłem do środka i zamknąłem za sobą drzwi.

– Przesyła pozdrowienia – powiedziałem. – Stale myśli o tobie i twoim zdrowiu.

– Nie może do mnie przyjść?

– Nie. Jest więźniem w laboratorium, ale kazał mi opiekować się tobą. Teraz mogę zadbać o to lepiej niż wcześniej, ponieważ od kiedy ostatnio cię widziałem, w Morbus wiele się zmieniło. Zostałem odwarem i mam spore wpływy u nowego jeddaka.

– Słyszałam odgłosy walki – powiedziała. – Opowiedz mi, co się stało.

Zdałem jej krótką relację z ostatnich wydarzeń, wspominając że trzeci jed był teraz jeddakiem.

– Zdobył pełnię władzy! – zawołała. – Jestem zgubiona!

– Może właśnie dzięki temu uda mi się cię ocalić – powiedziałem. – Aby nagrodzić mnie za zasługi, jeddak mianował mnie odwarem i obiecał spełnić każdą moją prośbę.

– O co poprosiłeś?

– O ciebie.

Niemal poczułem dreszcz odrazy, jaki ją ogarnął, kiedy spojrzała na moją szpetną twarz i zdeformowane ciało.

– Błagam! – wyrzuciła z siebie. – Twierdziłeś, że jesteś przyjacielem moim i Vor Daja. On na pewno nie chciałby, żebym była twoja.

– Zrobiłem to tylko po to, żeby chronić cię dla niego.

– Skąd Vor Daj może wiedzieć, czy go zechcę?

– Nie może. Ma tylko nadzieję, że uda mi się ocalić cię przed innymi. Nie mówiłem przecież, że chcę cię dla siebie, prawda? – Musiałem to powiedzieć, choćby po to, żeby odpłacić jej za tę pozorną obojętność dla

uczuc Vor Daja. Zadarła lekko podbródek. To mi wystarczyło. Wiem co nieco o kobietach i ich reakcjach.

– Co powiedział trzeci jed, kiedy o mnie poprosiłeś?

– Teraz jest jeddakiem i nazywa się Ay-mad – wyjaśniłem. – Twierdził, że mnie nie zechcesz; przyszedłem więc, żeby przedstawić ci całą sprawę. Decyzja należy do ciebie. Wydaje mi się, że Vor Daj cię kocha. Musisz wybrać: on albo Ay-mad. Jeddak poprosi cię, żebyś wybrała między nim a mną, ale tak naprawdę będziesz wybierała między nimi dwoma, tyle że jeddak o tym nie wie. Jeśli wybierzesz mnie, Ay-mad rozgniewa się i będzie urażony, ale sądzę, że dotrzyma słowa. Zabiorę cię wtedy do pokoju obok mojej kwatery i otoczę opieką do czasu, kiedy oboje z Vor Dajem uciekniecie z Morbus. Mogę cię również zapewnić, że Vor Daj nie będzie sobie później rościł do ciebie żadnych praw. Zależy mu tylko na tym, żeby ci pomóc.

– Wiedziałam, że taki się okaże – powiedziała. – Możesz być pewny, że kiedy każą mi wybierać, zdecyduję się na ciebie, nie Ay-mada.

– Choć wybierając go zostałabyś jeddarą?

– Nawet mimo tego – odpowiedziała.

13.

ZNIKA JOHN CARTER

Opuściwszy Janai, udałem się prosto do laboratorium, żeby odszukać Johna Cartera i dowiedzieć się, co wiedział o zniknięciu Ras Thavasa. Postanowiliśmy z Janai, że pozostanie przez kilka dni w swojej kryjówce, aby nie wzbudzać podejrzeń Ay-mada zbyt szybkim ujawnieniem się. Uznałem, że zarządzę poszukiwania, w trakcie których znajdzie ją ktoś inny, choć zamierzałem być w pobliżu, żeby nic nie pokrzyżowało naszych planów.

Jedną z pierwszych osób, na jakie natknąłem się po wejściu do laboratorium, był Tun Gan.

Na mój widok wpadł w szal.

– Chyba mówiłem ci, żebyś nie wchodził mi w drogę! – wypalił. – Chcesz trafić do spalarni?

Wskazałem na odznakę rangi, której widocznie nie zauważył.

– Nie posłałbyś tam chyba jednego z odwarów jeddaka? – zapytałem.

Oniemiał.

– Ty odwarem? – zapytał.

– Dlaczego nie?

– Przecież jesteś tylko hormadą.

– Możliwe, ale jestem też odwarem. Mógłbym wysłać cię do spalarni albo do kadzi, ale nie zamierzam tego robić. Noszę twoje ciało, powinniśmy więc zostać przyjaciółmi. Co ty na to?

– W porządku – zgodził się. Cóż innego mógł powiedzieć? – Nie rozumiem jednak, w jaki sposób z tak szpetną twarzą i zdeformowanym ciałem zostałeś odwarem.

– Nie zapominaj, że kiedyś ta twarz i ciało należały do ciebie – przypomniałem. – Pamiętaj też, że sam nie doszedłbyś z nimi do niczego. Aby coś osiągnąć, trzeba czegoś więcej: mózgu, który nadaje się do czegokolwiek poza myśleniem o jedzeniu.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego jeddak mianował cię odwarem, kiedy mógł wybierać z tak przystojnych ludzi jak ja.

– Mniejsza z tym. Nie przyszedłem tu o tym rozmawiać. Powierzono mi pełną kontrolę nad laboratorium. Chcę widzieć się z Dotar Sojatem. Wiesz może, gdzie on jest?

– Nie wiem. Ani ja, ani nikt inny. Zniknął w tym samym czasie, co Ras Thavas.

To był kolejny cios. John Carter zniknął! Po przemyśleniu jednak ten fakt natchnął mnie świeżą nadzieją. Skoro obaj zniknęli i nikt nie wiedział, co się z nimi stało, wydawało się całkiem możliwe, że znaleźli sposób ucieczki. Byłem pewny, że John Carter nigdy by mnie nie opuścił. O ile odszedł z własnej woli, na pewno zamierzał wrócić. Nie zostawiłby mnie przecież uwięzionego w tym szkaradnym cielsku.

– Czy ktoś ma jakiegokolwiek pojęcie, co się z nimi stało? – zapytałem.

– Możliwe, że zostali pokrojeni i trafili do którejś kadzi – powiedział Tun Gan. – Część starszych hormadów zaczęła wymykać się spod kontroli, a Ras Thavas groził im, że trafią do spalarni. Mogli zrobić to, żeby uratować się przed tym, albo zemścić się na Ras Thavasie.

– Idę do jego gabinetu – oznajmiłem. – Chodź ze mną.

Zastałem pomieszczenie w stanie, w jakim ostatnio je widziałem. Nic nie wskazywało, żeby doszło tam do walki; nie znalazłem żadnych wskazówek na rozwiązanie tajemnicy. Poczuję się zupełnie zbity z tropu.

– Kiedy ich ostatnio widziano?

– Około trzech dni temu. Pewien hormada twierdził, że widział, jak wychodzili z podziemi. Nie wiem, dlaczego tam poszli. Od kiedy przestano przechowywać tam ciała i trzymać więźniów, nikt tam nie zagląda. Teraz korzystają z piwnic pod innymi budynkami.

– Przeszukaliście podziemia?

– Tak, ale nie znaleźliśmy ani śladu.

– Zaczekaj tu chwilę – powiedziałem. Chciałem wejść do prywatnego laboratorium Ras Thavasa i przyjrzeć się mojemu ciału. Wolałem upewnić się, czy było bezpieczne, ale nie chciałem, żeby zobaczył je Tun Gan. Przyszło mi do głowy, że widząc je, mógłby zacząć coś podejrzewać. Nie był zbyt bystry, ale nie potrzeba byłoby wielkiego rozumu, żeby domyślić się, co się stało z mózgiem Vor Daja.

Tun Gan czekał na mnie w gabinecie. Wiedziałem, gdzie leżał klucz do małego laboratorium, ponieważ Ras Thavas pokazał mi, gdzie go chował. Po chwili przekręciłem go w zamku, wszedłem do pomieszczenia i doznałem kolejnego wstrząsu: moje ciało zniknęło!

Kolana ugięły się pode mną. Osunąłem się na ławę i usiadłem z głową w dłoniach. Moje ciało zniknęło, a wraz z nim ostatnia nadzieja na zdobycie Janai! Niewyobrażalne przecież, aby udało mi się ją zdobyć z tą szkaradną twarzą i groteskowym ciałem.

Nie chciałbym nawet zdobyć jej w ten sposób. Nie potrafiłbym szanować jej ani żadnej innej kobiety, która wybrałaby tak odrażające stworzenie jak ja.

Zebrałem się w sobie i podszedłem do stołu, na którym po raz ostatni widziałem swoje ciało. Wyglądało na to, że wszystko było w porządku; brakowało tylko pojemnika z moją krwią. Czyżby Ras Thavas przeszczepił mojemu ciału inny mózg? Nie mógłby tego zrobić bez zgody Johna Cartera, a jeśli Wódz to zaaprobował, to musiał mieć słuszny powód. Jeden przyszedł mi nawet do głowy. Możliwe, że znaleźli okazję do ucieczki z wyspy, którą musieli wykorzystać błyskawicznie, inaczej by przepadła.

W tym przypadku John Carter mógł uznać przeniesienie do mojej czaszki innego mózgu i zabranie ze sobą mojego ciała za bardziej roztropne niż ryzykowanie porzucenia go w laboratorium i narażenia na zniszczenie. Oczywiście, zrobiliby to tylko wtedy, gdyby był pewny, że mógł tu później wrócić i uratować mnie. To były jednak tylko czcze domysły. W istocie rzeczy, nie miałem żadnego wyjaśnienia.

Kiedy siedziałem w laboratorium, głowiąc się nad tą sprawą, przypomniałem sobie kartę przypadku, którą Ras Thavas zawiesił w nogach stołu, na którym leżało moje ciało. Postanowiłem zajrzeć do niej, żeby sprawdzić, czy znalazły się tam kolejne wpisy, ale kiedy podszedłem do blatu, przekonałem się, że karta zniknęła. Zamiast niej, do stołu przyczepiono kartkę, na której zapisano dwie liczby: 3-17. Co to mogło znaczyć? Nic, jeśli o mnie chodziło.

Powróciłem do gabinetu i poleciłem Tun Ganowi towarzyszyć mi podczas inspekcji pomieszczeń, skoro bowiem miałem zarządzać laboratorium, musiałem wykonać gest adekwatny do świeżo zdobytej władzy.

– Jak idzie praca, od kiedy zniknął Ras Thavas? – zapytałem Tun Gana.

– Niezbyt dobrze – odparł. – Właściwie, wydaje się, że bez niego wszystko idzie nie tak.

Kiedy wszedłem do sali z pierwszą kadzią, zrozumiałem, że było to rażące niedopowiedzenie. Gorzej już chyba być nie mogło. Podłoga usiana była szczątkami odrażających monstrów, które kierujący zmianą musieli kazać uśmiercić. Członki nadal żyły – nogi próbowały chodzić, dłonie chwyciły wszystko, co pojawiło się w ich zasięgu, a głowy leżały krzycząc i zawodząc. Przywołałem szefa zmiany.

– Co to ma znaczyć? – spytałem. – Dlaczego nic z tym nie zrobiliście?

– Kim ty jesteś, żeby kwestionować moje rozkazy, hormado? – odpowiedział.

Dotknąłem insygniów rangi i nagle zmienił zachowanie.

- Teraz ja tu dowodzę – oznajmiłem. – Odpowiedz na moje pytanie.
- Poza Ras Thavasem nikt nie wiedział, jak dokładnie kroić członki przed wrzuceniem do kadzi, ani w których kadziach je umieścić.
- Każ zabrać je do spalarni – poleciłem. – Dopóki nie wróci Ras Thavas, palcie wszystko, co bezużyteczne.
- Coś stało się w sali numer cztery – powiedział. – Może lepiej tam zajrzyj.

Kiedy dotarłem na miejsce, moim oczom ukazał się jeden z najbardziej potwornych widoków, jakie dane mi było oglądać. Najwyraźniej, coś zepsuło się w medium używanym do hodowli tkanek i zamiast pojedynczych hormadów w kadzi uformowała się pojedyncza, olbrzymia bryła tkanek, przelewająca się przez krawędź i spływająca na posadzkę. Wyrastały z niej najrozmaitsze części ciała i organy – wewnętrzne i zewnętrzne, nie powiązane w żaden sposób z pozostałymi: tu noga, tam dłoń, gdzie indziej głowa; głowy zaś bełkotały i krzyczały nieustannie, co przydawało scenie grozy.

– Próbowaliśmy coś z tym zrobić – powiedział kierujący zmianą – ale kiedy próbowaliśmy to coś zabić, zaczęło nas chwytać, a głowy nas pogryzły. Nawet hormadowie bali się do tego zbliżyć, a jeśli coś jest zbyt straszne dla nich, nie można oczekiwać, że zniesie to istota ludzka.

Zgadzałem się z nim. Naprawdę nie wiedziałem, co robić. Nie mogłem podejść do kadzi, żeby wylać z niej medium i powstrzymać rozrost tego tworzywa, a skoro hormadowie bali się do niego zbliżyć, nie można było go zniszczyć.

– Zamknijcie drzwi i okna! – poleciłem. – Udusi się w końcu albo zdechnie z głodu. – Ale wychodząc z sali ujrzałem, jak jedna z głów odgryzła spory kawałek od sąsiadującego z nią fragmentu tkanki. Twór na pewno nie zamierzał głodować.

Widok z sali numer cztery nawiedzał mnie jeszcze przez długi czas i nie potrafiłem uwolnić się od spekulacji o koszmarze, jaki rozgrywał się za jej

zamkniętymi drzwiami i oknami.

Spędziłem kilka dni, próbując przywrócić porządek w laboratorium. Udało mi się głównie dzięki temu, że nikt nie wiedział dokładnie, jak preparować tkankę, która miała trafić do kadzi z medium po opuszczeniu ich przez odrażające potomstwo. Skutkiem był szybki spadek produkcji hormadów, z czego się – rzecz jasna – cieszyłem. Niedługo produkcja miała stanąć zupełnie i pragnąłbym nawet, żeby Ras Thavas nigdy nie wrócił, aby rozpocząć na nowo swoje odrażające dzieło, gdyby nie to, że był moją jedyną nadzieją na odzyskanie ciała.

Cały ten czas nie odwiedzałem Janai, żeby nie odkryto jej kryjówki, a Ay-mad nie nabrał podejrzeń, że go oszukałem. Ostatecznie postanowiłem jednak, że mogłem bezpiecznie ją „znaleźć”; udałem się więc do Ay-mada, powiedziałem, że nie udało mi się jeszcze zlokalizować dziewczyny oraz że zamierzałem rozpocząć przeszukiwanie pałacu.

– Nawet jeśli ją znajdziesz, będzie już trupem – powiedział. – Nie mogła przecież opuścić pałacu. Przyznasz mi chyba rację, że żadna kobieta nie mogła stąd wyjść niezauważona przez któregoś ze strażników lub naszych szpiegów.

– Dlaczego sądzisz, że nie żyje? – chciałem wiedzieć.

– Ludzie nie mogą żyć bez jedzenia i picia, a kazałem obserwować ciebie i wszystkich innych, którzy mogliby coś jej zanieść. Niczego nie próbowano dla niej przemycić. Szukaj, Tor-dur-barze. Twoją nagrodą, o ile w ogóle ją znajdziesz, będzie ciało martwej kobiety.

Coś w wyrazie jego twarzy, kiedy to powiedział, dało mi do myślenia. Co oznaczał ten chytry i zadowolony z siebie uśmiezek? Czyżby znalazł Janai i kazał ją uśmiercić? Zacząłem się niepokoić. Oczami wyobraźni widziałem już najgorsze z możliwych obrazów i z największym trudem powstrzymałem się przed niezwłocznym udaniem się do jej kryjówki, żeby poznać prawdę. Na szczęście, zwyciężył rozsądek i zamiast tego zorganizowałem błyskawicznie ekipę poszukiwawczą. Postawiłem na jej

czele zaufanych oficerów i poleciłem każdemu przeszukać jedną część pałacu, nie omijając żadnego pokoju, szafy, czy komórki. Towarzyszyłem jednej z grup, dowodzonej przez Sytora, któremu ufałem. Należał do niej również Teeaytan-ov, który często chwalił się głośno przyjaźnią ze mną. Kryjówka Janai znajdowała się w części pałacu, którą mieliśmy przeszukać.

Nie skierowałem grupy do pomieszczenia, gdzie ukrywała się dziewczyna, i zacząłem denerwować się, kiedy szukali wszędzie z wyjątkiem miejsca, w którym była. Ostatecznie jednak dotarli do magazynu. Wszedłem do środka za Sytorem.

– Nie ma jej tu – stwierdziłem.

– Ale tam są inne drzwi – odpowiedział i podszedł do nich.

– Pewnie kolejny magazyn – powiedziałem, starając się zachować obojętny ton głosu, choć serce dudniło mi z przejęcia.

– Zamknięte – powiedział. – Zaryglowane od drugiej strony. To podejrzane.

Podszedłem do niego i zawołałem: – Janai! – Nikt nie odpowiedział. Serce zamarło mi w piersi.

– Janai! Janai! – powtórzyłem.

– Nie ma jej tam – powiedział Sytor. – Ale chyba będziemy musieli wyważyć drzwi, żeby się upewnić.

– Zgadza się. Zróbcie to.

Posłał po narzędzia, a kiedy je przyniesiono, hormadowie zaczęli mocować się z drzwiami. Kiedy panele zaczęły ustępować, z wnętrza drugiego pokoju dobiegł głos Janai.

– Otworzę – powiedziała. Usłyszeliśmy zgrzyt zasuw, po czym drzwi otworzyły się szeroko. Serce podskoczyło we mnie z radości, kiedy ujrzałem ją zdrową i bezpieczną. – Czego ode mnie chcecie? – zapytała.

– Mam zaprowadzić cię do jeddaka – powiedział Sytor.

– Jestem gotowa – odpowiedziała. Nie spojrzała nawet na mnie. Zastanawiałem się, czy może nie uznała w końcu, że życie jeddary nie było

wcale takie złe. Miała wiele dni, kiedy jej nie odwiedzałem, aby to przemyśleć. Może zmieniła zdanie? Rozumiałem, że pokusa mogła być wielka, cóż bowiem mógł zaoferować jej Vor Daj? Z pewnością nie bezpieczeństwo, a tego właśnie kobiety pragną najbardziej.

Moje serce, ze skulonym, ogonem, ruszyło w dół, śladem Sytora i Janai do prywatnej sali audiencyjnej Ay-mada.

14.

KIEDY ROŚNIE POTWÓR

Miłość obdarzona jest chorobliwą wyobraźnią, która podsuwa człowiekowi najkoszmarniejsze sceny. Nie może doczekać się prawdziwego rozwoju wydarzeń, ale zawsze spodziewa się najgorszego.

Całkiem często okazuje się przy tym prorocza. Tego obawiałem się teraz, kiedy cała nasza trójka – Sytor, Janai i ja – stanęła przed Ay-madem. Sytor, z przystojną twarzą i pięknym ciałem, Ay-mad w stroju jeddaka, Janai, piękna i doskonała! Porównałem ich ze swoją szpetną twarzą i monstrialnie zdeformowanym ciałem, czując jak opuszcza mnie wszelka nadzieja. Czy Janai mogła woleć mnie od jakiegokolwiek normalnego człowieka? A jakie miałem szanse, jeśli ten człowiek był przy okazji jeddakiem? Stale myliłem siebie z prawdziwym Vor Dajem, ale musicie przyznać, że posiadanie dwóch ciał i jednego mózgu może człowieka dezorientować.

Ay-mad pożerał Janai wzrokiem i serce we mnie struchlało, ale obiecałem sobie, że gdyby wybrała mnie, a jeddak postanowił nie dotrzymać umowy, zabiję go. Odprawił Sytora, po czym zwrócił się do Janai.

– Ten hormada – powiedział wskazując na mnie – wiele dla mnie zrobił. Aby go nagrodzić, powiedziałem, że spełnię jego życzenie. Poprosił o ciebie. Postanowiliśmy, że uhonorujemy twój wybór. O ile Ras Thavas zostanie znaleziony, Tor-dur-bar ma nadzieję zdobyć nowe ciało.

W przeciwnym wypadku, pozostanie na zawsze takim, jakim go widzisz. Wybierając mnie, staniesz się jeddara Morbus. Którego z nas wolisz?

Poczułem mimowolnie, że postawił sprawę uczciwie, ale domyślam się, że sądził, iż wszelkie argumenty i tak przemawiały na jego korzyść, po cóż więc miałyby wdawać się w ozdobniki?

Po rozważeniu całej sprawy, odpowiedź dziewczyny wydawała się przesadzona. Ay-mad proponował jej małżeństwo i pozycję. Vor Daj nie miał jej nic do zaoferowania, a nie było żadnych powodów, aby przypuszczać, że serce Janai skłania się bardziej do jednego niż do drugiego – obu ledwie znała.

Ay-mad zaczął się niecierpliwić. – Dalej – ponaglił. – Co odpowiesz?

– Pójdę z Tor-dur-barem – oświadczyła.

Ay-mad zagryzł wargę, ale przyjął to dość dobrze.

– Doskonale – powiedział – choć myślę, że popełniasz błąd. Daj mi znać, jeśli zmienisz zdanie. – Po czym odprawił nas.

W drodze powrotnej do laboratorium wręcz unosiłem się w powietrzu. Janai dokonała wyboru i mogłem ją chronić. Ona również wydawała się dość szczęśliwa.

– Czy zobaczę od razu Vor Daja? – zapytała.

– Obawiam się, że nie.

– Dlaczego? – zadała pytanie. Ni stąd ni zowąd zaczęła sprawiać wrażenie przybitej.

– To może trochę potrwać – wyjaśniłem. – Tymczasem zostaniesz ze mną, całkowicie bezpieczna.

– Ale myślałam, że spotkam go. Chyba mnie nie oszukałeś, hormado?

– Skoro tak sądzisz, to lepiej wracaj do Ay-mada – uciałem, pod wpływem chyba najbardziej skomplikowanego uczucia, jakie kiedykolwiek czuła istota ludzka: byłem zazdrosny o samego siebie!

Janai spuściła głowę.

– Przepraszam – powiedziała – ale jestem okropnie podenerwowana. Przebacz mi, proszę. Każdy, kto przeżyłby tyle, co ja, mógłby zwariować.

Wybrałem już i urządziłem dla niej pokój w laboratorium, zaraz obok mojego i w pewnej odległości od koszmarów sal z kadziami. Wybrałem też kilku mądrzejszych hormadów do roli jej strażników i służby. Janai sprawiała wrażenie zadowolonej z moich zarządzeń. Zaprowadziwszy ją do kwatery, powiedziałem żeby poszła po mnie, gdyby potrzebowała czegoś lub chciała spotkać się ze mną w jakiejś sprawie, po czym opuściłem ją i udałem się do gabinetu Ras Thavasa.

Zrealizowałem wszystkie plany, do których potrzebowałem mojego odrażającego przebrania, ale teraz nie mogłem się go pozbyć. Nie pozwalało mi więc pomóc Janai w ucieczce z Morbus, ponieważ nie mogłem pokazać się w świecie w obecnej monstrualnej postaci. Wyłącznie w Morbus mogłem czuć się w jakimkolwiek stopniu bezpieczny.

Aby zająć czymś myśli, zacząłem przeglądać papiery i notatki Ras Thavasa, których większość nie miała dla mnie żadnego sensu. Przetrząsałem od niechcenia jego biurko, nie skupiając się wcale na tym, co miałem przed oczami. Myślałem o Janai. Zastanawiałem się nad tym, co stało się z Johnem Carterem i Ras Thavasem, oraz losem, jaki spotkał moje biedne ciało. Przyszłość nie mogła już chyba rysować się w ciemniejszych barwach. Po pewnym czasie trafiłem na dokument, który zawierał widocznie plany budynku. Przyjrzawszy im się od niechcenia, stwierdziłem, że był to schemat laboratorium, na którym z łatwością rozpoznałem dwa znane mi najlepiej piętra. U dołu arkusza znajdował się plan podziemi budynku z podziałem na korytarze i cele. Zobaczyłem trzy długie podłużne korytarze i pięć poprzecznych, ponumerowanych od 1 do 8. Również cele w każdym korytarzu były oznaczone liczbami, parzystymi po jednej stronie i nieparzystymi po drugiej. Wszystko to wydawało się niezbyt ciekawe i zwinąłem plan, żeby schować go z powrotem do biurka.

W tej samej chwili strażnik przed drzwiami zapowiedział Tun Gana. Kiedy ten wszedł, zdawał się dość przejęty.

– Co się stało? – zapytałem, widząc po jego zachowaniu, że coś musiało znów pójść źle.

– Chodź ze mną – powiedział. – Pokażę ci.

Zaprowadził mnie do głównego korytarza, a stamtąd do bocznej sali, której okna wychodziły na wielkie podwórko, zapewniające dopływ światła i powietrza do wewnętrznych pomieszczeń laboratorium, w tym sali numer cztery, której okna znajdowały się dokładnie naprzeciwko pomieszczenia, w którym byliśmy. Kiedy wyjrzałem na dziedziniec, moim oczom ukazał się nieopisanie wstrętny widok. Żywe tkanki tworzyły tak szybko w medium pomysłu Ras Thavasa, że wypełniły całkowicie pomieszczenie z kadzią, napierając na wszystkie strony tak silnie, że okna ustąpiły i skłębiona masa rodem z najgorszych koszmarów wylała się na podwórze.

– Patrz! – powiedział głośno Tun Gan. – Co zamierzasz z tym zrobić?

– Nic – odpowiedziałem. – Nikt tu już nic nie zdoła. Nie sądzę, aby sam Ras Thavas mógł cokolwiek wskórać. Stworzył siłę, której pewnie sam nie potrafił opanować, kiedy wyrwała się spod kontroli.

– Jak to się skończy? – zapytał.

– O ile nie przestanie rosnać, możliwe że wyprze z Morbus wszystkie inne istoty żywe. Twór staje się coraz większy, żywiąc się samym sobą. Mógłby nawet rozlać się na cały świat. Jak go zatrzymać?

Tun Gan potrząsnął głową. Nie wiedział.

– Może Ay-mad potrafiłby tego dokonać – zasugerował. – Przecież jest jeddakiem.

– Poślij po niego – powiedziałem. – Powiedz, że w laboratorium stało się coś, co moim zdaniem powinien zobaczyć na własne oczy. – Ten jeden raz zależało mi na tym, żeby zrzucić ciężar odpowiedzialności na cudze barki, ponieważ czułem się bezradny w obliczu wydarzenia, jakiego nie widziała od powstania świata żadna ludzka istota.

Ay-mad zjawił się w swoim czasie, a wyjrzawszy przez okno i wysłuchawszy moich wyjaśnień, po prostu przeniósł całą odpowiedzialność z powrotem na mnie.

– Chciałeś mieć pełną władzę nad laboratorium – powiedział. – Powierzyłem ci ją. To twój problem, nie mój. – Z tymi słowami odwrócił się i wrócił do pałacu. Do tego czasu drżąca, skłębiona masa tkanki pokryła już cały dziedziniec, a z wyłamanego okna na górze wylewało się jej coraz więcej.

Uznałem, że potrwa nieco, zanim wypełni podwórze na całą wysokość budynku. Do tego czasu mogłem wpaść na jakiś pomysł. Z tą myślą wróciłem do swojej kwatery i siedziałem, wyglądając ponurym wzrokiem przez okno za mury Morbus na posępne mokradła, ciągnące się jak okiem sięgnąć we wszystkie strony. Przypomniało mi to o tworze z sali numer cztery, rozlewającym się po podwórku, zacisnąłem więc oczy, żeby pozbyć się tego widoku.

Z jakiegoś powodu przyszły mi na myśl plany znalezione w biurku Ras Thavasa, następnie wróciło wspomnienie wędrówki z Helium w towarzystwie Wodza. Przypomniało mi to o moim cielem, które ujrzałem oczami wyobraźni odziane w strój osobistej straży Johna Cartera. Gdzie było teraz? Ostatni raz widziałem je na stole operacyjnym w prywatnym laboratorium Ras Thavasa. Błat stołu był teraz pusty, a u jego stóp wisiała kartka z tajemniczymi liczbami 3-17. 3-17! Cóż to mogło u licha oznaczać?

Nagle mój umysł zaczął działać żywiej. Te liczby mogły przecież coś znaczyć! Poderwałem się z miejsca i pobiegłem do gabinetu Ras Thavasa. Wyciągnąłem z biurka plany budynku i rozłożyłem je, szukając planu podziemi. Przebiegłem palcem korytarz numer 3 aż do liczby 17. Czyżby to była odpowiedź? Przyjrzałem się uważniej schematowi. W rogu celi 17 widniało maleńkie koło, jakiego nie było widać w żadnym z innych pomieszczeń. Co oznaczało, o ile w ogóle cokolwiek znaczyło? Czyżby liczby 3-17 zapisane na kartce zawieszanej w stopach stołu miały związek

z korytarzem i numerem celi? Istniał tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać. Wstałem zaraz od biurka i wyszedłem na korytarz.

Mijając hormadów i oficerów dotarłem do rampy prowadzącej na niższe piętro i do podziemi. Widziałem przed sobą w pamięci odcisnięty wyraźnie schemat podziemi. Znalazłbym celę 3-17 nawet z zamkniętymi oczami.

Korytarze i cele były wyraźnie oznaczone liczbami, więc bez kłopotu znalazłem celę 17 w korytarzu 3. Pchnąłem drzwi. Były zamknięte na klucz! Co za bezmyślność z mojej strony! O ile skrywały to, czego się spodziewałem, mogłem domyśleć się, że okażą się zamknięte. Wiedziałem, gdzie Ras Thavas trzymał klucze, zawróciłem więc po własnych śladach, choć zauważyłem, że tym razem paru oficerów przyglądało mi się z pewną podejrzliwością. Szpiedzy, pomyślałem; część z obserwatorów przysłanych do laboratorium przez Ay-mada. Musiałem uważać. To oznaczało dalszą zwłokę.

Szedłem dalej obojętnym krokiem, udając że przyglądam się uważnie jednej z sal. Posłałem jednego z oficerów, którego od dawna podejrzewałem, z jakimś zadaniem, po czym podszedłem do okna i wyjrzałem przez nie. Ostatecznie bez zbędnego pośpiechu dotarłem do gabinetu, gdzie bez trudu znalazłem potrzebny mi klucz, ponieważ Ras Thavas we wszystkim, co robił, zachowywał metodyczną skrupulatność, więc wszystkie klucze były opisane i opatrzone numerami.

Musiałem wrócić do podziemi nie wzbudzając podejrzeń. Znowu zacząłem wędrować przez korytarze i sale z kadziami, aż dotarłem do rampy. Zszedłem po niej niezauważony i stanąłem ponownie przed drzwiami do celi 3-17. Włożyłem klucz do zamka, rozejrzałem się po raz ostatni po korytarzu, żeby upewnić się, czy byłem sam, i pchnąłem drzwi. Podobnie jak korytarze, cела oświetlona była wiecznymi lampami radowymi powszechnie stosowanymi na Barsoom.

Tuż przede mną spoczywało na stole moje ciało. Wszedłem do celi i zamknąłem za sobą drzwi. Zgadza się, to było moje ciało i naczynie

z moją krwią. Znowu byliśmy razem: ciało, krew i umysł, choć wciąż oddaleni od siebie jak dwa bieguny. Tylko Ras Thavas mógł połączyć nas z powrotem w jedną istotę, ale stary chirurg zniknął.

15.

ODNALEZIENI

Długo stałem tak, wpatrzony we własne ciało. Nie jestem próżny, ale porównując je teraz z groteskową powłoką ożywianą przez mój mózg, uznałem je za najwspanialszy widok na świecie. Pomyślałem o Janai w pokoju na górze i zacząłem przeklinać własną głupotę, każącą mi porzucić ciało, które mogłaby pokochać, na takie, którego nie byłoby w stanie obdarzyć uczuciem żadne stworzenie.

Podobne uzalanie się nad sobą było jednak bezcelowe, zmusiłem się więc do myślenia o innych sprawach. Przypomniał mi się niewielki krąg, który widniał na planie celi 17. Poszedłem w kąt pomieszczenia, gdzie można było sądząc po nim znaleźć coś innego niż w pozostałych celach. Faktycznie na coś trafiłem. Delikatna i ledwie widoczna linia opisywała krąg o średnicy około dwóch stóp. Opadłem na ręce i kolana i przyjrzałem się jej uważnie. Z jednej strony zauważyłem niewielkie wgłębienie. Wyglądało na to, że miałem do czynienia ze sprytnie zamontowaną pokrywą, zaś wklęsnięcie oznaczało miejsce, gdzie należało ją otworzyć. Wsunąłem czubek sztyletu do środka i nacisnąłem. Pokrywa uniosła się z łatwością. Niedługo była już na tyle wysoko, żebym włożył pod nią palce, a po kolejnej chwili odsunąłem ją na bok, odsłaniając ciemną pustkę w dole. Co tam było? Czemu służył ten otwór?

Był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Opuściłem się przez otwór, który ledwie pomieścił moje wstrętne cielsko. Kiedy zawisłem

na wyprostowanej prawej ręce, dotknąłem palcami stóp czegoś twardego. Z nadzieją, że trafiłem na dno podziemi, puściłem się.

Stałem na twardym podłożu. Wpadające z góry przez otwór słabe światło odsłaniało wąski korytarz prowadzący w nieprzeniknioną ciemność. Skoro dotarłem aż tutaj, musiałem zbadać dalej to ukryte przejście. Żałowałem, że nie mogłem wsunąć pokrywy z powrotem na miejsce, aby w razie pojawienia się kogoś, otwór pozostał zasłonięty. Zacząłem zastanawiać się, w jaki sposób można było wydostać się z tunelu, gdyby pokrywa była na swoim miejscu. Teraz wystarczyłoby podskoczyć do krawędzi otworu i podciągnąć się na rękach, ale po zasłonięciu go, nie było sposobu na wydostanie się z tunelu.

Coś tu nie pasowało. Musiał istnieć inny sposób. Zacząłem macać wokół siebie, starając się znaleźć cokolwiek, aż wreszcie trafiłem na żerdź spoczywającą na kołkach nieopodal wylotu korytarza. Oparłszy ją o krawędź otworu, wspiąłem się na nią i przysunąłem pokrywę, po czym zeskoczyłem i za pomocą żerdzi wciągnąłem ją z powrotem na miejsce.

Ruszyłem korytarzem, wymacując drogę w całkowitej ciemności. Przed każdym krokiem sprawdzałem podłoże stopą, trzymając dłonie na obu ścianach korytarza, aby nie przegapić jakiegoś rozwidlenia lub skrzyżowania z innym tunelem, który mógłby wprowadzić mnie w błąd w drodze powrotnej – o ile miałem wrócić. Zatrzymałem się, uderzony tą myślą. Co stałoby się wtedy z Janai? Może nie powinienem iść dalej ku tej nowej przygodzie? Może powinienem zawrócić? Nie, ostatecznie to dla jej dobra badałem podziemia Morbus. Może tędy prowadziła droga do wolności.

Szedłem coraz dalej. Podłoże tunelu było równe i nie trafiłem na żadne rozgałęzienia. Korytarz skręcił lekko dwa razy, choć bardzo delikatnie. Stale wydawało mi się, że byłem już blisko końca, ale tunel ciągnął się i ciągnął. Ściany stały się wilgotne, a korytarz zaczął cuchnąć pleśnią, i wreszcie trafiłem na ostrą pochyłość. Zawahałem się na chwilę, ale nie

trwało to długo. Podłoga schodziła w dół pod kątem około 15 stopni, a kiedy podłóżę znowu stało się równe, byłem już chyba około trzydziestu lub czterdziestu stóp poniżej pierwotnego poziomu. Ściany i sufit ociekały wilgocią. Podłoga była pokryta szlamem. Kroczyłem coraz dalej niekończącym się, czarnym korytarzem, myśląc że nigdy się już nie skończy, a jeśli nawet dotrę do końca, który musiał gdzieś być, to zadawałem sobie pytanie, w jakie nowe tarapaty mnie prowadził? Od czasu do czasu miałem ochotę zawrócić na myśl o Janai i o tym, jak bardzo była ode mnie zależna.

– Hormada! – W uszach nadal dźwięczało mi określenie, jakim mnie nazwała. Czuję w nim wzgardę i odrazę, jakiej nie potrafiłaby ukryć, nawet gdyby próbowała. A ton, jakim tym samym tchem mówiła o Vor Daju i to, jak zmieniał się przy tym jej głos! Ogarnęła mnie znowu fala zazdrości o siebie samego, ale z pomocą przyszło mi tym razem poczucie humoru. Roześmiałem się głośnym śmiechem, który odbił się echem w cichym jak grób, pełnym grozy korytarzu. Zamilkłem, słysząc ten odgłos – wrażenie było zbyt okropne.

Podłóżę korytarza zaczęło się podnosić, aż uznałem, że dotarłem już chyba na pierwotny poziom. Nagle ujrzałem przed sobą jakieś światło, czy raczej obszar mniej intensywnej ciemności, i po chwili wyszedłem na otwartą przestrzeń. Była noc. Na niebie nie było żadnego z księżyców. Gdzie byłem? Zrozumiałem, że przeszedłem może nawet kilka mil. Na pewno znalazłem się poza murami miasta, ale gdzie dokładnie?

Nagle przede mną wyłoniła się z mroku jakaś postać. W słabym świetle zauważyłem, że był to hormada.

– Kim jesteś? – zapytał. – Co tu robisz? Nie czekając na odpowiedź, ruszył na mnie z mieczem.

Ten język rozumiałem i miałem gotową odpowiedź. Sięgnąłem po broń i starłem się z nim. Okazał się władać bronią lepiej niż którykolwiek z hormadów, z którymi do tej pory walczyłem. Znał pewne sztuczki, które

jak mi się zdawało, poznali wyłącznie uczniowie Johna Cartera. Kiedy odkrył, że znałem je wszystkie, zawołał głośno i po chwili z mroku wyskoczyły dwie czy trzy inne postaci. Ich przywódca nie był hormadą, a czerwonym człowiekiem. Rozpoznałem go, ledwie stał się ze mną.

– Johnie Carter! – zawołałem. – To ja, Vor Daj!

Błyskawicznie opuścił ostrze i cofnął się.

– Vor Daj! – zawołał. – Na wszystkich przodków, skąd się tu wzięłeś?

Podeszli do nas Ras Thavas z drugim hormadą i zdałem im zwięzłą relację z tego, jak odkryłem celę numer 17 i wejście do tunelu.

– A teraz mówcie, co wy tu robicie – zakończyłem.

– Niech Ras Thavas ci to opowie – stwierdził Wódz.

– Morbus to starożytne miasto – zaczął wielki chirurg. – Zbudował je w prehistorycznych czasach lud, który całkiem już wymarł. Odkryłem je w trakcie ucieczki po klęsce w Toonol. Przebudowałem je i przemodelowałem, ale bazowałem głównie na fundamentach starego miasta, które było świetnie rozplanowane. O wielu częściach nic nie wiem. Znalazłem plany licznych budynków, w tym laboratorium. Podobnie jak ty, zauważyłem kółko na schemacie celi 17. Pomyślałem, że to musiało coś oznaczać, ale nie miałem czasu ani ochoty zająć się tym. Kiedy postanowiliśmy ukryć twoje ciało w niemożliwym do znalezienia miejscu, aby nikt go nie zniszczył, gdyby coś poszło nie tak, wybrałem celę 17, dzięki czemu odkryliśmy przejście na tę wyspę, położoną o dwie mile od miasta.

– Dur-dan i Il-dur-en znieśli twoje ciało do celi i zabraliśmy ich ze sobą. To najlepsi z moich hormadów, lojalni i inteligentni. Po ucieczce z Morbus, postanowiliśmy spróbować przedrzeć się na zachodni koniec bagien, znaleźć statek powietrzny Johna Cartera i polecieć do Helium z nadzieją, że zdążę na czas, aby ocalić Dejah Thoris od śmierci.

– Byliśmy zajęci budową łodzi do przeprawy przez bagna i prawie już skończyliśmy. Nie wiedzieliśmy tylko, co zrobić z tobą. Nie chcieliśmy cię

opuszczać, ale ponieważ statek powietrzny pomieści tylko dwie osoby, musielibyśmy zostawić cię gdzieś, dopóki nie wrócimy. W Morbus byłeś o wiele bardziej bezpieczny niż na wzgórzach pod Phundahl.

– Nie trzeba było o mnie myśleć – powiedziałem. – Naszym jedynym celem było znalezienie cię i dostarczenie jak najszybciej do Helium. Kiedy wyruszyliśmy, wiedziałem, że o ile uda nam się to osiągnąć, będę musiał zostać. To niewielkie poświęcenie dla księżniczki Helium. Wódz na pewno posłałby później po mnie.

– Naturalnie – oznajmił John Carter. – Niemniej, myśl o pozostawieniu cię tutaj wcale mi się nie podobała, ale nie było innego wyjścia. Planowaliśmy posłać do miasta Il-dur-ena z wiadomością, w której wszystko byśmy ci wytłumaczyli. Dur-dan popłynie z nami. Jeśli uda nam się pokonać mokradła i dotrzeć do statku, spróbuję wrócić do Morbus.

– Kiedy chcecie wyruszyć? – zapytałem.

– Łódź będzie gotowa jutro. Wyruszymy, kiedy tylko się ściemni. Planujemy podróżować nocą, odpoczywając i ukrywając się za dnia, ponieważ Ras Thavas, który zna mokradła, twierdzi że tylko wielka armia zdołałaby dokonać tego w świetle słońca. Wiele wysp zamieszkują dzicy ludzie albo jeszcze bardziej groźni piraci i banici. Mokradła Toonol to ostatnie męty wielkich oceanów, które pokrywały kiedyś wielką część Barsoom, a zamieszkujące je stworzenia to ostatnie męty ludzkości.

– Czy mogę wam w jakiś sposób pomóc?

– Nie – odpowiedział. – Poświęciłeś już dość dużo.

– W takim razie wrócę do miasta, zanim zauważą moją nieobecność. Trzymaj mnie tam pewne zobowiązanie, niemal równie wielkie co twoje.

– Co masz na myśli? – zapytał.

– Janai.

– Co z nią? Udało ci się ją znaleźć?

Zdałem im relację ze wszystkich zdarzeń, o których nie wiedzieli: o tym, że Ay-mad został jeddakiem i jedynym władcą Morbus, że mianował mnie

odwarem i powierzył kontrolę nad laboratorium, oraz że oddał pod moją opiekę Janai.

– A zatem zarządzasz laboratorium – powiedział Ras Thavas. – Jak idą prace pod moją nieobecność?

– Okropnie – odpowiedziałem. – Jedyne dobre skutki braku twojego nadzoru jest taki, że produkcja hormadów ustanie. Stanęliśmy jednak w obliczu problemu, który może okazać się nieskończenie gorszy niż hormadowie. Opowiedziałem mu o tym, co wydarzyło się w sali numer 4.

Sprawił wrażenie głęboko zatroskanego.

– To naprawdę godne pożałowania – stwierdził. – Zawsze się tego obawiałem i ze wszystkich sił starałem się ustrzec. Dołóż wszelkich starań, abyś był gotów uciec z miasta, jeśli nie uda ci się powstrzymać wzrostu tego tworu. O ile tego nie dokonasz, rozejdzie się na całą wyspę, a teoretycznie mógłby w końcu pokryć całą powierzchnię Barsoom, dławiąc wszelkie inne formy życia. To czysta esencja życia, której nie da się uśmiercić, ale należy kontrolować. Zajmuje się tym Natura, zaś ja ku własnemu nieszczęściu przekonałem się, że dla człowieka to niemożliwe. Ingerowałem w działanie Natury i być może to właśnie jest moja kara.

– Ale jak mogę zahamować wzrost tych tkanek? Jak powstrzymać rozprzestrzenianie się tego koszmaru? – chciałem wiedzieć.

Potrząsnął głową.

– Tylko inne zjawisko Natury mogłoby to powstrzymać.

– Co takiego?

– Ogień – powiedział. – Najwyraźniej jednak proces zaszedł już za daleko.

– Obawiam się, że tak – zgodziłem się.

– Możesz najwyżej ratować siebie i Janai, i czekać na nasz powrót.

– Wrócę z armią i flotą dość wielką, żeby obrócić Morbus w gruzy i uratować was – powiedział Wódz.

– A zatem do tego czasu – odpowiedziałem. – Obyś przywiózł wieści o powrocie księżniczki do zdrowia.

16.

JEDDAK ZABIERA GŁOS

Wracając ciemnym tunelem, czułem potworne przygnębienie. Wydawało mi się, iż prawdopodobieństwo, że John Carter i Ras Thavas dotrą żywi na zachodni skraj bagien było naprawdę niewielkie. Na pewno czekała ich śmierć, a wtedy los Dejah Thoris byłby przypieczętowany. Zdawało mi się, że nie miałem już po co żyć. Dopóki byłem skazany na pobyt w odrażającym cielsku hormady, Janai była dla mnie stracona bez cienia nadziei.

A jednak miałem dla kogo żyć – właśnie dla Janai! Mogłem przynajmniej poświęcić swoje życie chronieniu jej. Kto wie, może nawet pewnego dnia udałoby mi się zorganizować jej ucieczkę z Morbus. Od kiedy dowiedziałem się o tunelu, nadzieja na to zaczęła rysować się nieco jaśniej.

Dotarłem wreszcie do celi. Zatrzymałem się jeszcze raz, żeby obrzucić moje nieszczęsne zwłoki smętnym, pełnym podziwu spojrzeniem. Czy mój mózg miał je kiedyś jeszcze ożywić? Wzdragałem się przed odpowiedzią na to pytanie, wychodząc z celi na ołowianych nogach i idąc na górę. Kiedy zbliżałem się do gabinetu, spotkał mnie Tun Gan.

- Dobrze, że wróciłeś – powiedział z wyraźną ulgą w głosie.
- Dlaczego? Co się stało? Coś znowu poszło nie tak?
- Nie wiem, ponieważ nie wiem, gdzie byłeś i co robiłeś. Wiesz, czy ktoś śledził cię albo widział, gdzie idziesz?

– Nikt mnie nie widział – odpowiedziałem – ale nawet gdyby było inaczej, nie miałyby to żadnego znaczenia. Wybrałem się tylko na przegląd podziemi. – Nie zamierzałem ufać niczyjej lojalności. – Dlaczego pytasz?

– Szpiedzy Ay-mada stali się bardzo czujni – oświadczył. – Niektórych znam, a innych podejrzewam. Myślę, że przysłał paru nowych, żeby mieli na ciebie oko. Podobno jest wściekły, gdyż kobieta wolała odejść z tobą niż zostać z nim i przyjąć tytuł jeddary.

– Chcesz powiedzieć, że mnie szukali?

– Tak, i to wszędzie. Zaglądali nawet do jej pokojów.

– Nic jej nie jest? Nie zabrali jej?

– Nic na ten temat nie wiem.

– Ale nie jesteś pewny?

– Nie.

Serce we mnie zamarło. Czy doszło już do tego? Ruszyłem biegiem w stronę pokojów Janai, a za mną Tun Gan, który sprawiał wrażenie niemal tak samo zatroskanego, jak ja. Może jednak nie był moim wrogiem. Taką miałem nadzieję, ponieważ potrzebowałem każdego oddanego sojusznika, jakiego mogłem znaleźć, na wypadek gdyby Ay-mad zamierzał odebrać mi Janai.

Kiedy strażnik przy drzwiach rozpoznał mnie, odsunął się na bok i wpuścił nas do środka. Początkowo nie zauważyłem dziewczyny. Siedziała plecami do mnie, wyglądając przez okno. Zawołałem ją po imieniu. Wstała i odwróciła się. Wyglądała na zdumioną moim widokiem, ale kiedy oderwała ode mnie wzrok i przeniosła go na Tun Gana, zdjęta grozą zmrużyła oczy i cofnęła się.

– Co ten człowiek tu robi? – zapytała.

– To jeden z moich oficerów – powiedziałem. – Co takiego zrobił? Czy chciał cię skrzywdzić, kiedy mnie nie było?

– Nie wiesz, kto to jest?

– To przecież Tun Gan, dobry oficer.

– To zabójca z Amhor, Gantun Gur – powiedziała. – Zamordował mojego ojca.

Od razu zdałem sobie sprawę z pomyłki, jaką popełniła.

– To tylko ciało Gantun Gura – oświadczyłem. – Mózg dawno spalono. Ten, który ożywia je teraz, należy do przyjaciela.

– No tak, kolejne dzieło Ras Thavasa – stwierdziła z wyraźną ulgą. – Przebacz mi, Tun Ganie; nie wiedziałam.

– Opowiedz mi o człowieku, którego ciało noszę – poprosił Tun Gan.

– Gantun Gur był niesławnym płatnym zabójcą, wynajmowanym często przez księcia, Jal Hada. Książę pragnął mnie, ale ojciec nie chciał mu mnie oddać. Wiedział, że wolałabym umrzeć niż zostać jego żoną. Jal Had zatrudnił więc Gantun Gura, żeby zamordował mojego ojca i porwał mnie. Udało mi się uciec i ruszyć w drogę do Ptarthu, gdzie ojciec miał przyjaciół. Gantun Gur podążył za mną z silnym oddziałem zbirów z gildii zabójców. Dogonili nas i zaatakowali niewielki oddział lojalnej służby, jaki towarzyszył mi na wygnaniu. Walczyli jeszcze, kiedy nadeszła noc i moi ludzie rozpierchli się. Nie zobaczyłam ich już, a dwa dni później schwytali mnie hormadowie. Przypuszczam, że Gantun Gur został później złapany przez inną drużynę zwiadowców.

– Nie musisz się go już bać – powiedziałem.

– Mimo wszystko, dziwnie widzieć go takim, jakim go znałam, wiedząc jednocześnie, że to nie on.

– W Morbus jest wiele dziwnych rzeczy. Nie wszyscy, których widzisz, mają własne mózgi i ciała.

Istotnie, było to dość dziwne. Oto mieliśmy Tun Gana z ciałem Gantun Gura i mózgiem Tor-dur-bara, i mnie – z ciałem Tor-dur-bara i mózgiem Vor Daja. Zastanawiałem się, jak zareagowałyby Janai, gdyby poznała prawdę. Gdyby już wcześniej darzyła uczuciem Vor Daja, wyjawilibym jej wszystko, ponieważ lepiej byłoby, aby poznała prawdę; ponieważ jednak nie kochała go i nic nie wskazywało, aby było inaczej, moja obecna postać

mogła napełnić ją taką odrazą, że nie pokochałaby mnie nigdy, nawet gdybym odzyskał własne ciało. Rozumując w ten sposób, postanowiłem nic jej nie mówić.

Wyjaśniłem, dlaczego przyszliśmy z Tun Ganem do jej kwatery, tłumacząc, że musiała uważać na wszystkie swoje słowa i czyny, ponieważ otaczali ją na pewno szpiedzy i donosiciele Ay-mada.

Przyglądała mi się przez chwilę pytającym wzrokiem, po czym stwierdziła:

– Okazałeś mi wiele dobroci. Jesteś moim jedynym przyjacielem. Szkoda, że nie przychodzisz tu częściej. Nie musisz szukać powodów ani wymówek, żeby mnie odwiedzić. Czy przyniosłeś tym razem wieści o Vor Daju?

Słyszając pierwszą część jej wypowiedzi, poczułem, jak moje serce dostaje skrzydeł, ale przy ostatnim zdaniu ogarnęła mnie znowu niezrozumiała zazdrość. Czyżby ciało Tor-dur-bara do tego stopnia połączyło się z mózgiem Vor Daja, że zaczęło wchłaniać jego osobowość? Czyżbym pokochał Janai jako hormada? A jeśli tak, co mogło z tego wyniknąć? Czy mógłbym zacząć nienawidzić i bać się Vor Daja do tego stopnia, że zniszczyłbym jego ciało, ponieważ Janai wołała je od ciała Tor-dur-bara? Sama myśl była niesamowita, ale takie były również warunki, z których wynikała.

– Nie mam o nim żadnych wiadomości – odpowiedziałem – ponieważ zniknął. Możliwe, że gdybyśmy wiedzieli, co się stało z Dotar Sojatem i Ras Thavasem, poznalibyśmy też los Vor Daja.

– Chcesz powiedzieć, że nie wiesz gdzie on jest? – powiedziała. – W tym wszystkim jest coś dziwnego, Tor-dur-barze. Chciałabym ci zaufać, ale od kiedy do mnie przyszedłeś, byłeś bardzo tajemniczy we wszystkim, co dotyczy Vor Daja. Czuję, że próbujesz uniemożliwić mi spotkanie z nim. Dlaczego?

– Nie masz racji – oznajmiłem. – Musisz mi zaufać, Janai. Kiedy tylko będzie to możliwe, spotkacie się znowu. Tylko tyle mogę powiedzieć. Ale dlaczego tak bardzo ci na tym zależy?

Myślałem, że uda mi się wyciągnąć z niej jakąś wskazówkę co do uczuć, jakimi darzyła Vor Daja. Reakcje mojej podwójnej osobowości były tak skomplikowane, że nie wiedziałem już, czy bardziej miałem nadzieję czy obawiałem się, że mogła zdradzić się w jakiś sposób z miłością do niego. Ale mój fortel nie przydał się na nic. Odpowiedź Janai na nic nie wskazywała.

– Obiecał pomóc mi w ucieczce – powiedziała. Tylko tyle. Interesowała się Vor Dajem z czysto egoistycznych przyczyn, choć lepsze to niż kompletny brak zainteresowania. Tak oto miłość robi z człowieka głupca, pomyślałem, aż przyszło mi do głowy, że moje zainteresowanie Janai również mogło mieć czysto egoistyczne podstawy. Niewiele nas pod tym względem różniło. Ona chciała wolności, a ja pragnąłem jej. Ale czy ośmieliłbym się zaryzykować wszystko, nawet życie, żeby zwrócić jej wolność, choćbym wiedział, że ją utracę? Wiedziałem, że tak, więc moja miłość nie była chyba tak do końca egoistyczna. Tak przynajmniej chciałem myśleć.

Podczas rozmowy zauważyłem, że dwóch służących obserwowało nas uważnie, podchodząc ostrożnie coraz bliżej i najwyraźniej starając się usłyszeć, o czym mówiliśmy. Nie wątpiłem, że byli to szpiedzy Ay-mada, choć ich strategia była tak prymitywna, że byli niemal nieszkodliwi. Ściszywszy ton, ostrzegłem Janai przed nimi, a kiedy znaleźli się w zasięgu głosu, powiedziałem do niej głośno:

– To na nic. Nie pozwolę ci opuścić tych pokojów, więc nie proś mnie o to więcej. Tu jesteś o wiele bardziej bezpieczna. Zrozum, że należysz teraz do mnie i mam prawo zabić każdego, kto by ci groził. – Tak bym też zrobił. Oczywiście, mieli to usłyszeć szpiedzy.

Następnie opuściłem ją, zabierając ze sobą Tun Gana. Wróciwszy do gabinetu, podjąłem decyzję. Musiałem zapewnić dziewczynie i sobie otoczenie lojalnych sprzymierzeńców, ale by tego dokonać, musiałem podjąć pewne ryzyko. Wybadałem Tun Gana. Oświadczył, że wszystko zawdzięczał wszystko Vor Dajowi i Ras Thavasowi, a ponieważ obaj byli moimi przyjaciółmi, był gotów pomóc mi na wszelkie możliwe sposoby. Nie darzył żadnego z jedów szczególnym oddaniem.

Przez następne dwa dni odbyłem rozmowy z Sytorem, Pandarem, Gan Hadem i Teeaytan-ovem, przekonując się, że mogłem polegać na ich lojalności. Udało mi się sprawić, aby wszystkich poza Teeaytan-ovem przeniesiono do służby w laboratorium, gdzie trzeba było coraz więcej oficerów, aby kierować próbami powstrzymania rozrastania się przerażającego tworu z sali numer 4. Teeaytan-ov miał być moim szpiegiem w pałacu. Sytor dowodził grupą hormadów, która schwytała Wodza i mnie. Polubiłem go, a po dłuższej pogawędce z nim nabrałem przekonania, że był normalnym czerwonym człowiekiem z własnym mózgiem, ponieważ wiedział o miejscach i wydarzeniach ze świata zewnętrznego, o których na pewno nie miał pojęcia żaden hormada. Pochodził z Dugar, pragnął wydostać się z Morbus i wrócić do własnego kraju.

Pandar i Gan Had, moi dawni współwięźniowie, o których to i owo wiedziałem, pochodzili z Phundahl i Toonol. Obaj zapewnili, że o ile naprawdę służyłem Vor Dajowi i Dotar Sojatowi, byli gotowi ze mną współpracować.

Oczywiście, wszyscy mieli mnie za zwykłego hormadę, ale moja ranga utwierdzała ich w przekonaniu o moich wpływach i znaczeniu. Wyjaśniłem im, że kiedy tylko znajdzie się Ras Thavas, miałem otrzymać ciało czerwonego człowieka, a wtedy stanę się jednym z nich i także będę chciał uciec z Morbus.

Twór z sali numer 4 wypełniał już niemal całe wielkie podwórze. Kazałem zabarykadować wszystkie wychodzące na dziedziniec okna

i drzwi, aby uniemożliwić mu przedostanie się do wnętrza budynku. Istniało jednak realne niebezpieczeństwo, że dotrze do dachu i rozleje się po nim, aż w końcu trafi na ulice miasta. Produkcja nowych hormadów praktycznie ustała; kazałem też opróżnić wszystkie zbiorniki, aby incydent z sali numer 4 nie powtórzył się gdzie indziej. Wymagało to ode mnie odwiedzenia wszystkich budynków, w których mieściła się hodowla tkanek, a było ich wiele. Po powrocie z jednej z tych wizyt otrzymałem wezwanie, aby stawić się przed Ay-madem.

Kiedy wszedłem do pałacu, na spotkanie wyszedł mi Teeaytan-ov.

– Bądź ostrożny – ostrzegł. – Coś jest na rzeczy. Nie wiem dokładnie o co chodzi, ale pewien służący Ay-mada twierdził, że mamrocze stale pod nosem o tobie i tej kobiecie. Teraz, kiedy ją stracił, wydaje mu się jeszcze bardziej godna pożądania. Oddaj mu ją, jeśli chcesz oszczędzić sobie kłopotów; jeśli tego nie zrobisz, może skazać cię na śmierć i zabrać ją tak czy siak, a żadna kobieta nie jest tego warta.

Podziękowałem mu i udałem się do sali audiencyjnej, gdzie przed tronem zgromadzili się najwyżsi dowódcy Ay-mada. Sam jednak przywitał mnie pochmurnym obliczem, kiedy zająłem miejsce wśród pozostałych dostojników, jako jedyny pozbawiony ciała czerwonego człowieka. Nie miałem pojęcia, ilu spośród obecnych miało przeszczepione umysły hormadów, ale z tego, co słyszałem od przybycia do Morbus, wnioskowałem, że była to zdecydowana większość. Zdziwiliby się, a już najbardziej Ay-mad, gdyby wiedzieli, że za moim szpetnym obliczem hormady krył się mózg szlachetnie urodzonego mieszkańca Helium i zaufanego przybocznego samego Wodza Barsoom.

Ay-mad wycelował we mnie palec.

– Okazałem ci zaufanie – powiedział. – Powierzyłem ci pieczę nad laboratorium i co zrobiłeś? Przestaliście tworzyć kolejnych wojowników!

– Nie jestem Ras Thavasem – przypomniałem.

– Dopuściłeś do katastrofy w sali numer 4, która grozi nam unicestwieniem.

– Pozwól, że przypomnę raz jeszcze – nie jestem największym umysłem Marsa – przerwałem mu.

Nie zwracając na to uwagi, mówił dalej:

– To grozi zniweczeniem naszych planów podboju świata i wymaga, abyśmy natychmiast podjęli próbę dokonania tego nieodpowiednimi siłami. Zawiodłeś mnie w laboratorium; zwalniam cię więc z tych obowiązków, ale pozwalam ci oczyścić się, dając kolejną szansę. Zamierzam podbić Phundahl, aby zdobyć flotę statków, którymi przetransportujemy wojsko do Toonol. Zdobywając Toonol, pozyskamy kolejne statki, a to pozwoli nam ruszyć na inne miasta. Obejmiesz dowodzenie nad wyprawą przeciwko Phundahl. Nie potrzeba dużej armii, żeby je zająć. Mamy pięćset malagorów. Każdy może wykonać dwa pełne przeloty dziennie. To znaczy, że w trakcie jednego dnia zdołasz przetransportować w poblize miasta tysiąc wojowników lub – o ile ptaki uniosą podwójny ciężar – dwa tysiące. W ten sam sposób przetrzucisz tysiąc wojowników za mury miejskie, aby zajęli i otworzyli bramę przed główną częścią twojej armii. Zacznieś od przeniesienia kadzi i medium koniecznych do produkcji żywności dla armii. Zaatakujesz, mając dwadzieścia tysięcy wojowników, a ponieważ straty będą na pewno wielkie, będę przysyłał ci kolejnych, po dwa tysiące dziennie, aż do zakończenia kampanii. Opuścisz niezwłocznie kwaterę w laboratorium i zamieszkas w pałacu w pokojach przydzielonych tobie i twojej świcie.

Zrozumiałem od razu, do czego zmierzał. Zależało mu na tym, aby ściągnąć Janai do pałacu, a mnie samego wysłać na wojnę przeciw Phundahl.

– Przeprowadzisz się natychmiast tutaj i niezwłocznie zajmiesz się transportem wojsk. Powiedziałem!

17.

BEZ WYJŚCIA

Wyglądało na to, że stanąłem przed nierozwiązywalnym problemem. Mając własne ciało, mógłbym uciec z Janai przez tunel na wyspę, gdzie ukryli się John Carter z Ras Thavasem, i czekać tam na ich powrót. Nie mogłem jednak porzucić mojego ciała i ryzykować wyjścia w świat w postaci hormady. Czułem też, że moją powinnością jako czerwonego człowieka było zostać i próbować w ten czy inny sposób pokrzyżować plany Ay-mada. Kiedy szedłem do pokojów Janai, aby opowiedzieć jej po tym, co nas spotkało, mój nastrój sięgał dna; nie mógł już niżej upaść.

Idąc korytarzem laboratorium, trafiłem na Tun Gana, który sprawiał wrażenie wzburzonego.

– Twór z sali numer 4 przedostał się w jednym miejscu przez dach i zaczął spływać po ścianie na ulicę – powiedział. – Wygląda na to, że wzrost nagle przyspieszył, a jeśli go nie powstrzymamy, będzie tylko kwestią czasu, zanim ogarnie całe miasto.

– Oraz wyspę – dodałem. – Ale nic już nie mogę w tej sprawie zrobić. Ay-mad zwolnił mnie z moich obowiązków w laboratorium. Teraz odpowiada za to mój następca.

– Ale co możemy zrobić, żeby ratować siebie samych? – zapytał. – O ile nie powstrzymamy tego tworu, wszyscy będziemy zgubieni. Zdążył złapać i pochłonąć kilku wojowników wysłanych, żeby go zniszczyć. Chwyta ich dłońmi, a potem pożerają ich głowy. Pochłonie w końcu nas wszystkich.

Istotnie, co mogliśmy zrobić, żeby się ratować? Dotychczas obejmowałem myślą tylko Janai i obie moje postaci, ale teraz pomyślałem o innych: Pandarze, Gan Hadzie, Sytorze, a nawet Tun Ganie, zabójcy z Amhor, z mózgiem hormady. Najbliżej było im do pojęcia przyjaciół, jedynych jakich miałem w Morbus. Poza tym był jeszcze nieszczęsny Teeaytan-ov, który również był moim druhem. Musiałem ich wszystkich ocalić.

– Czy chciałbyś stąd uciec, Tun Ganie? – zapytałem.

– Oczywiście.

– Czy przysięgniesz służyć mi lojalnie, o ile pomogę ci wydostać się z Morbus, i zapomnisz, że jesteś hormadą?

– Nie jestem już hormadą a czerwonym człowiekiem – odparł. – I będę ci wiernie służył, jeśli pomożesz mi uciec od koszmaru, który zaczyna ogarniać ulice miasta.

– Świetnie. Udasz się niezwłocznie do Pandara, Gan Hada, Sytora i Teeaytan-ova i przekażesz im, aby przyszli do pokojów Janai. Ostrzeż, aby zachowali to w tajemnicy. Nikt nie może usłyszeć tego, co im powiesz. Pospiesz się, Tun Ganie!

Udałem się do pokojów Janai, która sprawiała wrażenie uradowanej moim widokiem, i opowiedziałem jej o wydanym przez Ay-mada poleceniu, abyśmy przenieśli się do pałacu. Tak, jak zamierzałem, usłyszeli to obaj podejrzewani przeze mnie służący. Poleciałem im też zaraz, aby zaczęli pakować rzeczy swojej pani, dzięki czemu mogłem porozmawiać z Janai na osobności. Wyjaśniłem jej, co oznaczał szalony rozkaz Ay-mada i zdradziłem, że miałem plan, który dawał nam szansę na ucieczkę.

– Zaryzykuję – powiedziała. – Wolę to niż pozostać w pałacu Ay-mada pod twoją nieobecność. Jesteś moim jedynym przyjacielem w tym mieście i tylko tobie mogę zaufać, choć nie wiem, dlaczego darzysz mnie przyjaźnią.

– Ponieważ Vor Daj, który cię kocha, jest moim przyjacielem – odpowiedziałem. Czułem się jak tchórz, zdobywając się w ten sposób na wyznanie miłości, o której nie miałbym odwagi mówić, gdybym był sobą. Zaledwie jednak to zrobiłem, pożałowałem tego. A jeśli Janai wzgardzi uczuciem Vor Daja? Nie był obecny we własnej osobie, aby wyznać jej co czuje, a z pewnością nie mógł zrobić tego za niego szpetny hormada. Wstrzymałem oddech, czekając na odpowiedź.

Milczała przez chwilę, po czym zapytała:

– Dlaczego sądzisz, że Vor Daj mnie kocha?

– To całkiem oczywiste. Nie troszczyłby się tak bardzo o los kobiety, której nie darzyłby uczuciem.

– Pewnie się mylisz. Troszczyłby się o los każdej czerwonej kobiety, która byłaby przypadkiem uwięziona w Morbus. Jak mogła zrodzić się między nami miłość? Prawie się nie znamy, zamieniliśmy ledwie kilka słów.

Miałem już wdać się z nią w dyskusję na ten temat, kiedy zjawili się Pandar, Gan Had, i Sytor, kończąc naszą rozmowę i zostawiając mnie w tej samej niepewności co do uczuć dziewczyny względem Vor Daja, jaką czułem wcześniej. Ponieważ cała trójka pracowała w laboratorium, Tun Gan znalazł ich szybko. Odesłałem ich do gabinetu, ponieważ nie chciałem rozmawiać z nimi w miejscu, gdzie mógł podsłuchać nas któryś ze szpiegów Ay-mada.

Tun Gan wrócił parę minut później z Teeaytan-ovem. Tym samym lista osób, na których pomoc liczyłem, została zamknięta. Służący zdążyli już spakować rzeczy Janai, które kazałem im teraz zabrać do naszych nowych pokoi w pałacu, tym samym pozbywając się ich.

Kiedy tylko oddalili się, poszedłem z Janai, Tun Ganem i Teeaytan-ovem do gabinetu, gdzie czekała na nas reszta grupy. Skoro byliśmy już wszyscy, wyjaśniłem im, że zamierzałem uciec z Morbus, i zadałem każdemu pytanie, czy chciał mi towarzyszyć. Wszyscy przytaknęli, ale Sytor dał

głośno wyraz wątpliwościom, odczuwanym zapewne przez wszystkich, czy ucieczka w ogóle była możliwa.

– Jaki masz plan? – zapytał.

– Odkryłem podziemny tunel, który prowadzi na wyspę niedaleko od brzegów Morbus – powiedziałem. – To tam udali się Dotar Sojat i Ras Thavas, kiedy zniknęli z miasta. Są już w drodze do Helium, i możecie być pewni, że Dotar Sojat wróci na czele floty i armii dość licznej, żeby mnie stąd zabrać.

Teeaytan-ov wydawał się sceptyczny.

– Dlaczego Dotar Sojat miałby ratować zwykłego hormadę? – spytał.

– I jak Dotar Sojat, ubogi pantan, chce przekonać jeddaka Helium, żeby wysłał flotę nad Toonol po jakiegoś hormadę? – dopytywał Sytor.

– Przyznaję, że może to się wydać niezwykle – odpowiedziałem – ale to dlatego, że nie znacie wszystkich faktów, a istnieją powody, dla których nie chcę ich jeszcze przed wami odsłaniać. Co do jednego mogę was jednak uspokoić: Dotar Sojat na pewno może sprowadzić okręty z Helium, ponieważ w rzeczywistości jest to sam John Carter, Wódz Marsa.

Wprowadziłem ich w zdumienie, ale kiedy wyjaśniłem, dlaczego John Carter przybył do Morbus, uwierzyli mi. Teeaytan-ov nadal jednak nie potrafił zrozumieć, dlaczego wielki Wódz miałby interesować się zwykłym hormadą do tego stopnia, żeby sprowadzić mu na ratunek ogromną flotę z dalekiego Helium.

Widziałem, że popełniłem błąd, mówiąc aż tyle, ale czasami trudno mi było rozróżnić między moimi dwiema tożsamościami. Dla siebie samego byłem zawsze Vor Dajem, szlachetnie urodzonym oficerem z Helium. Dla innych byłem Tor-dur-barem, hormadem z Morbus.

– Możliwe, że przesadziłem, mówiąc że Dotar Sojat wróci po mnie – powiedziałem, próbując się wytłumaczyć. – Przyleci po Vor Daja, ale i po mnie, ponieważ obaj są moimi przyjaciółmi.

– Dlaczego sądzisz, że mógłby uratować któregoś z nas? – zapytał Pandar z Phundahl.

– Uratuje każdego, jeśli poprosi go o to Vor Daj, a to znaczy, że również każdego, o kogo poproszę ja, ponieważ Vor Daj jest moim przyjacielem.

– Ale Vor Daj zniknął – stwierdził Gan Had z Toonol. – Nikt nie wie, co się z nim stało. Uznano go za zmarłego.

– Nie powiedziałaś mi o tym, Tor-dur-barze – powiedziała głośno Janai. Odwróciła się do Sytora.

– Może to sztuczka, dzięki której chce nas oszukać, żeby dla siebie tylko znanych powodów zyskać władzę nad nami.

– Przecież mówiłem ci, że zniknął, Janai – przypomniałem.

– Ale nie powiedziałaś, że uznano go za zmarłego. Twierdzisz, że nie wiesz, gdzie jest, utrzymując jednocześnie, że John Carter wróci po niego. W co mam wierzyć?

– Musisz mi uwierzyć, jeśli chcesz żyć i stąd uciec – uciałem. – Ujrzysz Vor Daję za parę minut, a wtedy zrozumiesz, dlaczego nie mogłem cię odwiedzić. Zaczynałem niecierpliwie się ich podejrzeniami rzucanymi w chwili, kiedy konieczny był pośpiech, o ile chcieliśmy uciec, zanim Aymad zacznie coś podejrzewać.

– W co mam wierzyć? – powtórzyła Janai. – Nie wiesz, gdzie jest Vor Daj, choć twierdzisz, że ujrzymy go za parę minut.

– Był czas, kiedy nie wiedziałem, gdzie był. Kiedy go odnalazłem, uznałem, że ponieważ liczyłaś na niego, lepiej będzie nie mówić ci prawdy. Vor Daj nie może ci pomóc. Tylko ja mogę to zrobić. Niestety, plan ucieczki wymaga, żebyś dowiedziała się, co się z nim stało. Ale dość już zmarnowaliśmy czasu! Ruszam, a ty chodź ze mną. Pomogę ci, bo jestem to winien Vor Dajowi. Reszta może zrobić, co uzna za stosowne.

– Idę z tobą – powiedział Pandar. – Nigdzie nie może być gorzej niż tutaj.

Wszyscy postanowili mi towarzyszyć, choć Sytor miał pewne zastrzeżenia. Podszedł do Janai i zaczął coś do niej szeptać.

Zabrawszy ze sobą Teeaytan-ova, udałem się do prywatnego laboratorium Ras Thavasa i zebrałem wszystkie instrumenty potrzebne, aby przeszczepić mój mózg z powrotem do mego własnego ciała. Podałem je Teeaytan-owowi, po czym odłączyłem silnik i przewody, bez których nie można by przepompować mojej krwi z powrotem do żył i tętnic. Zajęło nam to chwilę, ale w końcu byliśmy gotowi do drogi.

Nie miałem wątpliwości, że nie uda nam się wymknąć niepostrzeżenie, unikając podejrzeń. Mogłem tylko mieć nadzieję, że uda nam się dotrzeć do celi 3-17, zanim dopadnie nas pościg. Widok dwóch hormadów, czterech czerwonych ludzi i Janai, oraz ładunku niesionego przeze mnie z Teeaytan-ovem, natychmiast ściągnął na nas uwagę i to nie było kogo, bo nowego zarządcy laboratorium.

– Dokąd się wybieracie? – zapytał. – I co zamierzacie zrobić z tym sprzętem?

– Chcę go umieścić w podziemiach, gdzie będzie bezpieczny – odpowiedziałem. – O ile Ras Thavas kiedyś wróci, będzie go potrzebował.

– Wystarczająco bezpieczny będzie tam, skąd go wzięłeś – odparował. – Teraz ja tu rządę, a jeśli zechcę go przenieść, sam się tym zajmę. Zanieście te rzeczy z powrotem tam, skąd je wzięliście.

– Od kiedy to dwar wydaje rozkazy odwarowi? – zapytałem. – Z drogi!

Z tymi słowami, ruszyłem dalej, prowadząc moją grupę w stronę rampy prowadzącej do podziemi.

– Czeka! – warknął. – Nigdzie nie pójdziesz bez rozkazu Ay-mada, ani z tym sprzętem ani z dziewczyną. Polecono ci zabrać ją do pałacu, nie do podziemi; a jeddak przykazał mi bezpośrednio, abym tego dopilnował. – Powiedziawszy to, zawołał głośno, wzywając pomocy. Wiedziałem, że zaraz otoczą nas wojownicy, poleciłem więc reszcie ruszać szybko w stronę podziemi.

Puściliśmy się biegiem po długiej, spiralnej pochylni. Zarządca deptał nam po piętach, nie przestając wzywać gromkim głosem pomocy. Z tyłu odpowiedziały mu wkrótce okrzyki ruszających w pościg wojowników.

18.

WYSPA ZDRADY

Wyglądało na to, że cały mój plan legł w gruzach, ponieważ nawet gdyby udało nam się dotrzeć do celi 3-17, nie ośmieliłbym się wejść do środka i ujawnić drogi naszej ucieczki.

Dotarliśmy już jednak daleko i nie mogliśmy zawrócić. Było tylko jedno rozwiązanie problemu: nie mogliśmy zostawić żadnych świadków, którzy mogliby zanieść meldunek Ay-madowi.

Weszliśmy do podziemi i posuwaliśmy się naprzód głównym korytarzem. Zarządca trzymał się za nami w bezpiecznej odległości. Okrzyki ścigających nas wojowników świadczyły, że nie zgubili naszego tropu. Zawołałem do Tun Gana, żeby poszedł do mnie, po czym ściszym głosem przekazałem mu instrukcje. Oddalił się zaraz i wymienił parę zdań z Teeaytan-ovem i Pandarem; następnie cała trójka skręciła w boczny korytarz. Zarządca zawahał się przez chwilę, ale nie poszedł za nimi. Ponieważ nie interesowali go, śledził dalej Janai i mnie. Na przecięciu z kolejnym korytarzem poprowadziłem resztę grupy w prawo, zatrzymując się zaraz i zdejmując ładunek z barków.

– Będziemy walczyć tutaj – powiedziałem. – Musimy tylko pamiętać o jednym: jeśli mamy uciec i przeżyć, nie możemy pozostawić przy życiu żadnego ze strażników, żeby nie sprowadzili innych.

Sytor i Gan Had zajęli miejsca przy mnie. Janai została parę kroków z tyłu. Zarządca zatrzymał się poza zasięgiem miecza, czekając na wojowników. Nie mieliśmy broni palnej, ponieważ materiały potrzebne

do produkcji środków wybuchowych nie występowały na mokradłach, albo jeszcze ich tam nie odkryto. Uzbrojeni byliśmy tylko w miecze i sztylety.

Nie musieliśmy czekać długo, zanim strażnicy zaatakowali. Było ich dziewięciu, wszyscy byli hormadami. Zarządca miał ciało czerwonego człowieka i umysł hormada. Poznałem go dość dobrze podczas służby w pałacu. Był okrutny i przebiegły, ale brakowało mu odwagi. Zatrzymał wojowników i cała dziesiątka stanęła przed nami.

– Poddajcie się lepiej i chodźcie ze mną – powiedział. – Nie macie żadnych szans. Nas jest dziesiątka, a was tylko trzech. Jeśli nie będziecie robić kłopotów, nie powiem o niczym Ay-madowi.

Widziałem, że zależało mu na uniknięciu walki, ale była ona naszą jedyną nadzieją na ucieczkę. Trafiwszy do pałacu Ay-mada, Janai i ja bylibyśmy zgubieni. Udawałem, że zastanawiam się nad propozycją, żeby zyskać chwilę. Nie trzeba mi było więcej, ponieważ ujrzałem zaraz Tun Gana, Pandara, i Teeaytan-ova, którzy podeszli cicho od tyłu do zarządcy i jego wojowników.

– Teraz! – zawołałem, na co cała trójka wydała okrzyk, po którym wszyscy strażnicy odwrócili się równocześnie. Sytor, Gan Had i ja rzuciliśmy się na nich z wyciągniętymi mieczami. Co prawda, przeciwnik miał nad nami przewagę liczebną, ale strażnicy nie mieli tak naprawdę szans. Atak z zaskoczenia dezorientował ich, ale największą przewagę dawały nam moja nadludzka siła i długie ramię. Wkrótce zrozumieli jednak, że szło o ich życie, a wtedy zaczęli walczyć wściekle, jak szczury zagnane w pułapkę.

Ujrzałem, jak nieszczęsny Teeaytan-ov padł z rozłupaną czaszką. Upadł również ranny Pandar, choć dopiero po tym, jak wyprawił na tamten świat jednego przeciwnika. Tun Gan pokonał dwóch. Sytor, ku mojemu zdziwieniu i rozczarowaniu, trzymał się z tyłu, nie próbując się narażać, ale wcale nie był nam potrzebny. Mój miecz trafiał jednego strażnika po drugim, rozłupując czaszki od sklepienia do podbródka, aż ze

wszystkich nieprzyjaciół został tylko zarządca, który podczas tego krótkiego starcia starał się unikać walki, jak tylko mógł. Teraz próbował uciec z krzykiem, ale Tun Gan zagroził mu drogę. Rozległ się szcęk zderzającej się stali, usłyszeliśmy przenikliwy wrzask, po czym Tun Gan wyciągnął ostrze z serca zarządcy i wytarł je we włosy pokonanego wroga.

Korytarz wyglądał jak prawdziwa jatka, w której miotały się okropne, wykrwawione bezmózgie ciała. Wolałbym nie pamiętać tego, co nastąpiło teraz, ale musieliśmy pozbyć się ich wszystkich, a zwłaszcza mózgów, aby w dalszej drodze czuć się bezpiecznie.

Poleciwszy Tun Ganowi, żeby poniosł rzeczy, które powierzyłem wcześniej Teeaytan-ovowi, uniosłem silnik i poprowadziłem ocalałych do celi 3-17. Zauważyłem, że Sytor siedł przy Janai, szepcząc coś do niej, ale w tamtej chwili byłem zbyt zaprzątnięty innymi sprawami, żeby przypisywać temu jakąś szczególną wagę. Jak dotąd, dopisywało nam szczęście. Kto mógł przewidzieć, co czekało nas w przyszłości? Nie wiedziałem, w jaki sposób mogliśmy wyżywić się na wyspie i miałem tylko mglisty zarys tego, w jaki sposób mieliśmy wydostać się z okolic Morbus i bagien, gdyby John Carter jednak po mnie nie wrócił. Wiedziałem, że tylko śmierć powstrzymałaby go przed tym, a nie potrafiłem wyobrazić sobie, że Wódz mógłby zginąć. Podobnie jak wielu innym, wydawał mi się nieśmiertelny. A gdyby wrócił bez Ras Thavasa? Myśl zdjęła mnie grozą: gdyby okazała się prorocza, nie pozostałoby mi nic poza samobójstwem. Lepsza byłaby śmierć niż życie w tej szkaradnej postaci. Łatwiej byłoby zginąć niż pogodzić się z faktem, że utraciłbym na zawsze Janai. Snując te rozważania, dotarłem do drzwi celi 3-17 i otworzywszy je szeroko, wprowadziłem pozostałych do środka.

Na widok ciała Vor Daja spoczywającego na zimnym, kamiennym blacie, Janai wydała okrzyk grozy i odwróciła się z wściekłą miną w moją stronę.

– Okłamałeś mnie, Tor-dur-barze! – powiedziała stłumionym szeptem. – Cały czas wiedziałeś, że Vor Daj nie żyje. Dlaczego byłeś dla mnie tak okrutny?

– Vor Daj nie jest martwy – powiedziałem. – Czeka tylko na powrót Ras Thavasa, który przywróci go do życia.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? – zapytała.

– Tylko ja wiedziałem, gdzie ukryto jego ciało. Gdybyś wiedziała, nie przyniosłoby to korzyści ani tobie ani jemu, a im mniej osób o tym wiedziało, tym bardziej był bezpieczny. Nawet tobie nie zdradziłbym sekretu tej kryjówki, choć wiedziałem, że mogę ci ufać. Teraz wiecie o nim wszyscy, ponieważ jedyna droga ucieczki z miasta prowadzi przez celę, w której spoczywa. Ufam, że mogę powierzyć wam ten sekret, choć i tak zapewniam, że żadne z was nie wróci do Morbus, dopóki żyję a ciało Vor Daja leży w tej celi.

Sytor podszedł do stołu, na którym leżało ciało i przyjrzał mu się dość uważnie. Zauważyłem, jak pokiwał głową i uśmiechnął się przelotnie, spoglądając w moim kierunku. Zastanawiałem się, czy domyślał się prawdy, ale dopóki milczał, nie miało to żadnego znaczenia. Nie chciałem, żeby Janai dowiedziała się, że umysł Vor Daja zamieszkiwał szkaradny czerep Tor-dur-bara. Naiwnie sądziłem chyba, że wiedząc o tym, nie zdołałaby nigdy zapomnieć, nawet gdybym odzyskał własne ciało. Kiedy wyjaśniłem jej, dlaczego nie opowiedziałem jej o tej pozornej tragedii, jaka spotkała Vor Daja, przez parę chwil sprawiała wrażenie pogrążonej w zadumie, ale po chwili odwróciła się znowu do mnie i przemówiła uprzejmym tonem.

– Przepraszam, że zwątpiłam w ciebie Tor-dur-barze. Postąpiłeś dobrze, nie zdradzając nikomu, gdzie ukryto ciało Vor Daja. To oznaka zapobiegawczości i wielkiej wierności z twojej strony.

19.

NOCNA UCIECZKA

Z uczuciem ulgi przeprowadziłem moją niewielką drużynę przez długi tunel na skalistą wysepkę położoną niedaleko Morbus. To, jak mieliśmy się z niej wydostać, było kwestią przyszłości. Oczywiście, w moich myślach stale obecna była nadzieja, że John Carter powróci z Helium na czele floty, aby mnie ratować, ale kryło się za nią widmo lęku zrodzonego z wątpliwości, czy Ras Thavasowi i jemu udało się pokonać wstrętne pustkowia bagien i dotrzeć do statku powietrznego ukrytego w okolicach Phundahl.

Na wyspie żyły ptaki i gryzonie, rosły też drzewa i krzewy rodzące orzechy i jagody. Wszystko to, razem z rybami, które udawało nam się złowić, dostarczało nam dość pożywienia, dzięki czemu nie głodowaliśmy, a nawet jedliśmy do syta. Poleciałem zbudować dla Janai szałas, żeby zapewnić jej trochę prywatności, ale ponieważ pogoda nie była surowa, nasza reszta spała na dworze.

Wyspa była pokryta wzniesieniami i rozbiliśmy obóz w odosobnionym miejscu po stronie oddalonej od miasta, aby ukryć się przed ludzkim wzrokiem. Tam zacząłem budować dwie lekkie łodzie, zdolne do uniesienia trojga z nas i zapasu żywności. Jedna z nich była większa, aby pomieściła ciało Vor Daja, które postanowiłem zabrać z nami na wypadek, gdyby John Carter nie wrócił w rozsądnym terminie i musielibyśmy podjąć próbę groźnej przeprawy przez bagna w kruchych czółnach.

Zauważyłem, że przez cały ten czas Sytor spędzał wiele wolnego czasu z Janai. Był ujmującym człowiekiem i ciekawym towarzyszem rozmów, nie

dziwiło mnie więc, że lubiła jego towarzystwo, ale muszę przyznać, że nieraz czułem piekącą zazdrość. Sytor okazywał również wiele serdeczności Pandarowi; wyglądało więc na to, że nasza niewielka społeczność podzieliła się w naturalny sposób na dwie grupy: w jednej był Pandar, Sytor i Janai, w drugiej – Gan Had, Tun Gan i ja. Nie dochodziło między nami do konfliktów, a podział był z grubsza oczywisty. Gan Had pochodził z Toonol, które było odwiecznym wrogiem Phundahl, stąd niewiele albo wręcz nic nie łączyło z Pandarem. Tun Gana, o ciele czerwonego człowieka i mózgu hormady, i mnie, z ciałem hormady, łączyła wzajemna sympatia, zapewne z tego powodu, że wiedzieliśmy, iż pozostali uważali nas w najskrytszych zakamarkach serca za potwory, pozbawione człowieczeństwa bardziej niż co bardziej prymitywne gatunki zwierząt. Przyznam, że szpetne ciało, w jakim mieszkałem, budzi w człowieku nieodparte poczucie niższości; z kolei uczucia Tun Gana, choć udawał odważnego w ciele zabójcy z Amhor, na pewno w dużym stopniu przypominały moje.

Kiedy ukończyliśmy łódzie, co zajęło nam kilka tygodni nieustannej pracy, wymuszona bezczynność zaczęła nam ciążyć i dochodziło do nieprzyjemnych tarć. Sytor nalegał, żebyśmy natychmiast wyruszyli, ale ja chciałem poczekać jeszcze trochę, wiedząc że jeśli John Carter żył i dotarł do Helium, na pewno wróciłby po mnie. Pandar zgadzał się z Sytorem, ale Gan Had był innego zdania, ponieważ zamierzali dotrzeć do Phundahl, gdzie obawiał się uwięzienia i zniewolenia. W wielu sporach wspierał mnie Tun Gan oraz – ku mojemu wielkiemu zadowoleniu – Janai, kiedy odkryła, że postanowiłem czekać nieco dłużej.

– Nie powinniśmy odpływać – powiedziała – jeśli nie możemy zabrać ze sobą ciała Vor Daja, na co Tor-dur-bar nie pozwoli, dopóki nie upewni się, że nie ma nadziei na ratunek z Helium. Uważam jednak – zwróciła się do mnie – że popełniasz błąd i powinieneś poddać się lepszej ocenie

sytuacji i doświadczeniu Sytora, który jest prawdziwym czerwonym człowiekiem z właściwym mu rozumem.

Sytor był obecny przy tej rozmowie i widziałem, jak obrzucił mnie szybkim spojrzeniem. Ponownie zacząłem zastanawiać się, czy nie nabrał podejrzeń, że moja szpetna głowa skrywała umysł Vor Daja. Miałem nadzieję, że nie podzieli się swoimi przypuszczeniami z Janai.

– Może i Sytor posiada umysł czerwonego człowieka – odparłem – ale używa go tylko we własnym interesie. Mój mózg, choć mniej doskonały, przepaja tylko jedno pragnienie, przewyższające wszelkie inne względy: dobro twoje i Vor Daja. O ile nie zostanę do tego zmuszony, to nie opuszczę tej wyspy do powrotu Johna Cartera, dopóki nie przekonam się, że nie pozostała na to nawet najmniejsza nadzieja. Tobie również nie pozwolę stąd odejść, Janai. Co do pozostałych, mogą odpłynąć, kiedy tylko zechcą, ale obiecałem Vor Dajowi, że będę cię chronił i nie dotrzymałbym słowa, pozwalając ci ruszyć w niebezpieczną drogę przez mokradła w stronę niegościnnego Phundahl, dopóki nie pozostanie nam żadne inne wyjście.

– Sama jestem swoją panią – ucięła gniewnie Janai – i odpłynę stąd, kiedy zechcę. Żaden hormada nie będzie mi rozkazywać.

– Janai ma rację – powiedział Sytor. – Nie masz prawa wtrącać się w nasze plany.

– A jednak to zrobię – odpowiedziałem – i dziewczyna zostanie ze mną, choćbym musiał zatrzymać ją siłą, do czego jak się chyba zgodzisz, jestem zdolny.

Po tej wymianie zdań nie układało się między nami zbyt dobrze, a Janai, Sytor i Pandar zaczęli spędzać ze sobą coraz więcej czasu, rozmawiając często ściszonego tonem, żeby nie można ich było usłyszeć. Uznałem, że po prostu utyskiwali i obsypywali mnie wyzwiskami. Oczywiście, myśl że Janai zwróciła się przeciwko mnie, napawała mnie ogromnym smutkiem i czułem się nieszczęśliwy, ale nie sądziłem, że z ich szemrania wyniknie

cokolwiek poza tym. Miałem niezbitą pewność, że zrealizuję swój plan, który – jak podsuwał rozsądek – był najbezpieczniejszym wyjściem.

Sytor i Pandar znaleźli miejsce na nocleg oddalone od tego, które wybraliśmy z Gan Hadem i Tun Ganem, zupełnie jakby chcieli dać nam do zrozumienia, że nie zamierzali mieć z nami nic wspólnego. Odpowiadało mi to idealnie, ponieważ zacząłem żywić wobec obu podejrzania i darzyć ich szczerą niechęcią.

Pewnego wieczoru, kiedy po dniu spędzonym na łowieniu ryb przygotowywałem się do spoczynku, podszedł do mnie Tun Gan i przysiadł obok.

– Usłyszałem dziś coś, co może cię zainteresować – powiedział. – Drzemałem popołudniu pod krzakiem przy plaży, kiedy zjawili się Sytor z Janai i usiedli obok mojego schronienia. Widocznie rozmawiali o tobie, gdyż usłyszałem, jak Janai powiedziała: „Jestem pewna, że naprawdę jest lojalny w stosunku do mnie i Vor Daja. Szwankuje mu tylko rozum, ale czego można się spodziewać po wynaturzonym mózgu hormady w zdeformowanym ciele?”.

– „Mylisz się pod każdym względem,” odpowiedział Sytor. „Myśli tylko o tym, żeby pojąć cię dla siebie samego. Od dłuższego czasu wiem o czymś, ale zwlekałem z poinformowaniem cię o tym, nie chcąc cię zranić. Vor Daj, którego znałaś, nie ożyje. Jego mózg usunięto i zniszczono, a Tor-dur-bar ukrył ciało i chronił je, czekając na powrót Ras Thavasa, który miał przenieść mózg hormady do czaszki Vor Daja. Miał wtedy pokazać ci się w nowym, pięknym ciele, z nadzieją, że cię zdobędzie. Ale to nie Vor Daj zabiegałby o twoje względy, a hormada ukryty w ciele człowieka”. „Co za okropność!” zawołała Janai. „To nie może być prawda. Skąd to wiesz?”. „Od Ay-mada,” odpowiedział Sytor. „Ciało Vor Daja miało być nagrodą Tor-dur-bara za zasługi, jakie oddał jeddakowi, a żeby upewnić się podwójnie, hormada przekonał Ay-mada, żeby polecił zniszczyć mózg Vor Daja.”

– I co odpowiedziała Janai? – zapytałem. – Chyba mu nie uwierzyła?

– Owszem, uwierzyła – powiedział Tun Gan. – Uznała, że tłumaczyło to wiele rzeczy, których do tej pory nie była w stanie pojąć; teraz zaś zrozumiała, dlaczego będąc hormadą, okazywałaś tak niezwykłą lojalność względem czerwonego człowieka.

Czułem się zniesmaczony, urażony i wściekły, i zastanawiałem się, czy ktoś taki jak Janai, zasługiwał na moją miłość i oddanie. Na pomoc przyszedł mi zaraz zdrowy rozsądek, pomagając zrozumieć, że twierdzenie Sytora na pierwszy rzut oka faktycznie było logicznym wytłumaczeniem mojego zachowania wobec dziewczyny, w rzeczy samej bowiem, dlaczego szkaradny hormada miałby chronić czerwonego człowieka, którego ciało mógł przejąć, zdobywając równocześnie piękną dziewczynę, a przynajmniej zyskując całkiem realne szanse na uwiedzenie jej, jakich nie dawała mu jego obecna szpetna postać.

– Zobaczysz, trzeba będzie uważać na tego szczura – powiedział Tun Gan.

– To nie potrwa długo – stwierdziłem. – Jutro wepchnę mu jego własne słowa do gardła i powiem prawdę, której zapewne się domyśla, choć dla Janai będzie zaskoczeniem.

Tej nocy długo leżałem nie śpiąc i zastanawiając się, jak Janai zareaguje na prawdę, co powie, pomyśli lub zrobi, kiedy powiem, że za moją szkaradną twarzą krył się umysł Vor Daja. W końcu jednak zasnąłem, a ponieważ tak długo nie zasypiałem, następnego rana spałem do późna. Obudził mnie Gan Had. Potrząsnął mną szorstko, a otworzywszy oczy zauważyłem, że był mocno poruszony.

– Co się stało? – zapytałem.

– Sytor! – wyjaśnił. – Zabrali z Pandarem jedną z łodzi i uciekli z Janai.

Poderwałem się na równe nogi i pobiegłem do miejsca, gdzie ukryliśmy łodzie. Jedna zniknęła, ale nie to było najgorsze, ponieważ w dniu drugiej

łodzi uciekinierzy wybili wielką dziurę, która musiała opóźnić o kilka dni nasz pościg.

A zatem taka nagroda spotkała mnie ze moje oddanie, moją miłość i lojalność! Serce się we mnie ścisnęło. Nie dbałem już, czy John Carter miał wrócić po mnie czy nie. Od tej pory moje życie miało być już tylko wypełnioną nieszczęściem pustką. Odwróciłem się od łodzi, niepokieszony. Gan Had położył mi dłoń na ramieniu.

– Nie żałuj – powiedział. – Jeśli odeszła z własnej woli, nie warto jej żałować.

Na te słowa poczułem cień nadziei, dość mocnej, abym uchwycił się jej w rozpacz i ulżył udręce. Jeśli odeszła z własnej woli! A jeśli było inaczej? Może Sytor zabrał ją siłą? To była już jakaś nadzieja i postanowiłem uchwycić się jej kurczowo aż do gorzkiego końca. Zawołałem Tun Gana i cała nasza trójka zabrała się do naprawy uszkodzonej łodzi. Krzątaliśmy się jak wściekli, ale trwało pełne trzy dni, zanim doprowadziliśmy czółno do stanu używalności, ponieważ Sytor zadał sobie sporo trudu przy niszczeniu go.

Domyślałem się, że ponieważ był z nimi Pandar, zamierzali udać się bezpośrednio do Phundahl, gdzie mógł przekonać mieszkańców, aby przyjęto ich jako przyjaciół. Postanowiłem więc płynąć za nimi w tamtym kierunku, bez względu na koszt. Czułem w sobie siłę setki ludzi, moc wystarczającą do pokonania w pojedynkę całej armii i obalenia murów najpotężniejszych miast.

W końcu byliśmy gotowi, żeby wyruszyć, ale przed opuszczeniem wyspy musiałem jeszcze o coś zadbać. Zamaskowałem wejście do tunelu prowadzącego do celi, w której leżało ciało Vor Daja, skałami, trawą i piaskiem.

Sytor zabrał większą łódź, która była o wiele wygodniejsza dla trójki ludzi, ale też cięższa; poza tym, mieli tylko dwóch wioślarzy, podczas gdy w naszym lżejszym czólnie było nas trzech. Czułem więc, że bez względu

na to, iż wyprzedzali nas o trzy dni, zdołamy dogonić ich, zanim dotrą do Phundahl. Moje nadzieje były jednak płonne, ponieważ tylko przypadek mógłby sprawić, byśmy obrali tę samą trasę, co oni, przez labirynt krętych strumieni dzielący nas od celu podróży. Całkiem możliwe było, że minęlibyśmy ich, nie zdając sobie z tego nawet sprawy. Każda grupa mogła wpłynąć na pozornie czyste wody tylko po to, by odkryć, że kończyły się ślepym zaułkiem, co wymagałoby znojnego i długiego powrotu, ponieważ pustkowia Mokradeł Toonol nie są opisane na mapach i były zupełnie nieznanne wszystkim członkom obu grup. Przyzwyczajony do obserwowania krajobrazu z powietrza, nakreśliłem w myślach obraz terenu, nad którym lecieliśmy, kiedy hormadowie nieśli nas do Morbus na grzbietach malago rów; nie miałem żadnych wątpliwości, że Sytor przelatywał nad bagnami wiele razy. Nie miałem jednak zbyt wielu powodów, by wierzyć że zapewni to któremuś z nas przewagę, ponieważ widok z wody przesłaniała stale roślinność pokrywająca jej powierzchnię oraz liczne wyspy, wielkie i małe.

Ruszałem w pościg z ciężkim sercem; przede wszystkim dlatego, że zwątpiłem w lojalność Janai, po drugie zaś – ponieważ musiałem porzucić własne ciało i ruszyć w świat w odrażającej postaci hormady. Fakt, że chciałem gonić Janai, która wysłuchawszy Sytora, zaufała jego słowu przed moim i uciekła ode mnie, tłumaczy tylko to, że byłem w niej zakochany, a miłość zmienia mężczyzn w głupców.

Wyłynęliśmy zaraz po zapadnięciu zmroku, żeby nie zauważono nas z Morbus. Na niebie był tylko Cluros, mniejszy i bardziej oddalony księżyc, ale zapewniał nam dość światła, a gwiazdy wskazywały kierunek. Moja niezwykła siła dawała naszym wiosłom moc co najmniej dwóch dodatkowych ludzi. Postanowiliśmy płynąć dniem i nocą, śpiąc na zmianę na dnie łodzi. Mieliśmy mnóstwo jedzenia, a prędkość, jaką rozwijaliśmy, dawała nadzieję, że uda nam się uniknąć napaści ze strony nieprzyjaznych tubylców, na których mogliśmy się natknąć.

Pierwszego dnia przeleciało nad nami stado malagorów, zmierzających w stronę Phundahl. Zasłaniały nas przed nimi zwisające nad wodą rośliny porastające brzegi wąskiego kanału, którym przepływaliśmy, za to my widzieliśmy je wyraźnie i zauważyliśmy, że każdy ptak niósł na grzbiecie jednego wojownika.

– Kolejna grupa wypadowa – skomentował Gan Had.

– Raczej drużyna poszukiwawcza wysłana za nami przez Ay-mada – powiedziałem. – Na pewno odkrył już, że uciekliśmy z Morbus.

– Ale to było kilka tygodni temu – zauważył Tun Gan.

– Owszem – przyznałem. – Ale nie mam ani krztyny wątpliwości, że przez cały ten czas rozsyłał na wszystkie strony swoich ludzi.

Gan Had skinął głową. – Pewnie masz rację. Miejmy nadzieję, że nie zauważą nas, w przeciwnym razie trafimy do kadzi lub spalarni.

Drugiego dnia, kiedy wpłynęliśmy na sporych rozmiarów jezioro, wypatrzyli nas prymitywni tubylcy, zamieszkujący jego brzegi. Wskoczyli do swoich łodzi i ruszyli, aby odciąć nam drogę. Zaczęliśmy wiosłować ile sił w rękach i nasze czółno pomknęło po powierzchni wody, ale dzicy odbili od brzegu nieco przed nami i zdawało się niemal pewne, że dotrą do nas, zanim zdołamy ich ominąć. Sprawiali wrażenie naprawdę prymitywnych, a kiedy się zbliżali, zauważyłem że byli całkiem nadzy. Nastroszone włosy sterczały im na wszystkie strony, a twarze i ciała mieli pokryte malunkami, dzięki którym wydawali się jeszcze bardziej odpychający niż chciała Natura. Uzbrojeni byli w prymitywne maczugi i włócznie, ale w tym, jaki radzili sobie z długimi kanoe, pędzącymi z zadziwiającą szybkością po wodzie, nie było nic prymitywnego.

– Szybciej! – ponaglałem. Z każdym pociągnięciem wiosła nasze czółno zdawało się wyskakiwać z wody do przodu, jak żywa istota.

Dzicy zaczęli wrzeszczeć w uniesieniu, ponieważ wyglądało na to, że na pewno nas prześcigną, ale lepiej zrobiliby wkładając energię zużytą na dzikie okrzyki w wiosłowanie, ponieważ minęliśmy zaraz płynącą

na czele łódź i zaczęliśmy oddalać się od nich. Ciskali za nami włóczniami i pałkami, ale żaden nie trafił i wkrótce stało się jasne, że uciekliśmy im i nie mogli nas dogonić. Płynęli dalej za nami przez kilka minut, po czym klnąc wściekle zawrócili z ponurymi minami do brzegu. Dobrze się złożyło, ponieważ Gan Had i Tun Gan osiągnęli granice swojej wytrzymałości i padli wyczerpani na dno łodzi w chwili, kiedy tubylcy zaniechali pogoni. Sam nie czułem zmęczenia i wiosłowałem dalej ku końcowi jeziora. Tam wprowadziłem łódź w kręty tor wodny, którym płynęliśmy około dwóch godzin bez dalszych przygód. Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy usłyszeliśmy zbliżający się od przodu łopot wielkich skrzydeł.

– Malagory – stwierdził Tun Gan.

– To tamta grupa poszukiwawcza – zauważył Gan Had. – Ciekawe, czy udało im się na coś trafić.

– Lecą bardzo nisko – powiedziałem. – Podpłynemy do brzegu, pod te krzaki. Nawet wtedy będziemy mieli szczęście, jeśli nas nie zauważą.

Zarośla rosły na brzegu płaskiej, niskiej wyspy, wznoszącej się zaledwie o parę cali nad powierzchnię wody. Malagory przeleciały nisko nad nami, po czym zatoczyły koło z powrotem.

– Będą lądować – powiedział Tun Gan. – Hormadowie nie lubią latać w nocy, ponieważ malagory nie widzą dobrze po zmierzchu, a lecąca nisko Thuria przeraża je i dezorientuje.

Obserwując przelatujące nad nami ptaki, zauważyłem, że trzy z nich niosły podwójny ciężar.

Pozostali również to zobaczyli. Gan Had stwierdził, że wojownicy wieźli ze sobą więźniów.

– Wydaje się, że jeden z nich to kobieta – dodał Tun Gan.

– Może złapali Sytora, Pandara i Janai.

– Lądują na tej wyspie – powiedział Gan Had. – Jeśli zaczekamy do zmroku, uda nam się ich bezpiecznie ominąć.

– Najpierw muszę przekonać się, czy wśród jeńców jest Janai – odparłem.

– Gdyby nas odkryli, oznaczałoby to dla nas wszystkich śmierć – orzekł Tun Gan. – Mamy szansę uciec, a nie pomożemy Janai, dając się złapać.

– Muszę to wiedzieć – oświadczyłem. – Wyjdę na brzeg, żeby to sprawdzić. Jeśli nie wrócę zaraz po zmierzchu, ruszajcie swoją drogą i niech wam szczęście sprzyja.

– A jeśli okaże się, że ona tam jest? – zapytał Gan Had.

– Wrócę po was i wyruszymy od razu do Morbus. Jeśli ją tam zabrają, ja również muszę wrócić.

– Nic nie zdasz – obstawał przy swoim Gan Had. – Poświęcisz tylko na darmo życie nasze i własne. Nie masz prawa tego robić, skoro nie masz żadnych szans na powodzenie. Gdyby istniała choć najmniejsza nadzieja, byłoby zupełnie inaczej, i wołałbym płynąć z tobą, ale ponieważ nie ma żadnej, otwarcie odmawiam. Nie zamierzam tracić życia w szaleńczej misji.

– Jeśli mają Janai – oznajmiłem – wrócę do Morbus, choćbym miał zrobić to sam. Możecie mi towarzyszyć albo zostać tutaj. Decyzja należy do was.

Milczeli, przyglądając się ponurym wzrokiem, jak wyczołgałem się na brzeg w kryjące nas krzaki. Nie myślałem już o nich, zaprzątnięty bez reszty chęcią przekonania się, czy Janai była wśród więźniów wiezionych przez hormadów z powrotem do Morbus. Porastające wyspę niskie krzewy dawały wspaniałą osłonę i czołgałem się między nimi, przeciskając się w kierunku, z którego dobiegały mnie głosy. Przesuwałem się powoli i było już prawie ciemno, kiedy dotarłem w miejsce, skąd mogłem przyjrzeć się całej grupie. Ujrzałem tuzin hormadów i dwóch oficerów. Podpełzłem bliżej i wkrótce zauważyłem leżące na trawie postaci. W najbliższej rozpoznałem natychmiast Sytora. Miał związane dłonie i stopy, a widząc go, wiedziałem od razu, że Janai również musiała zostać złapana. Chciałem

się jednak upewnić, wobec czego przczołgałem się ostrożnie w inną pozycję, skąd widziałem pozostałą dwójkę więźniów. Jednym z nich była Janai.

Nie potrafię opisać uczuć, jakie ogarnęły mnie na widok mojej ukochanej leżącej w pętach na ziemi, schwytanej ponownie przez szkaradne sługi Ay-mada i skazanej na powrót do niego. Była tak blisko, a jednak nie mogłem zdradzić jej, że jestem w pobliżu i szukam sposobu, żeby służyć jej wiernie, jakby nigdy mnie nie opuściła. Leżałem długo, po prostu patrząc na nią, aż wreszcie po zapadnięciu mroku zawróciłem i odczołgałem się ostrożnie. Ponieważ na niebie nie było akurat żadnego z księżyców, wstałem niedługo, nie obawiając się zauważenia i ruszyłem prędkim krokiem w miejsce, gdzie zostawiłem Gan Hada i Tun Gana. Próbowałem znaleźć jakiś sposób, dzięki któremu wrócilibyśmy do Morbus szybciej niż przybyliśmy tutaj, ale wiedziałem, że trudno byłoby nam osiągnąć jeszcze większą prędkość i musiałem ustąpić wobec faktu, że droga powrotna do miasta zajmie nam dwa dni. Co mogło dziać się tymczasem z Janai? Zadrżałem na myśl o jej losie; musiałem zadowolić się refleksją, że nawet jeśli nie uda mi się jej uratować, mogłem przynajmniej ją pomścić. Nie chciałem wcale zmuszać Tun Gana i Gan Hada do powrotu ze mną, ale nie widziałem innego wyjścia. Potrzebowałem ich siły, żeby przyspieszyć podróż powrotną. Nie mogłem nawet zaproponować, że zostawię ich na wyspie. Zajęty tymi myślami, dotarłem do miejsca, gdzie zostawiłem łódź. Zniknęła! Moi towarzysze opuścili mnie, zabierając ze sobą jedyny sposób na powrót do Morbus!

Przez chwilę ogrom nieszczęścia, jakie na mnie spadło, wprowadził mnie w osłupienie, ponieważ wyglądało na to, że wszelkie możliwości pomocy Janai były wykluczone, a w ostatecznym rozrachunku tylko to było dla mnie ważne. Usiadłem na brzegu kanału i ukryłem twarz w dłoniach, próbując – na pozór daremnie – cokolwiek zaplanować. Wymyśliłem i odrzuciłem tuzin szalonych pomysłów, ostatecznie wybierając jedyny,

który zdawał się dawać w ogóle szanse powodzenia. Postanowiłem wrócić do obozu hormadów i poddać się. Znalazłbym się przynajmniej blisko Janai, a po powrocie do Morbus szczęśliwy traf mógł dać mi upragnioną okazję, choć rozsądek podpowiadał, że jedyną nagrodą za moje starania miała być śmierć.

Podniosłem się i ruszyłem śmiałym krokiem z powrotem w stronę obozu, ale zanim jeszcze mnie zauważono, wpadłem na nowy plan. Gdybym wrócił do Morbus jako więzień w pętach, Ay-mad niewątpliwie kazałby zabić mnie, póki byłbym bezradny, bowiem wiedział o mojej olbrzymiej sile i bał się jej. Za to gdyby udało mi się wśliznąć do miasta niepostrzeżenie, mógłbym działać coś więcej; gdybym zaś dotarł tam zanim Janai zostanie oddana Ay-madowi, miałbym tysiącokrotnie większe szanse, żeby uratować ją przed nim. Zacząłem poruszać się ostrożniej, obchodząc obóz dookoła, aż dotarłem do malagorów. Niektóre z ptaków spały z głowami wciśniętymi pod ogromne skrzydła, podczas gdy inne wierciły się niespokojnie. Nie były uwiązane, ponieważ hormadowie wiedzieli, że po zmierzchu nie poderwałyby się z własnej woli do lotu.

Okrażając obóz dalej, podszedłem do stadka od drugiej strony, a ponieważ byłem hormadą, nie wzbudziłem w nich podejrzeń. Podszedłem do pierwszego z brzegu, chwyciłem go za szyję i odprowadziłem po cichu, aż uznawszy, że odszedłem dość daleko od obozu, wskoczyłem mu na grzbiet. Wiedziałem, jak nim kierować, ponieważ obserwowałem uważnie Teeaytan-ova w drodze do Morbus po tym, jak schwytano nas w okolicach Phundahl. Często też rozmawiałem o malagorach z oficerami i hormadami, zdobywając w ten sposób wiedzę potrzebną do panowania nad nimi.

Początkowo ptak wzbraniał się przed startem i próbował stawiać opór, bałem się więc, że hałas przyciągnie czyjąś uwagę w obozie. Istotnie, tak też się zaraz stało, ponieważ usłyszałem, jak czyjś głos spytał: – Co tam się dzieje? Chwilę później ujrzałem w świetle Clurosa trzech zbliżających się hormadów.

Ponownie spróbowałem zmusić malagora do wzbicia się w powietrze, uderzając go gwałtownie piętami. Hormadowie puścili się biegiem w moją stronę. Cały obóz zerwał się na nogi. Ptak, podekscytowany moimi kopniakami i zgiełkiem zbliżających się z tyłu wojowników, zaczął uciekać przed nimi i rozłożywszy ogromne skrzydła załopotał nimi energicznie, po czym wzbiliśmy się w niebo i odlecieliśmy w noc.

Kierując się gwiazdami, obrałem kurs na Morbus. Nie musiałem robić nic poza tym, ponieważ instynkt zwierzęcia, prowadzący je do rodzinnego gniazda, pomagał mu trzymać raz obrany kierunek.

Leciał szybko i pewnie, choć zdenerwował się mocno, kiedy zza horyzontu wyskoczyła Thuria i przemknęła po niebie.

Księżyc, oddalony o niecałe sześć tysięcy mil od powierzchni Barsoom i okrążający planetę w niepełne osiem godzin, przedstawia wspaniały widok, kiedy pędzi po niebie; widok, który istotnie może budzić przerażenie w sercach niższych stworzeń, prowadzących całkowicie dzienny tryb życia. Mój wierzchowiec utrzymał jednak kierunek lotu, choć zszedł bardzo nisko, jakby próbując trzymać się jak najdalej od zdającej się ścigać go wielkiej, ognistej kuli.

Marsjańskie noce! Olśniewający spektakl, który nie przestaje urzekać wyobraźni mieszkańców Barsoom! Jakże blade i smętne muszą wydawać się noce na Ziemi, która posiada tylko jednego satelitę wędrującego w ślimaczym tempie w tak wielkiej odległości od planety, że musi wydawać się nie większy niż taca. Nawet pod wpływem stresu, na widok urzekającego widowiska wspaniałej marsjańskiej nocy przeszywał mnie dreszcz ekscytacji.

Droga do Morbus, która podczas ucieczki pochłonęła dwa dni i noce zmudnego znoju, zajęła mojemu szybkiemu wierzchowcowi kilka godzin. Z pewnym trudem zmusiłem go do lądowania na wyspie, z której wyruszyliśmy dwa dni przedtem, ponieważ ptak chciał lądować w zwykłym

miejscu przed bramą miasta. W końcu jednak udało mi się i z westchnieniem ulgi zsunąłem się z grzbietu opornego stworzenia.

Ptak nie chciał teraz odlecieć, ale zmusiłem go do tego, ponieważ nie mogłem ryzykować, że ktoś zauważy, jak wzbija się z wyspy po wschodzie słońca, i – gdyby opowieści powracających zwiadowców wzbudziły czyjeś podejrzenia – trafi dzięki temu do mojego schronienia.

Przegoniwszy malagora, udałem się prosto do wylotu tunelu prowadzącego do laboratorium i usunąłem dość maskujących go odłamków skalnych, aby wpełznąć do środka. Zanim to zrobiłem, wyrwałem jeszcze z ziemi spory krzak i wcisnąwszy się tyłem do tunelu, wciągnąłem go za sobą w nadziei, że wypełni i zamaskuje otwór. Następnie pobiegłem prosto do celi 3-17.

Z ogromną ulgą przekonałem się, że moje ciało spoczywało nadal w krypcie. Stałem przez chwilę, przyglądając się mu, i – z wyjątkiem Janai – chyba jeszcze nigdy czegoś tak mocno nie pragnąłem. Możliwe, że moja twarz i ciało mają swoje wady, ale w porównaniu z groteskowym monstrem, którym kierował mój umysł, należały do najpiękniejszych rzeczy na świecie. A oto leżały teraz przede mną, równie nieosiągalne, gdyby Ras Thavas nie wrócił, jakby trafiły do spalarni.

Ras Thavas! John Carter! Gdzie byli? Może zginęli w Phundahl, a może zabiły ich Mokradła Toonol? Może padli ofiarą jakiegoś wypadku w drodze powrotnej do Helium, o ile udało im się dotrzeć do statku powietrznego Johna Cartera, ukrytego w okolicach Phundahl? Praktycznie rzecz biorąc, porzuciłem już myśl o ich powrocie, ponieważ minęło dość czasu, aby John Carter zdążył dotrzeć do Helium i wrócić, ale nadzieja nie opuszczała mnie jednak.

WIELKI JED GOOLIE

Wiedziałem, że od tego momentu moje plany zależały od tego, co zastanę w mieście. Miałem nadzieję, że uda mi się dotrzeć niepostrzeżenie do pałacu i ukryć w sali tronowej, dopóki Janai nie stanie przed obliczem Ay-mada. Zamierzałem go wtedy zabić, a gdyby mi się udało, czego byłem pewny, utorować sobie z dziewczyną drogę na wolność. Porażka wydawała się dość prawdopodobna, ale przynajmniej uśmierciłbym najgorszego wroga Janai, a istniała nawet możliwość, że udałoby mi się zdobyć wystarczający posłuch wśród hormadów, wiecznie niezadowolonych ze stojących nad nimi władz, aby obiecać im przejęcie miasta i całej wyspy. Takie przynajmniej były moje marzenia, którym – jak się okazało – niepisane było się ziścić.

W swoich planach nie brałem pod uwagę tworu z sali numer cztery.

Kiedy podeszedłem do ciężkich drzwi na korytarz, odniosłem wrażenie, że usłyszałem za nimi jakieś odgłosy. Uchyliłem je stopniowo z najwyższą ostrożnością. Odgłosy stały się głośniejsze. Nie potrafię ich opisać: był to osobliwy, wzbierający falami dźwięk, niepodobny do żadnego innego, zmieszany z trajkoczącymi niezrozumiale dziwnymi ludzkimi głosami.

Zanim wyrząłem na zewnątrz, domyśliłem się już, co to było. Po wyjściu na korytarz, ujrzałem po prawej stronie skłębioną masę tkanki pełznącą powoli w moim kierunku. Tu i ówdzie wystawały z niej niepowiązane ze sobą elementy ludzkiej anatomii: tu dłoń, tam cała noga, to znów stopa, płuco, serce a gdzieś tam bełkocząca potwornie głowa.

Te ostatnie zaczęły wrzeszczeć na mój widok, a jakaś dłoń próbowała mnie chwycić, ale byłem za daleko. Gdybym przyszedł godzinę później i otworzył te drzwi, cała ta monstrualna masa zalałaby mnie i ciało Vor Daja byłoby stracone na zawsze.

Korytarz po lewej, prowadzący do wejścia na górę, był całkiem pusty. Dotarło do mnie, że twór z sali numer cztery musiał dostać się do podziemi drugim końcem, przez jakiś niestrzeżony otwór poniżej poziomu ulicy. Teraz zaś miał wypełnić ostatecznie wszystkie zakamarki laboratorium i ruszyć w górę rampy na wyższe piętra budynku.

Zastanawiałem się, jak to się miało skończyć? Teoretycznie, o ile nie zostałyby unicestwiony, twór mógł rosnąć i rozprzestrzeniać się przez całą wieczność. Mógł wydostać się z Morbus, pokonać mokradła i pochłonąć miasta, a gdyby nie sforsował ich murów, mógł otoczyć je i odciąć od reszty świata, skazując mieszkańców na powolną śmierć głodową. Mógł rozlać się po dnie martwych mórz aż na tereny uprawne nad wielkimi kanałami Marsa, a wreszcie pokryć całą powierzchnię planety, niszcząc wszelkie inne życie. Potrafiłem wyobrazić sobie, jak rośnie przez całą wieczność, pożerając siebie samego i żywiąc się własnym ciałem. Myśl była odrażająca, ale prawdopodobna. Coś podobnego powiedział mi przecież sam Ras Thavas.

Pobiegłem w stronę rampy, nie spodziewając się zastać tam o tej porze nikogo, ponieważ dyscyplina i czujność straży były znacznie osłabione, kiedy pozostawiło się je pieczy hormadów, jak stało się to po mojej degradacji. Z konsternacją i rozczarowaniem stwierdziłem jednak, że wyższe kondygnacje roily się od wojowników i oficerów. Panowała tam istna panika, do tego stopnia, że nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Oficerowie próbowali zachować coś na kształt ładu i dyscypliny, ale w obliczu panującej grozy, robili to bez większego powodzenia. Z podsłuchanych fragmentów rozmów dowiedziałem się, że twór z sali numer cztery wdarł się do pałacu, zaś Ay-mad z dworem ewakuował się poza mury miasta

do innej części wyspy. Usłyszałem też, że monstrum rozlewało się po ulicach, a hormadowie obawiali się, że odetnie im drogę ucieczki. Ay-mad polecił im zostać i próbować zniszczyć twór, aby zapobiec jego rozprzestrzenianiu się. Niektórzy oficerowie próbowali bez większego przekonania narzucić jakiś porządek, ale w większości chcieli tylko uciec, tak samo jak zwykli wojownicy.

Nagle jeden z tych ostatnich przebił się głosem przez zgiełk i zawołał do swoich towarzyszy:

– Dlaczego mamy zostać tu i zginąć, kiedy Ay-mad uciekł ze swoimi faworytami? Za mną, pozostało jeszcze jedno przejście!

To wystarczyło. Niczym wielka fala, groteskowe monstra zepchnęły oficerów na bok, część zabijając a innych tratując w drodze do wyjścia na jedyną pozostałą drogę ucieczki. Nic nie mogło im się oprzeć i ja również dałem się ponieść w szaleńczym pędzie ku bezpieczeństwu.

Dobrze się złożyło, ponieważ skoro Ay-mad opuścił miasto, Janai z pewnością by tu nie trafiła.

Kiedy znaleźliśmy się na ulicy, ścisk nieco się zmniejszył i szliśmy miarowym krokiem w stronę bramy miejskiej, ale nie zatrzymaliśmy się tam, ponieważ przerażeni hormadowie rozbiegli się po wyspie, próbując uciec jak najdalej od miasta. Zostałem prawie całkiem sam na otwartej przestrzeni przed murami, wykorzystywanej jako lądowisko dla malagorów. Porywacze Janai musieli przywieźć ją tutaj, chciałem więc czekać na nich z nadzieją, że szczęśliwy zbieg okoliczności podsunie mi pomysł, dzięki któremu mógłbym uratować ją z tego miasta koszmarów.

Miałem wrażenie, że jeszcze nigdy nie czekałem tak długo na świt, jak na tym skrawku łąki między bramą Morbus a brzegiem jeziora. Przy bramie zostało kilku oficerów i wojowników, a zwiadowcy zaglądali stale do miasta i donosili o postępach tworu. Myślałem, że mnie nie zauważyli, ale niedługo jeden z oficerów podszedł do mnie.

– Co tu robisz? – zapytał.

– Przysłał mnie Ay-mad – odpowiedziałem.

– Twoja twarz wydaje mi się mocno znajoma – stwierdził oficer. – Jestem pewny, że gdzieś cię już widziałem. Masz w sobie coś podejrzanego.

Wzruszyłem ramionami.

– To, co ci się wydaje, niewiele znaczy. Jestem wysłannikiem Ay-mada i przynoszę rozkazy dla dowódcy oddziału, który wyruszył na poszukiwanie uciekinierów.

– Możliwe – powiedział – mimo to, nadal wydaje mi się, że skądś cię znam.

– Wątpię. Od kiedy wyszedłem z kadzi, mieszkałem w niewielkiej osadzie na krańcu wyspy.

– Może i tak – orzekł. – Teraz to bez znaczenia. Jak brzmi wiadomość dla dowódcy grupy poszukiwawczej?

– Mam też rozkaz dla dowódcy straży przy bramie.

– To ja – powiedział.

– Świetnie! O ile kobieta została schwytana, mam rozkaz zabrać ją na malagora i zawieźć prosto do Ay-mada. Dowódca bramy ma dopilnować, aby nikt mi w tym nie przeszkodził. W przeciwnym razie będzie mi go żal.

– Nikt nie stanie ci na drodze – powiedział. – Nie rozumiem, dlaczego miałoby być inaczej.

– Istnieje taka możliwość, ponieważ jeden z donosicieli powiedział Ay-madowi, że dowódca oddziału poszukiwawczego chce Janai dla siebie – zapewniłem go. – Przez to zamieszanie, niesubordynację i bunt po opuszczeniu miasta, Ay-mad nie jest pewny swojego życia i władzy; obawia się więc, że oficer, dowiedziawszy się, co zaszło w mieście pod jego nieobecność, mógłby skorzystać z okazji, żeby rzucić mu wyzwanie i zatrzymać dziewczynę dla siebie.

– Zajmę się tym – powiedział kapitan.

– Dobrze byłoby chyba nie mówić dowódcy o tym, co wiesz – zasugerowałem. – Ukryję się w bramie miasta, żeby mnie nie zobaczył, a ty przyślesz mi dziewczynę i malagora, odwracając jego uwagę rozmową. Kiedy odleczę, możesz mu o wszystkim powiedzieć.

– Dobry pomysł – stwierdził. – Nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz.

– Z pewnością stwierdzisz, że nie pomyliłeś się w tej ocenie – odpowiedziałem.

– Spójrz! – rzucił. – Chyba właśnie nadlatują.

Rzeczywiście, wysoko i daleko na niebie pojawiła się grupka kropek, które rosły, zmieniając się wreszcie w jedenaście malagorów niosących więźniów i wojowników.

Kiedy zbliżyli się do wyspy i zaczęli podchodzić do lądowania, wszedłem do bramy, gdzie nie mogli mnie zauważyć i rozpoznać. Dowódca straży podszedł do dowódcy powracającej drużyny i pozdrowił go. Rozmawiali krótko przez kilka chwil, po czym zobaczyłem idącą w stronę bramy Janai. Zaraz po niej przyszedł jakiś wojownik, prowadząc sporego malagora. Przyjrzałem mu się uważnie, kiedy się zbliżał, ale nie rozpoznałem go, byłem więc pewny, że mnie nie znał. Tymczasem Janai weszła do bramy i stanęła twarzą w twarz ze mną.

– Tor-dur-bar! – zawołała.

– Cicho! – szepnąłem. – Grozi ci wielkie niebezpieczeństwo. Może uda mi się cię uratować, o ile tylko zaufasz mi tym razem, ponieważ najwyraźniej nie wierzyłaś mi w przeszłości.

– Nie wiedziałam już komu wierzyć – powiedziała – ale tobie ufałam bardziej niż komukolwiek innemu.

Wojownik prowadzący malagora dotarł do bramy. Podsadziłem Janai na grzbiet wielkiego ptaka i zająłem miejsce za nią, po czym wystartowaliśmy. Obrąłem kurs na wschodni kraniec wyspy, udając, że zabieram dziewczynę do Ay-mada, ale ledwie przelecieliśmy nad jakimiś

niskimi wzgórzami i zniknęliśmy wojownikom z oczu, zawróciłem wokół południowego brzegu wyspy i skierowałem naszego wierzchowca na Phundahl.

Kiedy zaczęliśmy oddalać się od wyspy, malagor stał się niemal nie do opanowania, próbując wrócić do swoich towarzyszy. Walczyłem z nim, starając się narzucić mu swoją wolę. Wysilek po długiej podróży zmęczył ptaka tak szybko, że ostatecznie poddał się i bił posępnie skrzydłami, lecąc z wolna w obranym przeze mnie kierunku. Dopiero teraz mogłem porozmawiać z Janai.

– Skąd wzięłeś się przy bramie, kiedy przyleciałam? – zapytała. – I jak to się stało, że to ciebie Ay-mad po mnie posłał?

– Ay-mad nic o tym nie wie – odpowiedziałem. – To tylko bajeczka, którą wymyśliłem, żeby wprowadzić w błąd dowódcę straży i oddziału, który cię ujął.

– Ale skąd mogłeś wiedzieć, że mnie złapano i że dzisiaj zabrali mnie z powrotem do Morbus? To wszystko bardzo dziwne i zaskakujące; nie rozumiem tego.

– Nie słyszałaś, że zeszłej nocy z waszego obozu skradziono malagora? – zapytałem.

– To byłeś ty? – zawołała. – Skąd się tam wzięłeś?

– Ruszyłem na poszukiwanie ciebie i znalazłem się w pobliżu wyspy, kiedy lądowaliście.

– Rozumiem – powiedziała. – Jesteś naprawdę sprytny i odważny.

– Gdybyś ufała mi i wierzyła we mnie, moglibyśmy wtedy uciec, ale nie byłbym raczej aż takim głupcem jak Sytor, żeby pozwolić znów się złapać.

– Ufałam ci i wierzyłam bardziej niż komukolwiek innemu – powiedziała.

– Dlaczego więc uciekłaś z Sytorem?

– Nie uciekłam z nim. Próbował mnie przekonać, opowiadając o tobie wiele historii, w które nie chciałam wierzyć. Ostatecznie, powiedziałam

mu, że nie popłynę z nim, ale przyszedł w nocy z Pandarem i zabrali mnie siłą.

– Cieszę się, że nie odeszłaś z własnej woli – stwierdziłem. Na samą myśl o tym, poczułem się lepiej i pokochałem ją jeszcze mocniej niż przedtem, choć niewiele było z tego pożytku, dopóki zamieszkiwałem to szkaradne truchło o twarzy nieludzkiego monstrum.

– A co z Vor Dajem? – zapytała po pewnym czasie.

– Musimy zostawić jego ciało tam, gdzie jest, do powrotu Ras Thavasa. Nie ma innego wyjścia.

– A jeśli Ras Thavas nigdy nie wróci? – zapytała drżącym głosem.

– Wtedy Vor Daj zostanie w podziemiach Morbus na wieczność.

– To straszne – westchnęła. – Taki przystojny, wspaniały wojownik.

– Miałaś o nim dobre zdanie? – zapytałem i zawstydziłem się zaraz, że w tak nieuczciwy sposób wykorzystywałem sytuację.

– Owszem, dobre – odpowiedziała rzeczowym tonem, niezbyt emocjonującym ani zachęcającym. Podobnie mogłaby wypowiadać się o thoacie czy calocie.

Popołudniu zauważyłem, że malagor doszedł już prawie do kresu wytrzymałości. Zaczął schodzić coraz niżej ku mokradłom, aż wreszcie osiadł na powierzchni jednej z największych widocznych wysp. Wyglądała bardzo kusząco: ze wzgórzami, dolinami, lasami i małym strumieniem, który schodził krętym nurtem do jeziora, stanowiła naprawdę niezwykły widok na Barsoom. Kiedy ptak wylądował, padł na bok, zrzucając nas na ziemię. Leżał, drżąc i dysząc ciężko; uznałem, że za chwilę zdechnie.

– Biedaczysko! – powiedziała Janai. – Od trzech dni niósł podwójny ciężar, nie dostając dość karmy, praktycznie w ogóle nie jedząc.

– No cóż, przynajmniej pomógł nam uciec z Morbus – stwierdziłem. – A jeśli dojdzie do siebie, zabierze nas do Helium.

– Dlaczego akurat tam? – zapytała.

– Ponieważ to jedyny kraj, gdzie na pewno znajdziesz azyl.

– Dlaczego miałoby tak być?

– Ponieważ jesteś przyjaciółką Vor Daja, a John Carter dopilnuje, aby każdy jego przyjaciel został tam dobrze przyjęty.

– A co z tobą? – zapytała. Najwyraźniej wzdrygnąłem się zauważalnie na myśl o powrocie do Helium w szkaradnej postaci hormady, ponieważ dodała zaraz: – Ciebie z pewnością również czeka ciepłe przyjęcie, ostatecznie twoje zasługi są o wiele większe od moich. – Rozmyślała przez chwilę w milczeniu, po czym zapytała: – Czy wiesz, co się stało z mózgiem Vor Daja? Sytor mówił mi, że uległ zniszczeniu.

Chciałem powiedzieć jej prawdę, ale nie mogłem się na to zdobyć, wykrztusiłem więc tylko:

– Nie zniszczono go. Ras Thavas wie, gdzie jest, a jeśli go kiedyś znajdę, oddam go Vor Dajowi.

– Nie wydaje się prawdopodobne, abyśmy odnaleźli jeszcze kiedyś Ras Thavasa – stwierdziła ze smutkiem.

Byłem podobnego zdania, ale nie chciałem porzucić nadziei. John Carter na pewno żył, tak samo jak Ras Thavas! I pewnego dnia bez wątpienia uda mi się ich znaleźć.

Ale co z moim ciałem, spoczywającym pod laboratorium w Morbus? A jeśli twór z sali numer cztery dostał się do celi 3-17? Na samą myśl o tym zrobiło mi się słabo; a rzecz nie była przecież niemożliwa. Gdyby bezkształtna masa wypełniła cały budynek i korytarz, można było sobie wyobrazić, że ogromny napór wyważy nawet masywne drzwi celi, po czym moje ciało zostałoby pożarte przez koszarne głowy tworu; gdyby zaś monstrum wydostało się z wyspy i rozlało po bagnach, mojego ciała nie można by odzyskać, nawet gdyby pozostało nietknięte.

Sytuacja nie wyglądała zbyt ciekawie i poczułem się przygnębiony, ale moje myśli sprowadził nagle na inne tory głośny okrzyk Janai.

– Patrz, Tor-dur-barze!

Odwróciłem się w kierunku, który wskazywała i ujrzałem grupę dziwnych stworzeń zmierzających w naszą stronę wielkimi skokami i susami. Widać było, że należały do jakiegoś rodzaju istot ludzkich, ale miały w sobie pewne cechy, które odróżniały je od wszystkich innych marsjańskich stworzeń. Miały potężne, długie nogi o stale ugiętych kolanach, z wyjątkiem chwil zaraz po skoku, oraz długie i silne ogony. Poza tym budową przypominały człowieka. Kiedy znalazły się bliżej, zauważyłem, że nie miały na sobie nic poza prostą uprzęzą, w której wisiał krótki miecz i sztylet. Oprócz tego, każdy niósł w prawej dłoni włócznie. Otoczyli nas zaraz, trzymając się w pewnej odległości, przykucnięci na ugiętych kolanach i wsparci na szerokich, płaskich stopach i ogonach.

– Kim jesteście i co tu robicie? – zapytał jeden z nich. Zaskoczył mnie fakt, że byli obdarzeni mową.

– Przelatywaliśmy nad waszą wyspą – odpowiedziałem – kiedy nasz malagor zmęczył się i musiał lądować, żeby odpocząć. Kiedy tylko będzie to możliwe, ruszymy dalej swoją drogą.

Pokręcił głową.

– Nigdy stąd nie odejdziecie – oznajmił. Przyjrzał mi się uważnie. – Czym jesteś? – zapytał.

– Człowiekiem – powiedziałem, nieco na wyrost.

Potrząsnął głową.

– A to? – zapytał, wskazując Janai.

– Kobieta.

Ponownie potrząsnął głową.

– Tylko częściowo – stwierdził. – Nie ma gdzie trzymać młodych ani zapewniać im ciepła. Gdyby nawet jakieś urodziła, umarłyby zaraz po wykluciu.

No cóż, był to temat, w który wolałem się nie zagłębiać, zachowałem więc milczenie.

Janai wyglądała na lekko rozbawioną, ponieważ oprócz wszystkich innych cech, wyglądała bardzo kobieco.

– Co chcecie z nami zrobić? – zapytałem.

– Zabierzemy was do jeda, a on zadecyduje. Może zostawi was przy życiu i pozwoli pracować, a może zabije. Jesteś okropnie brzydki, ale wyglądasz na silnego; byłbyś pewnie dobrym robotnikiem. Kobieta, o ile można ją tak nazwać, wygląda na bezużyteczną.

Nie wiedziałem, co robić. Otaczało nas pół setki wojowników, prymitywnie, ale dobrze uzbrojonych. Dysponując moją niesamowitą siłą, wielu zdołałbym pewnie uśmiercić, ale w końcu pokonaliby mnie na pewno i zabili. Lepiej było udać się z nimi do ich jeda i czekać na lepszą sposobność do ucieczki.

– Bardzo dobrze – powiedziałem. – Pójdziemy z wami.

– Oczywiście, że pójdziecie – usłyszałem w odpowiedzi. – Co innego moglibyście zrobić?

– Mógłbym walczyć.

– Ho, ho, walczyć, co? No, skoro tak się sprawy mają, to jed chyba coś dla ciebie znajdzie. Chodźcie z nami.

Poprowadzili nas wzdłuż strumienia i w górę niewielkiego wzniesienia, skąd ujrzeliśmy las, na skraju którego stała wioska złożona z pokrytych słomą szałasów.

– Oto Gooli, największe miasto na świecie – powiedział dowódca oddziału, wskazując ręką. – To tu mieszka w zachwycającym pałacu wielki Anatok, jed Gooli i całej wyspy Ompt.

Kiedy zbliżaliśmy się do wioski, na spotkanie wyszło nam kilkuset ludzi, mężczyzn, kobiet i dzieci. Przyjrzawszy im się bliżej, zrozumiałem dlaczego dowodzący oddziałem nie uznał Janai w pełni za kobietę. Goolianie z wyspy Ompt są jajorodnymi torbaczkami. Ich samice składają jaja, które noszą w torbie umieszczonej w dolnej części brzucha. Tam też wykluwają się młode, które następnie pozostają w torbie, dopóki nie

nabiorą samodzielności. Widok małych główek wystających z kieszeni na brzuchach matek i śledzących nas zdziwionym wzrokiem był całkiem zabawny. Do tej pory sądziłem, że na Barsoom mieszkał tylko jeden gatunek torbaczy, na dodatek podobnych do gadów; zatem te z pozoru człekokształtne istoty, noszące swoje młode w kieszeniach, wywarły na mnie naprawdę niezwykle wrażenie.

Stworzenia, które wyszły nam na spotkanie z wioski, obeszły się z nami dość szorstko, ciągnąc nas i szarpiąc na wszystkie strony, kiedy próbowały przyjrzeć się nam uważniej. Górowałem nad nimi wzrostem i trochę się mnie bały, ale zdążyły solidnie sponiewierać Janai, aż interweniowałem, odpychając kilku na tyle mocno, że przewrócili się. Dwóch czy trzech sięgnęło na to po broń i ruszyło w moją stronę, ale grupa, która nas pojmała, pełniła teraz funkcję straży i obroniła nas przed tym atakiem. Od tej pory trzymali tłum na dystans, a po krótkim czasie wprowadzono nas do wioski i pokierowano do o wiele większego od pozostałych szałasu. Uznałem, że to właśnie musiała być wspañiała siedziba Anatoka. Moje przypuszczenia potwierdziły się i wkrótce z wnętrza chaty wyłonił się sam jed w otoczeniu kilku mężczyzn, kobiet i czeready dzieci. Kobiety okazały się jego żonami i ich służbą, mężczyźni zaś – doradcami.

Anatok sprawiał wrażenie zainteresowanego nami i zadawał wiele pytań o to, jak nas schwytano. Następnie spytał, skąd pochodzimy.

– Przylecieliśmy z Morbus – powiedziałem – a zmierzamy do Helium.

– Morbus, Helium – powtórzył. – Nigdy o nich nie słyszałem. Na pewno zwykłe wioski, zamieszkane przez dzikusów. Co za szczęście, że mieszkamy w tak wspañiałym mieście, jak Gooli. Nie sądzisz? – zwrócił się do mnie.

– Uważam, że byłbyś tu o wiele szczęśliwszy niż w Morbus i o wiele spokojniejszy niż w Helium – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Nasze kraje – ciągnąłem – nigdy nie wyrządziły wam krzywdy. Nie prowadzimy wojny, powinieneś więc pozwolić nam odejść w pokoju

własną drogą.

Słyszając to, roześmiał się.

– Co za prostacy mieszkają w tych wioskach! – zawołał. – Jesteście moimi niewolnikami. Kiedy przestaniecie być mi potrzebni, zginiecie. Nie myślisz chyba, że dopuścimy, aby jacyś obcy odeszli z Ompt, żeby sprowadzić na nasze miasto wrogów, zniszczyć je i ukraść nasz skarb?

– Nasz lud nigdy by was nie niepokoił – powiedziałem. – Nasz kraj jest zbyt daleko stąd. Gdyby ktoś z twoich ludzi kiedyś tam trafił, na pewno zostałby dobrze potraktowany. Walczymy tylko z naszymi wrogami.

– To mi przypomina, że zgodnie z własnymi słowami ten człowiek jest naszym wrogiem – zauważył dowódca grupy, która nas schwytała. – Twierdził, że chce z nami walczyć.

– Coś takiego! – zawołał Anatok. – Skoro tak, to spełnimy jego życzenie! Nic nie sprawia nam takiej radości, jak dobra walka. Jaką broń wybierasz?

– Każdą, na jaką zdecyduje się mój przeciwnik – odpowiedziałem.

21.

POJEDYNEK NA ŚMIERĆ I ŻYCIE

Okazało się wkrótce, że walka była dla Goolian czymś bardzo ważnym. Wódz naradzał się długo ze swoimi doradcami, ustalając jakiego przeciwnika dla mnie wybrać. Roztrząsano zalety paru wojowników, oceniając i porównując nawet ich przodków aż do piątego i szóstego pokolenia. Zachowywali przy tym tak uroczystą powagę, jakby była to sprawa wagi państwowej. Naradę przerywały często uwagi i sugestie pozostałych członków plemienia; w końcu jednak zdecydowali się na krzepkiego, młodego osiłka, który przejęty swoją ważnością wdał się w długą i napuszoną mowę, wyliczając mnogie zalety własne i jego przodków, deprecjonując mnie przy tym i przechwalając się, jak szybko sobie ze mną poradzi. Wreszcie zakończył tyradę, wybierając miecze, którymi mieliśmy walczyć; a wtedy Anatok zwrócił się do mnie z pytaniem, czy chciałem coś powiedzieć. Wyglądało na to, że wygłoszenie przemowy było częścią poprzedzającej pojedynek ceremonii.

– Mam tylko jedno pytanie – powiedziałem.

– Jakie? – chciał wiedzieć.

– Co zyskam, jeśli pokonam waszego wojownika?

Przez chwilę Anatok wydawał się zmieszany.

– Ta możliwość nie przyszła mi do głowy – stwierdził w końcu – choć to oczywiście nieważne, ponieważ nie wygrasz.

– Mogłoby się jednak zdarzyć inaczej – obstawałem przy swoim. – A gdyby tak się stało, jaka będzie moja nagroda? Czy zwrócisz wolność

mi i mojej towarzysze?

Roześmiał się.

– Oczywiście – powiedział. – Mogę spokojnie obiecać ci o cokolwiek poprosisz, ponieważ kiedy walka się skończy, będziesz martwy.

– Doskonale – stwierdziłem. – Nie zapomnij o swojej obietnicy.

– Czy to wszystko, co masz do powiedzenia? – zapytał. – Nie chcesz opowiedzieć, jak wspaniale władasz bronią, ilu ludzi zabiłeś i jakim jesteś wojownikiem? A może do niczego się nie nadajesz?

– O tym zdecydować mogą tylko ostrza mieczy – odparłem. – Mój przeciwnik miał wiele do powiedzenia i pewnie mógłby mówić bez końca, nie utoczywszy ani kropli krwi i nie zraniwszy mnie w żaden sposób. Nie udało mu się nawet mnie wystraszyć, ponieważ słyszałem już wielu podobnych do niego, a zwykle ci, którzy chwala się najgłośniejszymi, mają do tego najmniejszy powód.

– Od razu widać, że nic nie wiesz o naszych wojownikach – stwierdził Anatok. – Nasz lud jest najdzielniejszy na świecie, a nasi wojownicy najlepiej władają bronią. To dzięki temu jesteśmy najpotężniejszym narodem, o czym świadczy fakt, że zbudowaliśmy to przytłaczające swoim przepychem miasto i chronimy je od pokoleń, a przez cały ten czas nasze ogromne skarby pozostały nietknięte.

Rozejrzałem się po nędznej wiosce z trzciny i zaniepokoiło mnie, gdzie Anatok mógł ukrywać ów wielki skarb, i z czego ten się składał. Może była to większa sterta drogich kamieni i szlachetnych metali?

– Nie dostrzegam żadnych dowodów bogactwa ani skarbów – oznajmiłem. – Może to też zwykłe przechwałki.

Anatok rozsierdził się na moje słowa.

– Odrażający dzikusie! – wrzasnął. – Śmiesz wątpić w moje słowa? Co ty możesz wiedzieć o skarbach? Twoje oczy pewnie nigdy nie oglądały czegoś, co mogłoby się równać z bogactwami Gooli.

– Pokaż mu skarb, zanim zginie – zawołał jakiś wojownik. – Zrozumie, dlaczego musimy być tak dzielni i bitni, żeby chronić go i nie dać go sobie odebrać.

– Niezła myśl – stwierdził Anatok. – Niech przekona się na własne oczy, że nasze bogactwo to nie czcze przechwałki, tak samo jak nasza odwaga i wprawa we władaniu mieczem. Chodź, człowieku, zobaczysz nasz skarb.

Poprowadził mnie do swojego pałacu. Poszedłem za nim, otoczony dwoma tuzinami tłoczących się wokół wojowników. Szalas okazał się pusty w środku, jeśli nie liczyć rozrzuconej pod ścianami suchej trawy i liści, które najwyraźniej służyły za posłania, jakiejś broni, paru prymitywnych przyborów do gotowania i sporej skrzyni stojącej dokładnie na środku chaty. Anatok zaprowadził mnie do skrzyni i zamaszystym gestem uniósł pokrywę, wskazując zawartość, jakby chciał powiedzieć, że teraz nie pozostało mi już nic do odkrycia na świecie, ponieważ widziałem już wszystko.

– Oto skarb Gooli! – powiedział głośno.

Skrzynia była wypełniona mniej więcej w trzech czwartych muszlami. Anatok z resztą obecnych przyglądali mi się uważnie, odnotowując moją reakcję.

– I gdzie ten skarb? – zapytałem. – Nie widzę tu nic poza muszlami.

Anatok zadrżał z tłumionego gniewu.

– Nieszczęsny, ciemny dzikusie! Mogłem się domyślić, że nie zdołasz docenić prawdziwej wartości i piękna naszego skarbu. Dalej, do walki! Im prędzej zginiesz, tym lepiej dla świata. Nie znosimy ignorancji i głupoty, ponieważ nasz lud jest najmądrzejszy i najbardziej inteligentny na całym świecie.

– Dalej – powiedziałem. – Im szybciej z tym skończymy, tym lepiej.

Wyglądało na to, że przygotowanie do pojedynku wymagało całej ceremonii. Najpierw ustawiła się procesja, na czele której miejsce zajęli Anatok i jego doradcy. Dalej szedł mój przeciwnik, a za nim straż

honorowa złożona z mniej więcej dziesięciu wojowników. Za nimi kroczyłem ja, i byłbym zapewne sam, gdyby nie to, że wziąłem ze sobą Janai, czemu nikt się nie sprzeciwił. Za nami szła reszta plemienia, w tym wojownicy, kobiety i dzieci. Pochód był naprawdę niezwykły już choćby ze względu na to, że uczestniczyli w nim wszyscy mieszkańcy wioski, wobec czego nie miał żadnej widowni. Okrążyliśmy pałac, po czym przemaszerowaliśmy główną ulicą i opuściliśmy wioskę. Tubylcy utworzyli krąg wokół mnie, mojego przeciwnika i jego straży honorowej. Na znak Anatoka sięgnąłem po miecz; to samo zrobił mój oponent, a z nim – dziesięciu wojowników. Zaczęliśmy zbliżać się do siebie.

Odwróciłem się do Anatoka.

– Co robią ci pozostali? – zapytałem.

– To pomocnicy Zukiego – odparł.

– Mam walczyć z nimi wszystkimi?

– Ależ skąd! – odparł. – Masz bić się z Zukim; pomogą mu tylko, jeśli będzie miał kłopoty.

A zatem naprawdę miałem pojedynkować się z całą jedenastką!

– Walcz, tchórze! – zawołał Anatok. – Chcemy zobaczyć, jak się bijesz!

Odwróciłem się znów w stronę Zukiego i jego asysty. Bardzo, bardzo powoli przesuwali się w moją stronę, wykrzywając przy tym twarze, jakby próbowali mnie wystraszyć. Cała sytuacja wydała mi się tak niedorzeczna, że musiałem się roześmiać; choć wiedziałem, że moje położenie nie było wcale do śmiechu, ponieważ ich przewaga liczebna przemawiała mocno na moją niekorzyść, nawet gdyby okazali się gorzej władać bronią.

Moja twarz była doprawdy odrażająca, a teraz ułożyłem ją nagle w potworny grymas i skoczyłem w ich stronę z dzikim krzykiem na ustach. Reakcja przeciwników była zadziwiająca. Zuki jako pierwszy odwrócił się i uciekł, wpadając na swoich towarzyszy, którzy również próbowali umknąć przed moim atakiem. Nie ścigałem ich, a kiedy zdali sobie z tego sprawę, zatrzymali się i ponownie odwrócili w moją stronę.

– Czy to przykład waszej odwagi, którą tak się szycicie? – zapytałem Anatoka.

– Ujrzałeś właśnie wspaniały manewr strategiczny, choć jesteś zbyt wielkim ignorantem, by go właściwie docenić – odparł.

Ponownie ruszyli w moją stronę, nadal przesuając się bardzo powoli; tym razem, poza strojeniem groźnych min, zdobyli się też na swoisty okrzyk wojenny.

Miałem już rzucić się na nich, kiedy jakaś kobieta krzyknęła głośno, wskazując w głąb doliny. Odwróciłem się wraz z resztą, żeby sprawdzić, co przyciągnęło jej uwagę. Ujrzałem około pół tuzina dzikich ludzi, podobnych do tych, którzy zaatakowali naszą łódź, kiedy z Gan Hadem i Tun Ganem ścigałem Sytora i Janai. Na ich widok wieśniacy zaczęli głośno zawodzić. Kobiety, dzieci i wszyscy poza garstką wojowników pobiegli w stronę lasu. Nie byłem w stanie stwierdzić, czy ci, którzy pozostali, zrobili to pod wpływem paralizującego strachu czy też przez nagły przypływ odwagi. Zukiego, mojego niedawnego przeciwnika, nie było wśród nich. Pędził łeb w łeb z Anatokiem, wyprzedzając wszystkich w drodze do lasu.

– Kto to? – zapytałem stojącego w pobliżu wojownika.

– Ludożercy – odpowiedział. – Po ich ostatnim najeździe zostaliśmy wybrani na ofiarę, kiedy znowu się tu pojawiają.

– Ofiarę? – zapytałem. – Co przez to rozumiesz?

– Ano, ofiarę – odparł. – Jeśli nie oddamy im dobrowolnie pięciu wojowników, zaatakują i spalą wioskę, zabiorą nasz skarb, uprowadzą kobiety i zabiją wszystkich, których znajdą. Tak jest prościej, choć to niełatwe dla wybranych. Ale nie mamy innego wyjścia niż okazać im posłuszeństwo, w przeciwnym razie nasze własne plemię uśmierciłoby nas na torturach.

– Ale dlaczego im ulegacie? – dopytywałem. – Jest ich tylko sześciu, tyle samo, co nas. Walczmy! Szanse są przecież równe.

Obrzucił mnie zaskoczonym spojrzeniem.

– Ależ my nigdy nie walczymy – powiedział – chyba że mamy dziesięciokrotną przewagę nad przeciwnikiem. To nie byłaby dobra strategia.

– Zapomnij o waszej strategii! Walczcie ze mną przeciwko nim!

– Myślisz, że to możliwe? – zapytał któryś z pozostałych.

– Nikt tego jeszcze nie próbował – usłyszał w odpowiedzi.

– To nie powód, aby nie spróbować teraz – uciąłem. – O ile choć trochę mi pomożecie, możemy zabić ich wszystkich.

– Dajcie mi miecz – wtrąciła się Janai – a też będę walczyć.

– Spróbujmy – powiedział jeden z Goolian.

– Dlaczego nie? – stwierdził inny. – I tak zginiemy.

Dzicy ludzie zbliżali się coraz bardziej – byli już całkiem blisko. Śmiali się i rozmawiali między sobą, rzucając pogardliwe spojrzenia w stronę Goolian.

– No, dalej! – rzucił jeden z nich. – Rzućcie broń i chodźcie z nami.

W odpowiedzi skoczyłem do przodu i rozłupałem go jednym ciosem od czubka głowy po mostek. Pięciu Goolian ruszyło powoli przed siebie. Nie mieli serca do walki, ale kiedy zobaczyli skuteczność mojego ciosu, poczuli się pewniej; równocześnie, dzicy ludzie sprawiali wrażenie zbitych z tropu. Nie zatrzymując się przy powalonym kanibalu, natarłem na pozostałych. Co prawda, próbowali stawiać opór, ale moja siła i długie ramię dawały mi niemożliwą do pokonania przewagę, wobec czego trzech dzikusów wkrótce poległo, a pozostała trójka zaczęła uciekać ile sił w nogach.

Na widok cofającego się wroga, co zapewne nieczęsto zdarzało im się oglądać, Goolianie nabrali diabelskiej odwagi i rzucili się w pogoń. Z łatwością mogliby prześcignąć ludożerców, ponieważ poruszali się wielkimi susami pokonując jednym skokiem dwadzieścia stóp, ale pozwolili im zniknąć za krawędzią płaskowyżu, po czym zawrócili w moją

stronę, wypinając dumnie piersi i promieniując zadowoleniem z własnych dokonań.

Najwyraźniej ukrywający się w lesie widzieli całe zajście, ponieważ reszta plemienia wyszła spomiędzy drzew, kierując się z ociąganiem w naszą stronę. Anatok wyglądał na lekko zawstydzonego, ale jego pierwsze słowa przeczyły nietęgiej minie:

– Teraz widzisz, ile jest warta nasza strategia! – powiedział. – Udając ucieczkę, zwabiliśmy ich w pułapkę i zniszczyliśmy.

– Nikogo nie oszukasz – odpowiedziałem. – Ani mnie, ani siebie. Tchorze i chwalipięty – oto czym jesteście! Ocaliłem pięciu ludzi, których chcieliście oddać jako trybut, nie próbując ich nawet bronić. Pozwoliłeś, aby sześciu dzikusów przegoniło ciebie i wszystkich twoich wojowników. Sam jeden mógłbym pokonać was wszystkich i dobrze o tym wiesz. A teraz żądam, abyś nagroził mnie za moje zasługi, pozwalając mi i mojej towarzysze pozostać tutaj, dopóki nie zaplanujemy reszty naszej podróży. Jeśli odmówisz, pierwszy zakosztujesz mojego miecza.

– Nie musisz mi grozić – powiedział, drżąc. – I tak zamierzałem zwrócić wam wolność w nagrodę za twoje dokonania. Możecie zostać z nami i wędrować swobodnie. Zostańcie, jak długo chcecie, o ile będziesz walczył z naszymi wrogami, kiedy się tu zjawią.

22.

DO PHUNDAHL!

Następnego dnia udaliśmy się z Janai na poszukiwania naszego malagora, żeby przekonać się, czy odzyskał siły. Po ptaku nie został jednak nawet ślad, uznałem więc, że odleciał lub schwytali go dzicy ludzie, którzy jak twierdził Anatok przyplýwali tu z innej, położonej w pewnej odległości wyspy.

Zabrałem się od razu za budowanie łodzi, w czym pomagali mi trochę Goolianie, choć byli niewymownie leniwi i łatwo się męczyli. Okazali się niewątpliwie najbardziej bezużyteczną rasą ludzi, na jaką kiedykolwiek się natknąłem. Praktycznie całą swoją energię trwonili na przechwalanie się, a bardzo mało albo wręcz wcale na prawdziwe działania. Kilka godzin po utarczce z dzikimi ludźmi zaczęli chełpić się swoim wielkim zwycięstwem, przypisując sobie wszelkie zasługi, w czym przodował Anatok, wynosząc pod niebiosa swoją – jak to mówił – cudowną strategię. Wiele jest na świecie podobnych do nich narodów, ale niektóre nie zostały nigdy ujawnione.

Zdążyłem zżyć się z Zukim podczas tygodni spędzonych nad budową łodzi. Odkryłem, że był obdarzony ponadprzeciętną inteligencją i posiadał elementarne poczucie humoru, jak się zdawało, całkowicie obce jego współplemioncom. Pewnego dnia zadałem mu pytanie, dlaczego uważali muszle za tak cenny skarb.

– Anatok musi mieć jakiś skarb, żeby czuć się kimś lepszym – powiedział. – Tak samo było z władcami, którzy byli przed nim, a w

gruncie rzeczy z nami wszystkimi. Dzięki temu czujemy się ogromnie ważni jako posiadacze wielkiego bogactwa, ale będąc ludem ostrożnym wybraliśmy skarb, na który nikt inny by się połasił. W przeciwnym wypadku, wojownicze plemiona mogłyby przybywać tu stale, żeby go nam ukraść. Czasem wydaje mi się to trochę głupie, ale nie odważyłbym się powiedzieć o tym Anatokowi ani nikomu innemu. Całe życie wysłuchiwali, ile warte są nasze ogromne bogactwa, aż uwierzyli w to i nie podają już w wątpliwość, ponieważ nie potrafiliby się na to nawet zdobyć.

– A czy mają podobne odczucia względem własnej tak zachwalanej odwagi i strategii Anatoka?

– To co innego – odparł. – To czysta prawda. Naprawdę jesteśmy najdzielniejszym ludem a Anatok największym strategiem świata.

Cóż, jego poczucie humoru wyczerpało się przy powątpiewaniu w wartość skarbu. Nie mogło znieść napięcia wiążącego się z podważaniem waleczności Goolian czy strategii ich wodza. Możliwe, że Goolianom lepiej było w obecnej sytuacji, ponieważ nedorzeczny egotyzm obdarzał ich swego rodzaju morale, którego zabrakłoby im, gdyby uznali prawdę.

Janai pomagała mi przy łodzi, spędzaliśmy więc razem sporo czasu; stale jednak towarzyszyło mi wrażenie, że wydawałem się jej odrażający. Nie dotykała mnie, jeśli mogła tego uniknąć, i nie patrzyła mi zbyt często w twarz, choć trudno było jej się dziwić. Byłem za to pewny, że zaczynała lubić mnie, jak brzydkiego, ale wiernego psa. Zacząłem żałować, że naprawdę nie byłem psem, ponieważ wtedy przynajmniej pogłaskałaby mnie. Moja szpetota tak dalece przerastała jednak marsjańskie caloty, że już na zawsze miałem pozostać dla niej odpychającym, bez względu na to, jak życzliwe uczucia mogła dla mnie żywić.

Przez te myśli zacząłem zastanawiać się nad losem mojego nieszczęsnego ciała. Czy nadal spoczywało bezpiecznie w celi 3-17, czy też drzwi pękły i ohydny twór z kadzi numer 4 pochłonął je i pożarł? Czy miałem jeszcze kiedyś je zobaczyć? Czy miałem odzyskać je i ożywić

własnym mózgiem, istniejącym tylko dla Janai, która nawet o tym nie wiedziała? Sprawa wydawała się beznadziejna, a skoro straciliśmy wierzchowca, podróż do Helium zdawała się prawie niemożliwa.

Zakończyłem wreszcie prace nad łodzią i Goolianie pomogli mi znieść ją do jeziora. Zaopatrzyli nas w prowiant i dali mi zapasowe włócznie, a Janai – sztylet i miecz. Przechwalali się swoimi zasługami przy budowie łodzi, twierdząc głośno, że była to najlepsza łódź, jaką kiedykolwiek zbudowano i nikt poza nimi nie potrafił takiej stworzyć. Potem zaczęli chełpić się podarowaną nam bronią i prowiantem, a wtedy opuściliśmy ich, obierając kurs na zachód, w stronę niebezpiecznej przeprawy przez mokradła.

23.

WIĘŹNIOWIE AMHOR

Rozległe bagna Toonol nie nadawały się do zamieszkania przez człowieka i cały tydzień wędrowaliśmy przez ponure pustkowia, niezamieszkane nawet przez dzikich tubylców. Natknęliśmy się za to na inne niebezpieczeństwa w postaci wielkich gadów i olbrzymich insektów, których część osiągała wręcz gigantyczne rozmiary, z rozpiętością skrzydeł przekraczającą trzydzieści stóp. Uzbrojone w potężne szczęki lub podobne do mieczy żądła, a czasami w oba naraz, z łatwością mogłyby nas uśmiercić; na szczęście jednak nie atakowały nas. Ich naturalnym pożywieniem były zamieszkujące mokradła mniejsze gady i byliśmy świadkami wielu potyczek, z których owady za każdym razem wychodziły zwycięsko.

Tydzień po opuszczeniu Gooli wiosłowaliśmy przez jedno z licznych jezior rozsianych po mokradłach, kiedy z przodu, nisko nad widnokretem pojawił się wielki okręt, przesuwany się powoli w naszą stronę. Moje serce podskoczyło na ten widok z radości.

- To John Carter! – zawołałem. – Nareszcie, Janai! Jesteś uratowana.
- A z nim jest na pewno Ras Thavas – powiedziała. – Będziemy mogli wrócić do Morbus i przywrócić do życia ciało Vor Daja.
- Odzyska życie, będzie znowu chodził i kochał – powiedziałem, uniesiony poczuciem ulgi i szczęścia, zrodzonych z nadziei.
- A jeśli to nie John Carter? – zapytała.

– To musi być on. Kto inny w całym cywilizowanym świecie krążyłby nad tym odrażającym pustkowiem?

Przestaliśmy wiosłować i obserwowaliśmy zbliżający się statek. Leciał dość powoli i bardzo nisko, zaledwie sto stóp nad powierzchnią. Kiedy się zbliżył, wstałem w łodzi i pomachałem, żeby przyciągnąć uwagę załogi, wiedząc że musieli nas zauważyć, skoro lecieli prosto na nas.

Statek nie miał żadnych oznaczeń, które wskazywałyby na jego pochodzenie, ale nie jest to niczym dziwnym w marsjańskich flotach, kiedy samotna jednostka wlatuje na potencjalnie wrogie terytorium.

Jego sylwetka również była mi całkiem obca, przez co nie mogłem go rozpoznać. Najwyraźniej była to jedna ze starszych jednostek liniowych, których wiele latało nadal na pograniczu Helium. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego John Carter miałby przedkładać tego typu statek nad szybsze i nowsze, ale byłem pewny, że miał widać słuszny powód, którego nie mogłem kwestionować.

Zbliżając się, statek schodził coraz niżej, stąd wiedziałem, że zostaliśmy zauważeni. Zatrzymał się w końcu nad nami i przez otwór w dnie spuszczone nam linę, którą obwiązałem szybko Janai, aby wciągnięto ją wygodnie na statek. Kiedy byłem tym zajęty, spuszczone kolejną linę dla mnie i po krótkim czasie obydwójce wisieliśmy w powietrzu, wznosząc się w stronę statku.

Kiedy wciągnięto nas do ładowni i przyjrzałem się otaczającej nas załodze, uświadomiłem sobie, że statek nie należał do Helium, ponieważ mieli na sobie uprząże z innego kraju.

Janai odwróciła się do mnie z lękiem w oczach.

– Na pokładzie nie ma Johna Cartera ani Ras Thavasa – szepnęła. – To nie statek z Helium, a jeden z okrętów Jal Hada, księcia Amhor. Jeśli dowiedzą się, kim jestem, równie dobrze mogłabym zostać w Morbus.

– Nie możesz pozwolić, żeby cię rozpoznali – powiedziałem. – Pamiętaj, jesteś z Helium.

Przytaknęła mi skinieniem głowy.

Otaczający nas oficerowie i marynarze interesowali się mną o wiele bardziej niż Janai, komentując bez skrępowania mój szkaradny wygląd.

Zabrano nas zaraz na górny pokład przed oblicze dowódcy. Spojrzał na mnie ze źle skrywaną odrazą.

– Kim jesteś i skąd pochodzisz? – zapytał.

– Hormadą z Morbus – odpowiedziałem. – A moja towarzyszka to dziewczyna z Helium, przyjaciółka Johna Cartera, Wodza Marsa.

Obrzucił Janai długim i poważnym spojrzeniem, po czym na jego wargi wypełził paskudny uśmieszek.

– Kiedy zmieniłaś narodowość, Janai? – zapytał. – Nie staraj się zaprzeczać, znam cię i wiem, kim jesteś. Rozpoznałbym tę twarz wśród milionów innych. Mam w kabinie twój portret, podobnie jak wszyscy dowódcy statków w Amhor, a tego, kto przywiezie cię z powrotem księciu, czeka wielka nagroda.

– Dziewczyna jest pod ochroną Johna Cartera – powiedziałem. – Bez względu na to, ile zaoferował Jal Had, on da ci więcej, o ile tylko odeślesz ją do Helium.

– Co to za stwór? – zwrócił się do Janai, kiwając głową w moją stronę. – Porwał cię?

– Nie – odpowiedziała. – To przyjaciel. Wiele razy narażał życie, żeby mnie ratować, a kiedy nas pojмалиście, próbował zabrać mnie do Helium. Proszę, nie odstawiaj mnie do Amhor. Jestem przekonana, że jeśli Tor-durbar tak twierdzi, to John Carter naprawdę wynagrodzi cię sowicie, jeśli odstawisz nas do Helium.

– A Jal Had zamęczy na śmierć, kiedy wrócę do Amhor! – powiedział głośno dowódca. – Nie, moja damo! Wracasz do Amhor, a ja zgarnę pewnie dodatkową sumkę za dostarczenie tego dziwadła księciu. To będzie cenny nabytek do jego kolekcji i z pewnością dostarczy rozrywki mieszkańcom Amhor. Bądź grzeczna, Janai, a Jal Had potraktuje cię dobrze. Nie okaż się

tak głupia, jak poprzednio. Ostatecznie, to chyba nie takie złe być księżniczką Amhor.

– Wolałabym już poślubić Ay-mada z Morbus – odpowiedziała. – A jeszcze bardziej wolałabym umrzeć.

Dowódca wzruszył ramionami.

– Twoja sprawa – powiedział. – Zanim dotrzemy do Amhor, będziesz miała mnóstwo czasu, żeby to przemyśleć, i radzę ci zastanowić się dobrze i zmienić zdanie. Następnie polecił, aby odprowadzono nas do kajut i pilnowano czujnie, choć mieliśmy zachować swobodę ruchów, o ile będziemy grzeczni.

Kiedy prowadzili nas w stronę zejścia pod pokład, zobaczyłem jakiegoś człowieka, który przebiegł nagle przez statek i wyskoczył za burtę. Zrobił to tak szybko, że nikt nie zdołał go powstrzymać, a choć dowódca wszystko widział, nikt nie zrobił czegokolwiek, aby go ratować. Statek leciał dalej swoim torem. Zapytałem towarzyszącego nam oficera, kim był ten człowiek i dlaczego wyskoczył za burtę.

– To więzień, który widocznie wolał śmierć od niewoli w Amhor – wyjaśnił.

Lecieliśmy nadal tuż nad powierzchnią jeziora i jeden z marynarzy, którzy podbiegli do relingu, zawołał, że więzień płynął w stronę naszego porzuconego czółna.

– Na bagnach długo nie pożyje – skwitował oficer, kiedy schodziliśmy do części mieszkalnej.

Janai przydzielono najlepszą kabinę na statku, ponieważ spodziewali się, że zostanie księżniczką Amhor i dobrym traktowaniem chcieli zaskarbić sobie jej względy. Poczułem ulgę, dowiedziawszy się, że przynajmniej na czas podróży do Amhor będzie traktowana z wszelką uprzejmością.

Sam trafiłem do niewielkiej dwuosobowej kabiny, zajętej już przez innego człowieka. Kiedy wszedłem, stał plecami do mnie, wyglądając przez bulaj. Oficer zamknął za mną drzwi i oddalił się. Zostałem sam z nowym

towarzyszem. Kiedy drzwi zamknęły się, ten odwrócił się i stanął twarzą do mnie, a wtedy obaj wydaliśmy okrzyk zdumienia. To był Tun Gan! Kiedy mnie rozpoznał, sprawiał wrażenie nieco wystraszonego, najwyraźniej sumienie dręczyło go po tym, jak mnie opuścił.

– To naprawdę ty? – zapytałem.

– Tak – odpowiedział – Teraz pewnie zechcesz mnie zabić, ale nie osądzaj mnie zbyt surowo. Omówiliśmy to z Pandarem. Nie chcieliśmy cię zostawiać, ale wiedzieliśmy, że jeśli wrócimy do Morbus, zginiemy wszyscy, zaś gdyby nasza dwójka popłynęła dalej, mieliśmy przynajmniej szansę na ucieczkę.

– Nie osądzam cię – oznajmiłem. – Możliwe, że w podobnych okolicznościach, postąpiłbym tak samo. Tymczasem okazało się, że dobrze się złożyło, iż mnie zostawiliście. Dzięki temu udało mi się dotrzeć do Morbus w kilka godzin i uratować Janai, kiedy przybyła tam z oddziałem, który ją złapał. Ale skąd wzięłeś się na tym statku?

– Schwytali nas obu z Pandarem około tygodnia temu. Może i dobrze, ponieważ ścigali nas właśnie tubylcy, kiedy statek zszedł nad wodę, płosząc ich. Gdyby nie to, złapaliby nas niewątpliwie i zabili. Ucieszyłem się, kiedy zabrali nas na pokład, choć Pandarowi to nie odpowiadało. Nie chciał lecieć do Amhor. Żył wyłącznie myślą o powrocie do Phundahl.

– Gdzie on teraz jest? – zapytałem.

– Wyskoczył właśnie za burtę. Przyglądałem mu się, kiedy przyszedłeś. Popłynął do łódki, z której jak mniemam was zabrano, i wiosłuje w stronę Phundahl.

– Mam nadzieję, że tam dotrze – stwierdziłem.

– Nie ma szans – prorokował Tun Gan. – Nie sądzę, żeby ktokolwiek zdołał pokonać samotnie koszmar tych piekielnych bagien.

– Przebyliście już długą drogę – przypomniałem.

– Owszem, ale kto wie, co jest przed nami?

– I nie przeszkadza ci, że lecisz do Amhor? – zapytałem.

– A powinno? – odpowiedział pytaniem. – Sądzą, że jestem Gantun Gur, słynny zabójca z Amhor, i traktują mnie z wielkim szacunkiem.

– Zdziwiająco! – zawołałem. – Na chwilę zapomniałem, że tylko twoje ciało należy do Gantun Gura. Sądzisz, że uda ci się sprostać ich wyobrażeniom i nadal ich oszukiwać?

– Myślę, że tak – odparł. – Nie jestem tak tępy, jak większość hormadów. Powiedziałem im, że doznałem urazu głowy, przez który zapomniałem sporo z dawnego życia, i jak dotąd nie zwątpili jeszcze w moje słowa.

– I chyba nigdy nie zwątpią – powiedziałem – ponieważ nie mieści im się w głowach, że ktoś mógłby przenieść do czaszki Gantun Gura mózg innego stworzenia.

– W takim razie nigdy się tego nie dowiedzą, o ile im tego nie powiesz – stwierdził. – Osobiście, z pewnością będę milczał, proszę więc, abyś pamiętał, by zwracać się do mnie moim nowym imieniem. Dlaczego się uśmiechasz?

– Sytuacja jest przezabawna. Żaden z nas nie jest naprawdę sobą. Noszę teraz twoje ciało, a ty mieszkasz w ciele innego człowieka.

– Ale kim byłeś zanim twój mózg trafił do mojej czaszki? – zapytał. – Często się nad tym zastanawiam.

– I zastanawiaj się dalej – odparłem – ponieważ nigdy się nie dowiesz.

Przyglądał mi się uważnie przez dłuższą chwilę, po czym nagle twarz mu pojaśniała.

– Już wiem! – zawołał. – Głupiec ze mnie, że nie domyśliłem się wcześniej.

– Nic nie wiesz – warknąłem – i na twoim miejscu nie próbowałbym nawet zgadywać.

Skinął głową.

– Bardzo dobrze, Tor-dur-barze, jak sobie życzysz.

Aby zmienić temat, zauważyłem:

- Ciekawe, co samotny statek z Amhor robi nad Bagnami Toonol?
- Pasją księcia Amhor, Jal Hada, jest zbieranie okazów dzikich bestii. Słyszałem, że zgromadził pokaźną kolekcję; ten statek przemierzał mokradła w poszukiwaniu nowych okazów.
- A zatem nie szukali wcale Janai?
- Nie. Czy to ona była z tobą, kiedy was złapali? Kiedy przelatywaliśmy nad wami, zauważyłem tylko przelotnie dwie postaci.
- Zgadza się, Janai jest na pokładzie, a muszę zabrać ją stąd, zanim dotrzemy do Amhor.
- Cóż, może uda ci się to zrobić – powiedział. – Od czasu do czasu lądujemy, żeby zapolować na nowe okazy, a załoga nie przestrzega zbyt mocno dyscypliny. W gruncie rzeczy wygląda na to, że wcale nas nie pilnują. To dlatego Pandar tak łatwo uciekł.

Nie nadarzyła nam się jednak żadna okazja ucieczki, ponieważ statek obrał kurs prosto na Amhor w chwili, kiedy dowódca uświadomił sobie, że miał na pokładzie Janai, i nie lądowaliśmy ani nie lecieliśmy przy powierzchni.

Amhor leży około siedmiuset pięćdziesięciu ziemskich mil na północ od punktu, w którym nas schwytano. Statek pokonał tę odległość w mniej więcej siedem i pół godziny. Cały ten czas nie widziałem Janai, która pozostała w swojej kabinie.

Przybyliśmy nad miasto w środku nocy i czekaliśmy do rana w powietrzu, otoczeni statkami patrolowymi, chroniącymi i strzegącymi cennego ładunku. Kiedy przylecieliśmy, Jal Had właśnie spał, a nikt nie miał odwagi go budzić. Po zasłyszanych uwagach załogi zorientowałem się, że cieszył się koszmarem reputacją i budził powszechnie wielki lęk.

Okolo drugiego zoda do naszej burty przybił statek władcy i zabrał Janai na pokład. Nie mogłem w żaden sposób temu zapobiec, ponieważ zaraz po przylocie nad miasto zabrali mnie z kabiny Gantun Gura i zamknęli w ładowni. Czuję przytłaczające zniechęcenie, przekonany, że teraz nie

tylko nie odzyskam nigdy swojego ciała, ale i nie zobaczę już Janai. Nie dbałem już o to, co stanie się ze mną, i modliłem się tylko o śmierć.

24.

UWIĘZIONY

Po tym, jak Janai zabrano z pokładu, statek zszedł na lądowisko i zacumował. Niedługo potem drzwi mojego więzienia otworzyły się i stanął w nich oddział wojowników prowadzonych przez oficera. Nieśli ciężkie łańcuchy, którymi skuli mi ręce.

Nie stawiałem oporu, ponieważ przestało mi już zależeć. Zabrali mnie na płytę lądowiska, a stamtąd windą na powierzchnię. Moja eskorta składała się z wojowników, którzy mnie jeszcze nie widzieli.

Okazywali mi spore zainteresowanie, ale zdawali się nieco wystraszeni. Kiedy dotarliśmy na ulicę, zacząłem ściągać na siebie uwagę, aż wepchnęli mnie do ślizgacza i powieźli szybko prowadzącą do pałacu aleją.

Ślizgacze to powszechnie używany prywatny środek transportu w wielu marsjańskich miastach. Osiągają pułap mniej więcej stu stóp i rozwijają prędkość sześćdziesięciu mil na godzinę. Na skrzyżowaniach w Amhor cały ruch na osi północ-południe odbywa się przy powierzchni, podczas gdy pojazdy poruszające się w kierunku wschodnio-zachodnim przelatują powyżej. Dzieje się tak, ponieważ na każdym przecięciu ulic znajduje się krótki pas startowy, wznoszący się na wysokość około dziesięciu stóp i kończący się nagłym spadkiem. Na każdej ulicy cały ruch przemieszcza się tylko wzdłuż jednej osi, w przemiennych kierunkach, przez co połowa ulic prowadzi w jednym kierunku, druga zaś w przeciwnym. Skręcić w lewo można nie zmniejszając prędkości, wzbijając się po prostu nad obie linie ruchu, skutkiem czego ruch pojazdów we wszystkie strony płynie bez

przeszkód ze średnią prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę. Parkingi, umieszczone w budynkach na poziomie około sześćdziesięciu stóp nad poziomem ulicy, są dość liczne. Ruch pieszy na chodnikach w kierunku północno-południowym odbywa się bez przeszkód wzdłuż ulic Północnej i Południowej, wzdłuż osi wschód-zachód wykorzystuje zaś podziemne przejścia na skrzyżowaniach ulic.

Opisałem dość szczegółowo, a może wręcz monotonie, kwestię regulacji ruchu w marsjańskim mieście z powodu tego, co usłyszałem od Johna Cartera o tłoku i kłopotach w kierowaniu ruchem w miastach ziemskich, z nadzieją, że wynalazcy na siostrzanej planecie poczną motywację do zbudowania ślizgaczy podobnych do używanych powszechnie w marsjańskich miastach.

Teren pałacu, gdzie zmierzaliśmy, zajmował obszar około osiemdziesięciu akrów. Przy prowadzących tam ulicach stały pałace arystokracji, a obok nich co bardziej luksusowe sklepy i hotele. Amhor to niewielkie miasto i jedyna miejscowość godna tej nazwy w całym państwie, na które składają się poza nim tylko rozrzucone daleko od siebie małe osady. Głównym źródłem utrzymania jest tam hodowla thoatów i zitidarów, z których pierwsze to marsjańskie wierzchowce, drugie zaś – olbrzymie zwierzęta pociągowe. Oba gatunki hoduje się także dla mięsa, a Amhor eksportuje konserwowane mięso, skóry i inne produkty uboczne do Duhor, Phundahl i Toonol.

Stolica to prawdziwa mekka dla hodowców bydła, twardych, wulgarnych i agresywnych mężczyzn, zawsze dysponujących sporą ilością pieniędzy i dużo wydających. Poza tym, samo w sobie, jest dość ciekawym miejscem, choć trudno docenić jego urok we wnętrzu klatki w ogrodzie zoologicznym, gdzie wylądowałem parę minut po tym, jak przewieziono mnie przez tylną bramę pałacowych ogrodów.

Po obu stronach alei znajdowały się klatki, nory i legowiska, mieszczące najrozmaitsze okazy bogatego życia zwierzęcego planety, wystawę fauny

całego świata, z pewnością pouczającą, ciekawą i zabawną dla przeciągających codziennie aleją tłumów, ponieważ ta część ogrodów pałacowych była za dnia otwarta dla publiczności.

Osobliwością kolekcji zoologicznej Jal Hada było wzbogacenie jej o rozmaite typy marsjańskich ludzi. Klatka na lewo od mojej była zajęta przez wielkiego zielonego człowieka o długich ciosach i czterech rękach, na prawo ode mnie mieszkał czerwony człowiek z Ptarthu. Zobaczyłem też thoaty, zitidary, oraz wielkie białe małpy z Barsoom, włochate, z grubsza człekokształtne monstra, otoczone chyba największym lękiem spośród wszystkich marsjańskich zwierząt. Niedaleko zauważyłem również dwa apty, arktyczne potwory z dalekiego Okaru. Te wielkie bestie pokryte białym futrem mają sześć kończyn, z których cztery – grube i krótkie – służą im do przemieszczania się po śniegu i lodzie. Dwie pozostałe wyrastają z barków po obu stronach potężnej, długiej szyi, i zakończone są bezwłosymi, białymi dłońmi, którymi chwytają ofiary. John Carter powiedział mi, że ich głowy i pyski przypominają ziemskie hipopotamy, z tym wyjątkiem, że z płaskiej części szczęki wyrastają im dwa potężne rogi, zakrzywiające się lekko w dół. Dwoje wielkich oczu tworzy owalne plamy sięgające po obu stronach głowy od szczytu czaszki pod podstawę rogów, z czego wynika, że ta naturalna broń wyrasta tak naprawdę z dolnej części oczu, złożonych z kilku tysięcy segmentów każde. Każdy segment posiada własną powiekę, dzięki czemu apt może zamknąć ich tyle, ile zechce. Zoo miało też banthy, caloty, darseeny, orluki, sithy, soraki, ulsio i wiele innych okazów zwierząt, owadów i ludzi, w tym nawet pewnego kaldana, jednego z niezwykłych ludzi-pająków z Bantoom. Ale kiedy wprowadzono mnie do klatki, natychmiast stałem się główną atrakcją wystawy. Muszę przyznać, że istotnie byłem najszkaradniejszym stworzeniem w całym zoo. Możliwe, że z czasem stałoby się to dla mnie powodem do dumy, ponieważ przyciągałem o wiele więcej uwagi niż

choćby najbardziej odpychające ze straszliwych bestii, jakie udało się zebrać Jal Hadowi.

Tłum gapiów stał przed moją klatką. Wielu trącało mnie kijami lub rzucało kamykami czy kawałkami jedzenia. Po niedługim czasie pojawił się dozorca ze znakiem, który zdążyłem przeczytać, zanim umieszczono go u góry klatki dla poinformowania i pouczenia widowni: **HORMADA z MORBUS, CZŁEKOPODOBNE MONSTRUM SCHWYTANE NA PUSTKOWIACH WIELKICH MOKRADEŁ.**

Przebywałem w klatce około dwóch godzin, kiedy w alei pojawił się oddział straży pałacowej i przegonił wszystkich zwiedzających. Parę minut później rozległ się ryk trąb i spojrzawszy na koniec drogi ujrzałem grupę zbliżających się mężczyzn i kobiet.

– Co teraz? – zapytałem czerwonego człowieka z klatki obok.

Spojrzał na mnie, jakby zaskoczony, że byłem obdarzony mową.

– Jal Had chce cię obejrzeć – powiedział. – Będzie z ciebie bardzo dumny, ponieważ na całym świecie nie ma stworzenia podobnego do ciebie.

– Możliwe, że w swoim czasie na własne nieszczęście przekona się, że jest inaczej – oznajmiłem – ponieważ są miliony takich jak ja, a ich przywódcy planują podbój całego Barsoom.

Czerwony człowiek roześmiał się na to, choć nie śmiałyby się, wiedząc to samo, co ja.

Orszak władcy zbliżał się. Jal Had szedł kilka kroków przed innymi. Obrzydliwy z wyglądu, miał wzrok pełen okrucieństwa i przebiegłości. Podeszedł do mojej klatki i zatrzymał się przed nią, a kiedy reszta grupy podeszła bliżej i stanęła, zauważyłem wśród nich Janai. Podniosła na mnie wzrok i ujrzałem wzbierające w jej oczach łzy.

– Znakomity – powiedział Jal Had, przyjrząwszy mi się uważnie przez parę chwil. – Założę się, że na całym świecie nie ma drugiego takiego okazu. – Odwrócił się w stronę swojej świty. – I co o tym myślicie?

– Cudowne – odpowiedzieli jednogłośnie, poza Janai. Ona jedna milczała.

Jal Had utkwiał w niej wzrok.

– A jakie jest twoje zdanie o tym stworze, ukochana?

– Bardzo wysokie – odpowiedziała. – Tor-dur-bar to mój przyjaciel i uważam, że trzymanie go w klatce to wstyd i okrucieństwo.

– Wolałabyś, żeby dzikie bestie wędrowały po ulicach miasta?

– Tor-dur-bar nie jest dziką bestią; to dzielny i wierny przyjaciel. Gdyby nie on, dawno bym zginęła, a choć może lepiej bym na tym wyszła, to nie przestanę być mu wdzięczna za trudy i niebezpieczeństwa, jakie dla mnie znosił.

– Wobec tego nie ominie go nagroda – stwierdził wielkodusznie Jal Had.
– Będzie dostawał resztki z królewskiego stołu.

To było dopiero coś. Syn szlachetnego rodu z Helium karmiony ochłapami ze stołu księcia Amhor! Pocieszałem się jednak myślą, że resztki z jego stołu były pewnie o wiele bardziej strawne niż karma podawana zwykle mieszkańcom zoo, wobec czego łatwo przyszłoby mi przełknąć wraz z nimi moją dumę.

Oczywiście nie miałem okazji porozmawiać z Janai, nie dowiedziałem się więc, co się z nią stało i co czekało ją w przyszłości, o ile miała o tym jakieś pojęcie.

– Opowiedz mi o sobie – zażądał Jal Had. – Jesteś tylko wybrykiem natury czy jest więcej takich jak ty? Kim byli twoi rodzice?

– Nie miałem ojca ani matki – odparłem – a takich jak ja jest wielu, całe miliony.

– Nie miałeś rodziców? Ale przecież jakieś stworzenie musiało złożyć jajo, z którego się wyklułeś.

– Nie wyklułem się z jaja.

– Cóż – stwierdził Jal Had – jesteś nie tylko najdziwniejszym stworem, jakiego w życiu widziałem, ale i największym łgarzem. Może dobra chłosta

oduczy cię kłamstwa.

– Nie okłamał cię – wtrąciła Janai. – Powiedział prawdę.

– A zatem i ty masz mnie za głupca? – zapytał. – Mogę kazać wybatożyć moje kobiety i zwierzęta, jeśli nie zachowują się, jak trzeba.

– Dowiodłeś właśnie, że jesteś jednak głupcem – powiedziałem. – Obydwoje powiedzieliśmy ci prawdę, a jednak nie chcesz w nią uwierzyć.

– Milczeć! – ryknął dowódca straży. – Czy mam zabić to bezczelne bydło, Jal Hadzie?

– Nie – odparł książę. – Jest zbyt cenne. Może później każę je wychłostać.

Zastanawiałem się, kto odważyłby się wejść w tym celu do mojej klatki, skoro potrafiłem rozerwać zwykłego człowieka na sztuki.

Jal Had odwrócił się i odszedł, a za nim jego świta, a kiedy opuścili aleję, do ogrodów wpuszczono znowu zwiedzających i aż do zmroku musiałem znosić spojrzenia i obelgi hałaśliwego motłochu. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, z jaką pogardą zamknięte w klatkach zwierzęta muszą patrzeć na ludzkie istoty gapiące się na nie z rozdziawionymi ustami.

Kiedy z zoo przepędzono zwiedzających, dozorczy nakarmili zwierzęta, ponieważ Jal Had odkrył, że trzymane w niewoli stworzenia czują się lepiej, kiedy tłumy gapiów nie obserwują ich podczas posiłków, wobec czego okazy z jego kolekcji mogły pożywiać się w ciszy i samotności, na jaką pozwalały ich klatki. Nie dostałem jedzenia wraz z resztą, ale zaraz potem z pałacu przyszedł młody niewolnik z koszem pełnym resztek z książęcego stołu.

Zbliżając się do mojej klatki, chłopak wybałuszał oczy w trwożnym podziwieniu. Z przodu, przy podłodze były w niej niewielkie drzwiczki, przez które mógł podawać mi jedzenie, ale najwyraźniej bał się je otworzyć z obawy, że go złapię.

– Nie bój się – powiedziałem. – Nie zrobię ci krzywdy. Nie jestem dzikim zwierzęciem.

Podszedł bliżej i otworzył z lękiem drzwiczki.

- Nie boję się – powiedział, choć widać było po nim, że jest inaczej.
- Skąd pochodzisz? – spytałem.
- Z Duhor.
- Mieszka tam przyjaciel mojego przyjaciela.
- Kto to taki?
- Vad Varo.
- Vad Varo! Często go widywałem. Po ukończeniu szkolenia miałem objąć służbę w jego straży. Poślubił naszą księżniczkę, Valla Dię. To wielki wojownik. A kim jest ten twój druh, który jest jego przyjacielem?
- To John Carter, księżę Helium i Wódz Marsa.

Słyszając to, dopiero teraz otworzył szeroko oczy.

- Znasz Johna Cartera? Kto nie słyszał o największym szermierzu na całym Barsoom? Ale czy ktoś taki, jak ty, mógłby być jego przyjacielem?
- Możesz uznać to za dziwne – przyznałem – ale pozostaje faktem, że John Carter to mój najlepszy przyjaciel.
- Co ty możesz o nim wiedzieć? – zapytał czerwony człowiek z sąsiedniej klatki. – Pochodzę z Helium i w całym imperium nie ma takiego stworzenia jak ty. Myślę, że jesteś wielkim kłamcą. Okłamałeś mnie i Jal Hada, a teraz okłamujesz tego niewolnika. Co chcesz osiągnąć, opowiadając tyle łgarstw? Nie słyszałeś nigdy, że mieszkańcy Barsoom szczycą się swoją prawdomównością?
- Nie kłamię – odpowiedziałem.
- Nie wiesz nawet, jak wygląda John Carter – drwił dalej mój sąsiad.
- Ma czarne włosy, szare oczy i skórę jaśniejszą od twojej. Przybył tu z Jasoom i poślubił księżniczkę Helium, Dejah Thoris. Kiedy zjawił się na Barsoom, został pojmany przez zielonych ludzi z Tharku. Wojował w Okar, krainie żółtych ludzi na dalekiej północy, i walczył z thernami

w Dolinie Dor; przemierzył z mieczem w ręku wzdłuż i wszerz cały świat, a kiedy ostatnio go widziałem, byliśmy razem w Morbus.

Czerwony człowiek sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Na wszystkich przodków! – zawołał. – Sporo o nim wiesz. Może jednak mówisz prawdę.

Młody niewolnik wpatrywał się we mnie jak urzeczoną. Widziałem, że zrobiłem na nim wielkie wrażenie i miałem nadzieję, że zdobyłem jego zaufanie, a później uda mi się pozyskać jego przyjaźń, ponieważ potrzebowałem sprzymierzeńca w pałacu.

– A zatem widziałeś Johna Cartera! – powiedział. – Rozmawiałeś z nim i dotykałeś go. To cudowne!

– Możliwe, że pewnego dnia przybędzie do Amhor – powiedziałem. – Kiedy to się stanie, powiedz mu, że znałeś Tor-dur-bara i okazałeś mu życzliwość, a na pewno zostanie i twoim przyjacielem.

– Okażę ci tyle życzliwości, ile zdołam – powiedział. – A o ile mogę coś dla ciebie zrobić, z chęcią się tego podejmę.

– Owszem, jest coś takiego – powiedziałem.

– Co?

– Podejdź bliżej, a szepnę ci na ucho. – Zawahał się. – Nie bój się. Nie zrobię ci krzywdy.

Podszedł bliżej klatki.

– O co chodzi? – zapytał.

Ukląkłem i przyłożyłem usta do jego ucha.

– Chcę usłyszeć wszystko, czego uda ci się dowiedzieć o tej dziewczynie, Janai. Co dzieje się z nią w pałacu i co chcą z nią zrobić.

– Powiem ci wszystko, czego tylko się dowiem – odpowiedział, po czym zabrał pusty kosz i odszedł.

25.

KSIĄŻĘ W ZOO

Dni przychodziły i odchodziły monotonnie, umilane wyłącznie rozmowami z czerwonym człowiekiem z klatki obok i codziennymi dwukrotnymi odwiedzinami młodego niewolnika z Duhor, imieniem Orm-O.

Między czerwonym człowiekiem z Helium a mną rozwinęła się całkiem silna zażyłość. Na imię miał Ur Raj, a kiedy mi o tym powiedział, przypomniałem sobie, że poznałem go parę lat wcześniej.

Pochodził z Hastor, miasta na granicy imperium, i był padwarem na jednym ze stacjonujących tam okrętów. Zapytałem, czy przypominał sobie oficera imieniem Vor Daj i usłyszałem odpowiedzi, że pamiętał go bardzo dobrze.

– Znasz go? – zapytał.

– I to bardzo blisko – odpowiedziałem. – Nikogo innego nie znam tak dobrze.

– Ale skąd go znasz?

– Przebywał w Morbus z Johnem Carterem.

– To wspaniały oficer – stwierdził. – Pamiętam, że odbyłem z nim długą rozmowę, kiedy wielka flota przyleciała do Hastor.

– Rozmawialiście o wynalazku, nad którym wtedy pracowałeś. Miał on wykrywać i lokalizować statki wroga z wielkiej odległości, rozpoznając je po odgłosie silników. Odkryłeś, że każdy silnik wytwarzał innego rodzaju wibracje i zbudowałeś urządzenie, które rejestrowało je precyzyjnie

na znacznych odległościach. Przedstawiłeś go także urzekającej młodej damie, którą miałeś nadzieję poślubić.

Ur Raj otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Skąd u licha możesz o tym wszystkim wiedzieć? Musiałeś być z nim w naprawdę zażyłych stosunkach, skoro zdradził ci temat swoich rozmów sprzed lat ze stosunkowo nieznaną mu osobą.

– Nie opowiedział mi o tobie ani o twoim wynalazku, ponieważ obiecał ci, że nikomu o nim nie wspomni, dopóki nie udoskonalisz go i nie zaoferujesz flocie Helium – powiedziałem.

– Ale skoro nie powiedział ci, skąd to wiesz?

– Tego nie mogę powiedzieć, ale możesz być pewny, że Vor Daj nie nadużył nigdy twojego zaufania.

Sądzę, że od tej pory Ur Raj nieco się mnie lękał, wierząc że posiadam nadprzyrodzone lub tajemne moce. Czasem przyłapywałem go na tym, jak przyglądał mi się czujnie, siedząc na podłodze klatki i bez wątpienia próbując zgłębić zagadkę, która mogła wydawać mu się niewytłumaczalna.

Niewolnik, Orm-O, zaczął okazywać mi przyjaźń, przekazując wszystko, czego udało mu się dowiedzieć o Janai, czyli niewiele lub wręcz nic. Dowiedziałem się, że nie groziło jej bezpośrednio niebezpieczeństwo, ponieważ chroniła ją najstarsza żona Jal Hada, który miał kilka żon, ale to pierwszej lękał się najbardziej na świecie. Długo sprzeciwiała się dzieleniu uczuciami władcy z innymi kobietami i nie życzyła sobie kolejnych żon, zwłaszcza tak pięknych i młodych jak Janai.

– Plotka głosi, że pozbędzie się jej przy pierwszej okazji – powiedział Orm-O. – Wzbrania się przed tym wyłącznie z obawy, że gdyby do tego doszło, Jal Had uśmierciłby ją w gniewie. Możliwe jednak, że znajdzie sposób, który pozwoli jej tego dokonać bez ściągania na siebie podejrzeń. Ostatnio przyjmowała kilka razy słynnego zabójcę z Amhor, Gantun Gura, który wrócił niedawno z niewoli. Nie chciałbym być w skórze Janai,

zwłaszcza jeśli Gantun Gur będzie słuchał zbyt długo Vanumy i przyjmie od niej zlecenie.

Po tej informacji, zacząłem martwić się mocno o zdrowie Janai. Oczywiście, byłem dość pewny, że Gantun Gur jej nie zabije, ale to nie powstrzymałoby Vanumy od znalezienia innego sposobu pozbycia się rywalki. Poprosiłem Orm-O, żeby ostrzegł Janai, i obiecał, że zrobi to o ile tylko znajdzie okazję.

Myśl o grożącym jej niebezpieczeństwie nie opuszczała mojej głowy, a nie mogąc jej pomóc stałem się prawie nieobecny duchem. Gdybym tylko mógł cokolwiek zrobić. Ale nie mogłem nic... Wyglądało na to, że byłem całkowicie bezradny, a Janai znalazła się w równie rozpaczliwym położeniu.

Czasami zdarzały się w zoo nudne dni, ale z reguły aleją między klatkami przepływał nieprzerwany strumień ludzi, a przed moją klatką prawie zawsze gromadził się mały tłumek – o ile aleja nie była zablokowana przez tych, którzy przychodzili tu oglądać nas godzinami. Zawsze pojawiały się nowe twarze, ale niektórzy przychodzili tak często, że nauczyłem się ich rozpoznawać, aż wreszcie pewnego dnia ujrzałem w tłumie Gantun Gura. Przeciskał się w moją stronę, witany burczeniem i twardymi słowami, ale kiedy ktoś go rozpoznał i w tłumie rozeszło się jego imię, zwiedzający rozstąpili się przed nim, ponieważ nikt nie chciał mieć wroga w osobie zabójcy z Amhor. Cóż za reputację musiał mieć w tym mieście!

– Kaor, Tor-dur-barze! – powiedział, podchodząc do klatki.

– Kaor, Gantun Gurze – odpowiedziałem. – Dobrze znów cię widzieć; szkoda, że nie możemy porozmawiać na osobności.

– Wróć, kiedy wyproszą zwiedzających – powiedział. – Rozumiesz, cieszę się w mieście i pałacu pewnymi przywilejami. Nikt nie chce mieć we mnie wroga, nawet Jal Had.

Myślałem, że ten dzień nigdy się nie skończy, a zwiedzający nigdy nie odejdą. Godziny ciągnęły się w nieskończoność; w końcu jednak dozorczy przepędzili gości, a w alei pojawiły się wózki z jedzeniem dla zwierząt. Nadszedł Orm-O z koszem resztek ze stołu władcy, ale nadal nie było znaku Gantun Gura. Zastanawiałem się, czy zawiódł mnie po raz kolejny, czy też przywileje, którymi się chwalił, były tylko mitem. Naprawdę zależało mi na tym, żeby się z nim spotkać, ponieważ udało mi się w końcu ułożyć plan, który moim zdaniem mógł pomóc Janai. Zapytałem Orm-O o wieści o dziewczynie, ale potrząsnął tylko głową i powiedział, że nie widział jej w pałacu od paru dni.

– Może Vanuma kazała ją zabić – zasugerowałem z lękiem.

– Możliwe. Ostatnie, co słyszałem, to że przestała traktować ją tak dobrze, jak na początku. Niektórzy twierdzą, że każdej nocy wymierza jej chłostę.

Nie potrafiłem wyobrazić sobie, aby Vanuma czy ktokolwiek inny mógł uderzyć Janai, która z pewnością nie należała do dziewczyn, które przyjęłyby to z pokorą.

Było już prawie ciemno i porzuciłem nadzieję na odwiedziny Gantun Gura, kiedy ujrzałem go zmierzającego aleją w stronę mojej klatki.

– Kaor, Tor-dur-barze! – powiedział głośno. – Zatrzymał mnie sam Jal Had. Chciał ze mną porozmawiać.

– Chce żebyś kogoś zabił? – zapytał Ur Raj.

– Chciał się tylko upewnić, że nie zamierzam zabić jego – odpowiedział Gantun Gur. – Ale wolę być tym, kim jestem, głową gildii skrytobójców, niż księciem Amhor! Moja władza jest nieograniczona, wszyscy się mnie boją, ponieważ choć sam jestem znany, nikt nie zna wszystkich moich podwładnych. Nawet ci, którzy mogliby przeciw mnie spiskować, nie robią tego ze strachu, że moi szpiegowie mogliby się o tym dowiedzieć.

– Przeszedłeś długą drogę od laboratorium, Gantun Gurze – oznajmiłem z uśmiechem. – Ale mów, czy Janai żyje? Ma się dobrze? Czy jest

bezpieczna?

– Żyje i ma się dobrze, ale nie jest i nigdy nie będzie bezpieczna w Amhor, przynajmniej dopóki żyje Vanuma. Oczywiście, nie muszę mówić, że ani ja ani żaden z moich zabójców nie przyjmie zlecenia na zabicie Janai, ale Vanuma może znaleźć do tego kogoś innego, albo w ostateczności zrobić to własnoręcznie. Doszedłem więc do wniosku, że najlepszym wyjściem będzie usunięcie Vanumy.

– Nie! – zaoponowałem. – Kiedy tylko Jal Had pozbędzie się jej, nie będzie nikogo, kto chroniłby Janai przed nim.

– Prawda – stwierdził, drapiąc się w głowę. – Takiego obrotu spraw nie wziąłem pod uwagę. W gruncie rzeczy, nie byłoby to dla niej wcale takie złe. Zostałaby księżniczką Amhor, a sądząc po zachowaniu pierwszej żony Jal Hada, rządziłaby jako niekwestionowana władczyni.

– Ale ona nie chce za niego wyjść! To ukochana Vor Daja i musimy ją dla niego uratować.

– Vor Daja, który leży jak trup w lochu pod laboratorium w Morbus, z całą pewnością otoczony, a może już dawno wchłonięty przez koszmarny twór z sali nr 4 – oświadczył Gantun Gur. – Nie, Tor-dur-barze, chociaż podziwiam twoją lojalność wobec niego, sądzę, że jest całkowicie bezcelowa. Nikt z naszej trójki – ani ty, ani ja, ani Janai – nigdy go już nie zobaczy.

– Mimo to, musimy zrobić, co w naszej mocy, aby ocalić ją dla niego, ponieważ nie porzuciłem nadziei, że pewnego dnia zostanie uratowany.

– A zatem masz jakiś plan? – zapytał.

– Owszem, mam – odpowiedziałem.

– Jaki?

– Daj Vanumie znać, choćbyś musiał oznajmić to jej osobiście, że Jal Had dowiedział się, iż próbuje ona wynająć zabójców, aby pozbyć się Janai, i przysiągł, że jeśli dziewczyna zginie, bez względu na przyczynę, natychmiast każe uśmiercić Vanumę.

– Niezły pomysł – stwierdził Gantun Gur. – Przekażę jej to od razu przez jedną z jej niewolnic.

– Odetchnę z ulgą, wiedząc, że to zrobiłeś.

Tej nocy spałem na pewno lepiej niż od dłuższego czasu, ponieważ czułem, że przynajmniej na razie udało mi się zapewnić Janai bezpieczeństwo. Na szczęście dla spokoju mego ducha, nie wiedziałem, co miał przynieść kolejny ranek.

26.

UKĄSZENIE ŻMII

Moja cela była przedzielona przepierzeniem na dwie części: przednia wychodziła na aleję, tylna składała się z ciemnego pomieszczenia z małym okienkiem i ciężkimi drzwiami osadzonymi w tylnej ścianie. To była moja sypialnia, gdzie za łóżko służyła mi sterta żółtawego mchu z dna martwego morza. Obie części połączone były przesuwными drzwiami, podnoszonymi i opuszczanymi za pomocą liny przewleczonej przez krążek i wypuszczonej na zewnątrz klatki. Kiedy przebywałem z przodu, dozorczy mogli opuścić je i wejść do tylnej części, żeby posprzątać, i na odwrót. Nikt nie miał odwagi wejść do części, w której przebywałem. Muszę przyznać Jal Hadowi, że utrzymywał nasze mieszkania we względnej czystości, choć nie robił tego z żadnych humanitarnych pobudek, a tylko dlatego, że rozumiał, iż dzięki temu byliśmy zdrowsi.

Rano po wizycie Gantun Gura obudziło mnie bicie bębnów i żałobne zawodzenie instrumentów dętych, składające się na muzykę przypominającą pieśń żałobną. Sen był już niemożliwy; wyczołgałem się więc na światło dzienne z przodu klatki. Ujrzałem Ur Raja stojącego z twarzą przyciśniętą do prętów i patrzącego w stronę pałacu.

- Skąd ta muzyka? – zapytałem. – Czy coś świętują?
- Może i tak – odpowiedział z uśmiechem. – Choć ta muzyka oznacza, że zmarł członek rodziny królewskiej.
- Miejmy nadzieję, że to Jal Had.
- Chyba nie mieliśmy aż tyle szczęścia.

Aleją zbliżali się dozorczy, karmiąc zwierzęta, a kiedy dotarli do klatki Ur Raja, zapytaliśmy, kto zmarł. Kazali jednak nam pilnować własnego nosa i poszli dalej. Rzecz jasna, nie było żadnego powodu, dla którego nie mogliby nam tego powiedzieć, ale wyglądało na to, że dodawali sobie powagi traktując nas nie jak ludzi, a dzikie zwierzęta, po których nie oczekuje się, że będą wnikać w sprawy właścicieli.

Zielony człowiek w sąsiedniej klatce nigdy nie był przesadnie przyjazny. Wydawało mi się, że żywił urazę z racji tego, że przyciągałem więcej uwagi niż on. Nie odzywał się do mnie, a zagadnięty parę razy, nie odpowiadał wcale lub tylko monosylabami. Oczywiście, mogło tak być dlatego, że zielonoskórzy to z natury ponura i małomówna rasa. Teraz jednak, zupełnie nieoczekiwanie, przemówił do mnie.

– Jeśli Jal Had zmarł, zamieszanie potrwa kilka dni – powiedział. – Przebywam tu od dawna i wiele zdążyłem się dowiedzieć. Wiem, że niejeden chciałby go zastąpić na tronie, a jeśli naprawdę umarł, możliwe że Amhor stanie w obliczu wojny domowej. Nadarzyłaby się nam dobra okazja do ucieczki.

– Gdybym myślał, że istnieje jakakolwiek szansa ucieczki – powiedziałem – nie czekałbym na śmierć Jal Hada.

– Dopóki nie wydarzy się coś, co zakłóci dyscyplinę straży i wywoła wzburzenie w mieście – dodał zielony człowiek – żaden plan nie miałby szans powodzenia, ale mam plan, który mógłby się powieść, gdyby do tego doszło.

– Co to za plan?

– Podejdź do krat, a powiem ci szeptem. Nie chcę, żeby ktoś nas podsłuchał. Dla jednego człowieka to niewykonalne, ale uważam, że mogę zaufać tobie i czerwonemu człowiekowi z klatki obok. Obserwowałem was uważnie i jestem przekonany, że macie dość sprytu i odwagi, żeby pomóc mi go wcielić w życie. – Następnie, objaśnił mi szeptem swój plan ze wszystkimi szczegółami. Pomysł nie był zły, a może nawet miał szanse

powodzenia. Zielony człowiek poprosił, żebym wytłumaczył go Ur Rajowi, co też zaraz zrobiłem. Czerwony człowiek wysłuchał mnie uważnie i skinął głową.

– Czy uda się czy nie, lepsze to niż tkwić tu całe życie w niewoli.

– Całkowicie się zgadzam – powiedziałem. – Gdyby chodziło tylko o moje życie, wypróbowałbym go o dowolnej porze, ale muszę czekać na okazję, żeby uratować również Janai.

– Co cię ona obchodzi? – zapytał Ur Raj. – Przecież nie spojrzaliby nawet na kogoś tak szkaradnego.

– Obiecałem Vor Dajowi, że będę ją chronił, więc nie mogę uciec bez niej.

– Rozumiem – powiedział – ale ponieważ żaden plan ucieczki nie ma szans powodzenia, równie dobrze możemy zaplanować, że zabierzemy ją ze sobą. To w najmniejszym stopniu nie skomplikuje nam zadania. Na szczęście nie mogą zabronić nam marzyć, Tor-dur-barze, a ponieważ właściwie to jedyne szczęście, jakie nam pozostało, korzystajmy z niego, jak najlepiej możemy i snujmy marzenia o tym, co naprawdę jest tego warte. Będę marzył, że uda nam się stąd uciec, zabijemy Jal Hada, a ja zostanę władcą Amhor. Uczynię cię jednym z moich dwarów, Tor-dur-barze. Właściwie nie widzę powodu, żeby z tym czekać. Mianuję cię nim już teraz.

Roześmiał się serdecznie ze swojego dowcipu. Przyłączyłem się do niego.

– Ale w Morbus byłem odwarem – powiedziałem.

– A zatem bardzo dobrze, będziesz odwarem. Uważaj swój awans za zaklepany.

Zielony człowiek nie widział nic śmiesznego w naszych słowach, biorąc wszystko dosłownie. Ten lud nie zna poczucia humoru w naszym rozumieniu i śmiech jest im obcy, z wyjątkiem chwil, kiedy oglądają cierpienie innych. Widziałem, jak tarzali się po ziemi ze śmiechu, patrząc

na męki ofiar poddawanych najbardziej wymyślnym torturom. Dalszą rozmowę na ten temat przerwało nam pojawienie się Orm-O z moim śniadaniem z resztek z książęcego stołu.

– Co się stało? – zapytałem go. – Skąd ta muzyka?

– Chcesz powiedzieć, że jeszcze nie słyszeliście? Vanuma nie żyje. Jedna z niewolnic powiedziała mi, że nie ma wątpliwości, iż ktoś ją otrul, a głównym podejrzanym jest Jal Had.

Vanuma nie żyła! Co czekało teraz Janai?

Dla mieszkańców zoo wydarzenia w pałacu po śmierci Vanumy miały niewielkie znaczenie, poza jednym. Aż do pogrzebu, który miał miejsce po pięciu dniach, ogrody pałacowe miały być zamknięte dla zwiedzających. Płonąc z niecierpliwości, spodziewałem się, że będzie to dla nas rozkoszne interludium ciszy i spokoju, wkrótce jednak okazało się wcale nie być tak przyjemne, ponieważ monotonia tego okresu wydawała się omal nie do wytrzymania. Choć może się to wydawać dziwne, brakowało mi tłumy gapiów i przekonałem się, że dostarczali nam tyle samo rozrywki i zabawy, co my im.

Przez ten czas dowiedziałem się od Orm-O czegoś, co przynajmniej na jakiś czas uspokoiło moje myśli na temat Janai. Powiedział, że etykieta dworska wymagała, aby żałoba trwała dwadzieścia siedem dni, w trakcie których rodzina królewska miała unikać wszelkich przyjemności. Zdradził mi też, że zaraz po upływie tego czasu Jal Had planował poślubić Janai.

Kolejną rzeczą, której dowiedziałem się od niego był fakt, iż rodzina Vanumy uważała, że to Jal Had zlecił jej otrucie. Był to potężny arystokratyczny ród o królewskim pochodzeniu, z którego wywodził się niejaki Dur Ajmad, aspirujący do tytułu księcia Amhor, a ponieważ cieszył się on o wiele większą popularnością niż Jal Had, miał spore wpływy w armii, z wyjątkiem osobistej gwardii Jal Hada.

Gdyby nie Orm-O, nic z tego nie dotarłoby do nas w zoo, ale dzięki jego informacjom mogliśmy śledzić wydarzenia w pałacu i mieście jak wszyscy

mieszkańcy Amhor. W miarę upływu dni, zauważyłem, że nastroje zwiedzających uległy zmianie. Stali się spięci i nerwowi, rzucając wiele spojrzeń w stronę pałacu. Aleję między klatkami blokowało teraz jeszcze więcej ludzi niż dotychczas, ale czułem, że przyszli tu nie tyle, by nas oglądać, a żeby przekonać się, co się działo w pałacowych ogrodach. Zbierali się w szepczące grupki, które w ogóle nie zwracały na nas uwagi, wyraźnie zaprzątnięte ważniejszymi sprawami niż dzikie zwierzęta.

Wreszcie pewnego dnia pod koniec okresu żałoby, usłyszałem wcześniej rano brzęczące staccato broni palnej; dobiegły mnie również dźwięki trąbek i wykrzykiwane rozkazy. Strażnicy zamknęli bramy, które dopiero co otworzono, aby wpuścić zwiedzających; a z wyjątkiem pozostawionego przy bramie oddziału, wszyscy dozorczy i wojownicy pobiegli w stronę pałacu.

Wszystko to było bardzo zajmujące, ale nawet przejęty chwilą nie zapomniałem, co mogło oznaczać dla mnie i dla Janai, ani tym bardziej o planie, o którym rozmawiałem z Ur Rajem i zielonym człowiekiem. Dlatego, kiedy ostatni z dozorców biegł aleją w stronę pałacu, rzuciłem się na podłogę klatki, wijąc się w udawanej agonii i wołając, żeby podszedł do mnie. Nie byłem pewny, czy podstęp zadziała, ponieważ na pewno chciał odejść z pozostałymi i przekonać się, co działo się w pałacu. Zgadywałem jednak, że musiał zdawać sobie sprawę, iż gdyby coś przydarzyło się jednemu z jego podopiecznych, zwłaszcza tak cennemu jak ja, Jal Had niewątpliwie ukarałby go za opuszczenie posterunku, a jego wyroki często okazywały się zabójcze w skutkach.

Zawahał się na chwilę, odwracając się i patrząc w moją stronę. Ruszył dalej w kierunku pałacu, ale po paru krokach zawrócił i podbiegł do mojej klatki.

– Co ci jest, bestio? – zapytał.

– W moim legowisku jest jakiś dziwny gad – powiedziałem. – Ugryzł mnie i teraz na pewno umrę.

– Gdzie cię ugryzł?

– W dłoń – odparłem. – Sam zobacz.

Podszedł bliżej, a wtedy sięgnąłem szybko przez kratę i chwyciłem go za gardło. Zacisnąłem mu palce na gardle tak szybko i mocno, że nie miał szansy zaprotestować. Ur Raj i zielony człowiek przywarli do prętów swoich klatek, obserwując mnie. Tylko nasza trójka widziała, jak strażnik zginął. Podciągnąłem ciało do góry, aż sięgnąłem kluczy zawieszonych na kółku przy uprząży. Odrzuciłem zwłoki i bez problemów otworzyłem kłódkę zabezpieczającą drzwi z przodu klatki. Po paru chwilach stanąłem na zewnątrz. Przeczłołem się zaraz pod klatką na tył, gdzie byłbym niewidoczny, gdyby ktoś nadszedł aleją. Uwolniłem zielonego człowieka i Ur Raja, po czym staliśmy przez chwilę, dyskutując nad sensem wprowadzenia w życie naszego planu. Wiązało się to ze sporym ryzykiem, ale wierzyliśmy, że mogliśmy odciągnąć w ten sposób uwagę strażników do tego stopnia, że w chaosie, który by nastąpił, mielibyśmy większe szanse na ucieczkę.

– Im więcej zamieszania – przytaknął Ur Raj – tym większe szanse, że dotrzemy do pałacu i znajdziemy twoją Janai.

Przyznaję, że plan był absurdalny i rozpaczliwy, a szanse powodzenia wynosiły może jeden do stu milionów.

– Świetnie! – odparłem. – Ruszajmy!

Na tyłach klatek znaleźliśmy kije i ościenie, których dozorczy używali do kierowania zwierzętami. Tak uzbrojeni, ruszyliśmy w stronę zagród położonych najbliżej bramy i najdalej od pałacu. Miałem też przy sobie krótki miecz i sztylet, zabrane zabitemu dozorczy, choć nie łudziłem się, że zdałyby się na wiele, gdyby plan się nie powiódł.

Zaczynając od bramy, zaczęliśmy wypuszczać zwierzęta, goniąc je przed sobą z tyłu klatek w stronę pałacu.

Obawiałem się, że nie zdołamy nimi pokierować i rzucać się na nas i zabijać, ale przekonałem się wkrótce, że nauczyły się strachu przed

ościeniami, którymi dźgaliśmy je i groziliśmy, pędząc przed sobą. Nawet dwa wielkie apty i białe mały kroczyły przed nami w ponurej ciszy. Początkowo hałas był niewielki, słycać było tylko ciche powarkiwania drapieźników i nerwowe parskanie roślinożerców, ale w miarę jak posuwaliśmy się coraz dalej, a tłum zwierząt stawał się coraz liczniejszy i coraz bardziej różnorodny, zgiełk narastał, aż powietrze zaczęło huczeć od porykiwań zitidarów, kwiku podenerwowanych thoałów, oraz ryku i warczenia banthów, aptów i dziesiątek innych, kroczących nerwowo przed nami bestii.

Zoo oddziela od ogrodów w pobliżu pałacu zwykle zamknięta brama, którą zaaferowani dozorczy zostawili akurat otwartą. Bez żadnych przeszkód przegoniliśmy tędy zwierzęta do ogrodów.

Podeksycytowane wolnością, do której nie przywykły, i odgłosami towarzyszy, wszystkie stworzenia w tym przerażającym stadzie, włączyły się do potwornego dzikiego koncertu, którego nie dało się nie usłyszeć w pałacowych ogrodach czy – skoro już o tym mowa – w całej okolicy. Zobaczyłem zaraz dozorców, którzy opuścili posterunki i pobiegli nam na spotkanie. Zwierzęta również ich ujrzały, a co bardziej inteligentne, takie jak wielkie białe mały, przypomniały sobie widocznie upokorzenia i okrucieństwa, jakich zaznały w niewoli, ponieważ warcząc groźnie i rycząc skoczyły na spotkanie dozorców, powaliły ich i zabiły. Następnie, popychane naprzód smakiem zemsty i krwi ruszyły w stronę żołnierzy broniących bramy, której zagrażali żołnierze Dur Ajmada.

Na to właśnie czekaliśmy, ponieważ odwróciły w ten sposób uwagę strażników, umożliwiając naszej trójce niepostrzeżone wejście bocznymi drzwiami do pałacu.

Dotarliśmy do miejsca, gdzie przetrzymywano Janai, ale sukces był nadal daleki jak Cluros. Znalazłem się w pałacu, ale gdzie w tym wielkim gmachu miałem szukać Janai?

27.

ZNOWU W OPAŁACH

Pokoje i korytarze w części pałacu, do której weszliśmy, były opuszczone. Ich mieszkańcy ukrywali się albo bronili bram.

– Skoro już tu jesteśmy – powiedział Bal Tab – co teraz? Gdzie jest czerwona kobieta?

– Pałac jest wielki – stwierdził Ur Raj. – Nawet gdyby nikt nam nie przeszkadzał, poszukiwania zabrałyby wiele czasu, ale niedługo drogę zagrodzą nam na pewno jacyś strażnicy.

– Ktoś jest w korytarzu – powiedział Bal Tab. – Słyszę go.

Tuż przed nami korytarz skręcał w lewo, a niedługo zza zakrętu wyłonił się młody człowiek, którego błyskawicznie rozpoznałem. Był to Orm-O. Podbiegł zaraz do mnie.

– Widziałem z okna na górze, jak wchodziliście do pałacu – oznajmił – i pobiegłem wam na spotkanie, ile sił w nogach.

– Gdzie jest Janai? – spytałem.

– Pokażę wam, ale zabijają mnie, jeśli nas złapią. Możliwe, że spóźniliście się, ponieważ Jal Had poszedł odwiedzić ją w jej pokojach, chociaż okres żałoby jeszcze się nie skończył.

– Szybko – uciałem. Pobiegł korytarzem, a za nim nasza trójka. Doprowadził nas do stóp spiralnej rampy i polecił wejść na trzeci poziom, gdzie mieliśmy skręcić w prawo i pójść korytarzem do samego końca. Tam mieliśmy znaleźć drzwi prowadzące do pokojów Janai.

– O ile jest z nią Jal Had, w korytarzu będzie straż – powiedział. – Będziecie musieli walczyć, ale nie musicie obawiać się broni palnej, ponieważ Jal Had, bojąc się skrytobójców, nie pozwala nikomu poza sobą nosić jej w pałacu.

Podziękowawszy mu, zaczęliśmy wspinać się po pochylni, a kiedy dotarliśmy na trzecie piętro, ujrzałem dwóch wojowników stojących przed drzwiami na końcu krótkiego korytarza, za którymi mieli być Jal Had i Janai.

Wojownicy zauważyli nas natychmiast i ruszyli w naszą stronę z obnażonymi mieczami.

– Czego tu chcecie? – zapytał jeden.

– Chcę widzieć się z Jal Hadem – odpowiedziałem.

– To niemożliwe. Wracajcie do klatek, gdzie wasze miejsce.

W odpowiedzi Bal Tab powalił jednego ze strażników ciosem okutego metalem ościenia. Niemal równocześnie starłem się z drugim na miecze. Strażnik potrafił naprawdę dobrze walczyć, ale nie mógł pokonać ucznia samego Johna Cartera, obdarzonego przewagą olbrzymiej siły i niezwykle długiego ramienia.

Wykończyłem go szybko, nie chcąc nas zbytnio opóźnić ani przysparzać mu cierpień.

Bal Tab uśmiechnął się na widok śmierci.

– Masz dobrą rękę – stwierdził, co w ustach zielonego Marsjanina było ogromną pochwałą.

Przestąpiłem nad ciałem przeciwnika, otworzyłem szeroko drzwi i wszedłem do pomieszczenia za nimi, niewielkiej sieni, która okazała się pusta. Po drugiej stronie były kolejne drzwi, zza których dobiegały głosy podniesione w gniewie lub ekscytacji. Podeszedłem szybko do drzwi i wpadłem do drugiego pomieszczenia, gdzie zastałem Jal Hada trzymającego w ramionach Janai. Wyrywała mu się i tłukła go pięściami.

Twarz poczerwieniała mu z gniewu i widziałem, że zamierzył się na nią pięścią.

– Stój! – zawołałem. Obydwoje odwrócili się i ujrzeli mnie.

– Tor-dur-bar! – zawołała Janai głosem, w którym słychać było nutę ulgi.

Na nasz widok, Jal Had odepchnął ją brutalnie od siebie i sięgnął po pistolet radowy. Skoczyłem w jego stronę, ale zanim zdołałem go sięgnąć, okuty metalem oścień śmignął mi nad barkiem i przebił serce jeda Amhor, zanim zdążył wycelować czy nacisnąć spust. To Bal Tab nim cisnął i zapewne zawdzięczam mu życie.

Sądzę, że wszystkich nas zaskoczyła i oszołomiła nagłość i doniosłość tego, co właśnie zaszło. Staliśmy przez chwilę w milczeniu, patrząc na ciało Jal Hada.

– Cóż – odezwał się po pewnym czasie Ur Raj – nie żyje. Co teraz zrobimy?

– Pałac i ogrody pełne są jego zwolenników – powiedziała Janai. – Jeśli dowiedzą się, co zrobiliśmy, wszystkich nas zabiją.

– Urządzimy im bitwę, jaką na długo zapamiętają – stwierdził Bal Tab.

– Gdybyśmy mogli ukryć się gdzieś do zmroku – zaproponował Ur Raj – na pewno udałoby nam się wydostać z pałacu, a może nawet opuścić miasto.

– Znasz taką kryjówkę? – zapytałem Janai.

– Nie. Nie ma takiego miejsca, którego by nie przeszukali.

– Co jest na nad nami?

– Królewski hangar. Jal Had trzyma tam swoje prywatne statki.

Mimowolnie wydałem okrzyk ulgi.

– Co za szczęście! – zawołałem. – Nic nie przydałoby nam się teraz bardziej niż któryś z jego statków.

– Ale hangaru pilnuje silna straż – powiedziała Janai. – Często widziałam wojowników, którzy przechodzili obok moich drzwi, żeby

zluzować strażników w hangarze. Nigdy nie było ich mniej niż dziesięciu.

– Możliwe, że dzisiaj nie ma ich aż tylu, ponieważ Jal Had skierował wszystkie siły do obrony bram pałacu – zauważył Ur Raj.

– Gdyby było dwudziestu, czekałaby nas lepsza walka – mruknął Bal Tab. – Miejmy nadzieję, że wystarczy ich dla każdego.

Wręczyłem Ur Rajowi pistolet radowy Jal Hada, po czym cała nasza czwórka wyszła na korytarz i ruszyła po rampie w stronę hangaru na dachu. Posłałem przodem Ur Raja, ponieważ był mniejszy niż Bal Tab czy ja i mógł z większym prawdopodobieństwem rozeznać się niepostrzeżenie w sytuacji; poza tym będąc czerwonym człowiekiem doskonale nadawał się do tej roli i nie wzbudziłby takich podejrzeń jak ja czy Bal Tab. Podążaliśmy w pewnej odległości za nim, a kiedy dotarliśmy do miejsca, skąd mógł zobaczyć dach, zatrzymaliśmy się i czekaliśmy. Po krótkim czasie wrócił.

– To będzie łatwe – powiedział. – Hangaru pilnuje tylko dwóch ludzi.

– Zaatakujemy ich – podsunąłem. – Jeśli uda nam się ich zaskoczyć, może obędzie się bez rozlewu krwi.

Chociaż jestem doświadczonym żołnierzem, który brał udział w licznych walkach, nadal nie lubię patrzeć na ludzką śmierć – zwłaszcza kiedy muszę zabić ich sam, podczas gdy sprawę można by rozstrzygnąć w inny sposób. Strażnicy pilnujący królewskiego hangaru zdawali się jednak nie zważać zupełnie na własne życie, ponieważ rzucili się w naszą stronę ledwie nas zobaczyli, a choć obiecałem nie wyrządzić im krzywdy, o ile się poddadzą, nadal zmierzali w naszą stronę. W końcu nie mieliśmy innego wyjścia, jak stawić im czoło.

Na chwilę zanim do nas dotarli, jeden ze strażników powiedział coś cicho do swojego towarzysza, który odwrócił się i pobiegł jak najszybciej umiał przez dach. Dopiero wtedy jego dzielny kompan starł się z nami, ale kątem oka zauważyłem, jak drugi strażnik zniknął przez klapę w dachu. Widocznie udał się po wsparcie, podczas gdy jego druh poświęcił się, aby

nas zatrzymać. Uświadomiwszy to sobie, skoczyłem ku strażnikowi i zabiłem go, choć muszę przyznać, że jeszcze nigdy uśmiercenie przeciwnika nie sprawiło mi tak małej przyjemności. Ten prosty wojownik był prawdziwym bohaterem i szkoda było pozbawiać go życia, ale w przeciwnym razie narażałbym życie swoje i towarzyszy.

Wiedząc, że w każdej chwili na dachu mogła pojawić się pogoń, zawołałem, żeby pozostali biegli za mną i wpadłem do hangaru, gdzie wybrałem zaraz stosunkowo szybki statek, który wyglądał na zdolny do zabrania na pokład całej naszej czwórki.

Wiedziałem, że Ur Raj potrafił pilotować, poleciłem mu więc, aby usiadł przy sterach i już po chwili wysliznęliśmy się gładko z hangaru i opuściliśmy dach pałacu.

Podczas startu spojrzałem w dół na ogrody pałacowe, skąd dobiegały odgłosy zwierząt i krzyki wojowników. Nagle, na moich oczach, brama padła i ludzie Dur Ajmada wsypali się przez nią, pokonując resztki sił Jal Hada.

Kiedy wznieśliśmy się w powietrze, ujrzałem w pewnej odległości statek patrolowy, który skręcił zaraz i ruszył w naszą stronę. Natychmiast poleciłem Bal Tabowi i Janai zejść pod pokład i wydawszy Ur Rajowi polecenia udałem się w ich ślady, żeby nikt z załogi patrolowca nas nie wypatrzył.

Statek zbliżał się szybko, a kiedy znalazł się w zasięgu głosu, strażnicy zapytali, kto był na pokładzie i dokąd lecieliśmy. Posłuszny moim instrukcjom, Ur Raj odparł, że pod pokładem był Jal Had oraz że miał rozkaz nie zdradzać nikomu celu podróży. Możliwe, że dowódca patrolowca powątpiewał w prawdziwość tego stwierdzenia, ale uznał najwyraźniej, że nie chciał ryzykować robienia sobie wroga z jeda, na wypadek, gdyby ten rzeczywiście był na pokładzie i faktycznie wydał taki rozkaz. Odbił więc i pozwolił nam lecieć swoją drogą, ale po pewnym czasie zaczął podążać za nami, a zanim wylecieliśmy poza granice miasta

zauważyłem, że w ślad za nim ruszył co najmniej tuzin innych statków. Widocznie strażnik, który uciekł, podniósł alarm. Może nawet znaleźli ciało Jal Hada.

Tak czy owak, było oczywiste, że wysłano za nami pogoń, a kiedy pozostałe statki zrównały się z patrolowcem i wymieniły z nim informacje, strażnicy również ruszyli za nami z pełną prędkością.

28.

WIELKA FLOTA

Statek, który zarekwirowaliśmy, rozwijał mniej więcej tę samą prędkość, co większe ze ścigających nas jednostek, patrolowiec był jednak szybszy i niedługo stało się oczywiste, że w końcu nas przegoni.

Po pospiesznym przeglądzie statku, znalazłem ustawione w stojakach pod pokładem karabiny oraz niewielkie działka na dziobie i na rufie. Cała broń strzelała standardowymi pociskami wybuchowymi, które od wieków były powszechnie używaną na Marsie amunicją. Aby unieruchomić statek, wystarczyło bezpośrednie trafienie w jakikolwiek witalny element konstrukcji, a wiedziałem, że patrolowiec otworzy ogień, kiedy tylko wejdzie w zasięg ognia. Uświadomiwszy sobie, że Amhorianie nie dali się nabrać na moje kłamstwo, wyszedłem na pokład i stanąłem obok Ur Raja, ponagłając go, aby leciał szybciej.

– Statek doszedł już do kresu możliwości – powiedział – ale nadal są coraz bliżej. Nie wydaje mi się jednak, żebyśmy mieli powód do zmartwienia. Może nie zauważyłeś, ale kadłub jest dobrze chroniony, opancerzony zapewne lepiej niż innych, ponieważ używał go sam Jal Had. Mogliby nas zatrzymać tylko bezpośrednim trafieniem w przyrządy albo ster, chyba że zdołają podejść całkiem blisko i oddać salwę z burty, ale dzięki działkom powinno udać się nam tego uniknąć.

Janai i Bal Tab dołączyli do mnie na pokładzie i staliśmy w trójkę, obserwując doganiający nas stale patrolowiec.

– Patrzcie! – zawołała Janai. – Otworzyli ogień!

– Za krótki strzał, zresztą i tak by nie trafili – stwierdził Bal Tab.

– Ale zaraz wezmą poprawkę i ustawią odpowiednią odległość – zwiastowałem.

Kazałem im zejść pod pokład, ponieważ nie było sensu narażać bez potrzeby ich życia.

– Zawołam cię, kiedy wejdą w zasięg karabinów, Bal Tab – powiedziałem. – Możesz przynieść wtedy dwie lub trzy sztuki broni.

Poszedłem do działka na rufie i wycelowałem je w zbliżający się patrolowiec, kiedy kolejny pocisk eksplodował tuż za naszą rufą. Wymierzyłem starannie działko i wystrzeliłem.

– Świetnie! – rozległ się okrzyk Janai. – Trafiłeś za pierwszym razem!

Odwróciłem się i ujrzałem, że obydwójce z Bal Tabem klęczeli za mną. Chroniła nas osłona działka, ale nadal uważałem to za zbyt niebezpieczne. Nie dała się jednak odesłać na dół; Bal Tab również nie zamierzał schodzić pod pokład, chyba że po kolejne sztuki broni i większy zapas amunicji.

Choć trafiłem ścigający nas statek, strzał wyrządził najwyraźniej niewielkie szkody albo wręcz żadnych, ponieważ patrolowiec nie zwolnił ani nie przerwał ognia.

Niedługo zaczął odbijać lekko w prawo, prawdopodobnie zamierzając ustawić się w pozycji, z której mógł oddać do nas salwę z burty.

Oba statki prowadziły teraz nieprzerwany ostrzał, a od czasu do czasu jakiś pocisk trafiał, wybuchając, w kadłub lub osłonę działka. Ostrzegłem Ur Raja, żeby trzymał prosty kurs, gdybyśmy bowiem próbowali zwracać się stale do przeciwnika rufą, starając się stanowić jak najmniejszy cel, musielibyśmy zmienić kierunek lotu i dać się zepchnąć w szeroki łuk, przez co większe statki w końcu by nas dogoniły, a wtedy z pewnością zostalibyśmy zestrzeleni lub schwytani.

Pojedynek powietrzny trwał nieustannie, aż miasto zostało daleko w tyle. Pędziliśmy nad bezkresnym jałowym pustkowiem, po którym przetaczały się kiedyś potężne oceany Marsa, zamieszkanym teraz

wyłącznie przez zielonoskórych nomadów. Patrolowiec nie przestawał się zbliżać, a reszta pogoni wysunęła się nieco do przodu, co wskazywało, że statki były nieco szybsze od naszego. Patrolowiec powoli zrównywał się z nami, ale zachowywał sporą odległość. Strażnicy przestali strzelać, sygnalizując teraz, żebyśmy się poddali, ale w odpowiedzi zwróciliśmy na nich z Bal Tabem oba działka. Odpowiedzieli ogniem, oddając salwę z wszystkich dział. Wciągnąłem Janai za osłonę działa, ale Bal Tab nie miał tyle szczęścia. Widziałem, jak wyprostował się na całą wysokość i wypadł do tyłu przez burtę.

Żałowałem jego śmierci, nie tylko dlatego, że w ten sposób uszczupliły się nasze siły, ale również dlatego, że straciłem oddanego towarzysza i świetnego wojownika. Zginął jednak, a pograżanie się w żalu po nim nic by nam w tej chwili nie dało. Odszedł, jak chciał, w walce; a jego ciało spoczęło tam, gdzie pragnął, na żółtawym mchu porastającym dno wyschniętego morza.

Pociski uderzały stale o opancerzone burty statku i osłonę działa, za którą się schroniliśmy. Ur Raj był dość bezpieczny w opancerzonej solidnie kabinie pilota.

Wyglądało na to, że o ile tylko pozostalibyśmy za osłoną, nic nam nie groziło. Nie wiedziałem jednak, jak długo opancerzone burty statku mogły opierać się gradowi eksplodujących nieprzerwanie pocisków.

Ściągnąwszy na siebie uwagę Ur Raja, zasygnalizowałem, żeby wzbił się wyżej i spróbował wejść nad patrolowiec, ponieważ gdyby udało się nam ostrzelać go z góry, mielibyśmy szansę unieruchomić go.

Kiedy zaczęliśmy się wznosić, Ur Raj zawołał mnie i skinął ręką w przód. Moim oczom ukazał się widok, który niemal zaparł mi dech w piersiach. Daleko w górze, prawie nad nami, zbliżała się flota wielkich okrętów, których nie zauważyliśmy, pochłonięci walką.

Sądząc po ich liczbie i wielkości, nabrałem przekonania, że nie pochodziły z Amhor, ale z dołu nie mogłem odczytać insygniów

na dziobach statków ani zobaczyć barw łopocących na nadbudówkach. Mimo to, bez względu na to, jakie państwo reprezentowała flota, nie mogło czekać nas z jej strony nic gorszego niż z rąk Amhorian, poleciłem więc Ur Rajowi, aby leciał dalej w jej kierunku, próbując ustawić się między okrętami a patrolowcem w nadziei, że ten będzie wolał wstrzymać ogień niż ryzykować trafienie jednej z jednostek floty, której działa mogły zniszczyć go w jednej chwili. Nie przeliczyłem się w tych rachubach, ponieważ pościg przestał do nas strzelać, choć nadal leciał za nami.

Zbliżyliśmy się szybko do okrętu idącego na czele floty. Widziałem ludzi wyglądających w naszą stronę przez burzę, a niedługo wielki statek zwolnił.

Kiedy podeszliśmy do niego od strony dziobu, Ur Raj zawołał nagle przejętym głosem:

– To flota Helium! Teraz również ujrzałem insygnia statku i serce podskoczyło we mnie z radości, ponieważ wiedziałem, że Janai była uratowana.

Obwołali nas, wzywając, byśmy podali swoje imiona.

– Padwar floty Helium, Ur Raj z Hastor – odpowiedziałem – oraz dwoje przyjaciół. Uciekamy z niewoli w Amhor.

Kazali nam wejść na pokład, na co Ur Raj przeleciał nad relingiem i posadził nasz statek na szerokim pokładzie okrętu.

Oficerowie i żołnierze przyglądali mi się w zdumieniu, kiedy zeskoczyłem na deski i pomogłem zejść Janai. Po chwili dołączył do nas Ur Raj.

Tymczasem patrolowiec z Amhor najwyraźniej odkrył, skąd przybyła flota, ponieważ zawrócił i pędził z powrotem w stronę reszty pościgu. Niedługo wszystkie ścigające nas statki ruszyły z powrotem pełną mocą w stronę Amhor, ponieważ wiedzieli, że Ur Raj pochodził z Helium, i bali się odwetu za trzymanie go w niewoli.

Całą naszą trójkę zaprowadzono przed dowódcę, którego Ur Raj przekonał bez trudu o swojej tożsamości.

– A co z tą dwójką? – zapytał oficer, wskazując Janai i mnie.

– Jestem przyjacielem Vor Daja, podobnie jak ta dziewczyna, Janai – odpowiedziałem. – Służyłem też wiernie Johnowi Carterowi. Ucieszy się, kiedy usłyszy, że żyję i mam się dobrze.

– Nazywasz się Tor-dur-bar? – zapytał oficer.

– Tak, ale skąd to wiesz?

– Ta flota wyruszyła do Amhor na poszukiwanie ciebie i dziewczyny.

– Ale skąd u licha mogliście wiedzieć, że tam jesteśmy? – zapytałem zdumiony.

– To proste. Lecieliśmy do Morbus, z Johnem Carterem i ras Thavasem na pokładzie. Wczoraj, przelatując nad Mokradłami Toonol ujrzeliśmy czerwonego człowieka ściganego przez dzikich ludzi. Mieli go już dopaść, kiedy zrzuciliśmy bombę między ich czoła, rozpraszając je. Następnie zesliśmy niżej i zabraliśmy go na pokład. Twierdził, że na imię miał Pandar i uciekał z Morbus, a kiedy John Carter wziął go na spytki, usłyszał, że ty i dziewczyna zostaliście ujęci przez statek z Amhor. Natychmiast dostaliśmy rozkaz, aby lecieć wam na ratunek do Amhor.

– Przybyliście w samą porę – oznajmiłem. – Ale powiedz, czy John Carter i Ras Thavas żyją?

– Owszem, są na pokładzie „Ruzaara”.

Zawsze szczyliłem się tym, że panuję nad emocjami, ale słysząc ostateczny dowód na to, że John Carter i Ras Thavas żyli, omal nie pękłem z radości. Po długich miesiącach zwątpienia i niepewności, poczucie ulgi omal mnie nie złamało, ale odzyskałem panowanie nad sobą i po chwili kolejne wątpliwości podniosły swoje szpetne oblicze. Owszem, John Carter i Ras Thavas żyli, ale czy ciało Vor Daja nadal istniało? A jeśli tak, to czy można było je odzyskać?

POWRÓT DO MORBUS

Niedługo zostaliśmy przeniesieni na „Ruzaara”, gdzie zostałem ciepło przywitany przez Johna Cartera i Ras Thavasa.

Kiedy opowiedziałem moją historię, a Ur Raj zapewnił, że w Amhor nie zostali żadni więźniowie z Helium, John Carter rozkazał flocie zawrócić i ruszyć znów w stronę Morbus.

Ras Thavas był mocno zatroskany, kiedy opowiedziałem mu o zdarzeniu w sali numer 4 i jego skutkach.

– To źle, bardzo źle – powiedział. – Możliwe, że nigdy nie uda nam się tego powstrzymać. Miejmy nadzieję, że twór nie dotarł jeszcze do ciała Vor Daja.

– Nawet o tym nie wspominaj! – zawołała Janai. – Musimy go uratować!

– To po niego wróciłem z tą flotą – oznajmił John Carter. – I możesz być pewna, że nie wrócę bez niego, o ile nie zginął.

Pełen obaw, spytałem go o stan zdrowia Dejah Thoris.

– Dzięki Ras Thavasowi wróciła do pełni zdrowia – odpowiedział. – Najwięksi lekarze Helium poddali się już, ale nasz cudotwórca ją uzdrowił.

– Trafiliście na jakieś kłopoty w drodze z Morbus?

– Niemal wyłącznie. Cała droga od Morbus do Phundahl była nieprzerwaną walką z insektami, zwierzętami, gadami i dzikimi ludźmi. Na zawsze pozostanie tajemnicą, w jaki sposób udało nam się przeżyć i przedrzeć na skraj bagien, ale Dur-dan i Ras Thavas okazali się dobrze radzić sobie z bronią i prawie udało nam się dotrzeć do statku, nie tracąc

nikogo. Na dzień przed znalezieniem statku, Dur-dan zginął w potyczce z jakimiś dzikusami, ostatnimi spotkanymi na bagnach. Podróż od Morbus do Phundahl zajęła nam lwią część czasu, ale rzecz jasna musieliśmy też zatrzymać się na jakiś czas w Helium, podczas gdy Dejah Thoris przechodziła kurację. Byłem przekonany, że jakoś sobie poradzisz – jesteś silny, inteligentny i zaradny. Obawiam się jednak, że moja pewność byłaby mocno zachwiana, gdybym wiedział o tym, co zaszło w kadzi numer 4.

– To straszna katastrofa – powiedziałem. – Możliwe że na skalę światową. Nie widziałeś jeszcze nigdy czegoś tak przerażającego. Nie da się walczyć z tym tworem, ponieważ nawet jeśli potniesz go na kawałki, nie przestaje rosnąć i rozprzestrzeniać się.

Tego wieczora, przechadzając się po pokładzie, ujrzałem Janai, stojącą samotnie przy relingu. Wiedząc, że musiałem wydawać się jej odpychający, nie narzucałem się jej ze swoim towarzystwem, ale tym razem zatrzymała mnie.

– Zastanawiam się, czy kiedykolwiek podziękowałam ci stosownie za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, Tor-dur-barze?

– Nie zależy mi na podziękowaniach – oświadczyłem. – Wystarczy, że służyłem tobie i Vor Dajowi.

Zmierzyła mnie uważnym spojrzeniem.

– Jeśli nie odzyskamy ciała Vor Daja, co będzie to dla ciebie oznaczać?

– Utratę przyjaciela – odpowiedziałem.

– Gdzie będziesz wtedy żył? W Helium?

– Nie wiem, czy w ogóle będę chciał żyć.

– Dlaczego?

– Ponieważ na całym świecie nie ma miejsca dla tak szkaradnego monstrum jak ja.

– Nie mów tak – powiedziała miłym głosem. – Nie jesteś szkaradny, ponieważ masz dobre serce. Na początku, zanim poznałam cię lepiej,

wydawałeś mi się odrażający, ale teraz dostrzegam tylko piękno i szlachetność twojego charakteru, przyjacielu.

To było słodkie z jej strony i powiedziałem jej o tym, ale w niczym nie zmieniło faktu, że byłem tak szkaradny, iż z całą pewnością wiedziałem, że zgadzając się lecieć do Helium, byłbym stale postrachem kobiet i dzieci.

– Cóż, myślę, że w Helium twój wygląd będzie miał niewielkie znaczenie, ponieważ jestem przekonana, że znajdziesz tam wielu przyjaciół

– powiedziała. – Ale co stanie się ze mną, jeśli nie uratujemy Vor Daja?

– O to nie musisz się bać. John Carter zajmie się tym.

– Ale John Carter nie ma wobec mnie żadnych zobowiązań – obstawała przy swoim.

– Niemniej zajmie się tobą.

– A czy ty będziesz mnie odwiedzał, Tor-dur-barze?

– Skoro tego chcesz – powiedziałem, choć wiedziałem, że Tor-dur-bar nie ujrzy nigdy Helium.

Przez chwilę przyglądała mi się w milczeniu spokojnym wzrokiem, po czym oświadczyła:

– Wiem o czym myślisz! Nie przylecisz do Helium w tej postaci, ale skoro wrócił Ras Thavas, mógłby znaleźć ci nowe ciało, jak zrobił przecież dla tylu mniej godnych hormadów?

– Może i tak, ale skąd je wziąć?

– Mamy ciało Vor Daja – powiedziała szeptem.

– Chcesz powiedzieć, że chciałabyś, aby mój mózg znalazł się w jego ciele?

– Dlaczego nie? To ty byłeś dla mnie najlepszym i najwierniejszym przyjacielem. Sytor powiedział mi, że mózg Vor Daja został zniszczony. Możliwe, że tak się stało. O ile to prawda, to kłamał na pewno, twierdząc, że to ty kazałeś go zniszczyć. Znam cię lepiej i wiem, że nie skrzywdziłbyś w ten sposób przyjaciela. Gdyby jednak jakimś zrzędzeniem losu został zniszczony, czy mogłabym wyobrazić sobie lepsze rozwiązanie niż

przeniesienie mózgu najlepszego przyjaciela do ciała człowieka, którego tak bardzo podziwiałam?

– Ale czy nie powtarzałybyś stale w duchu, że to ciało ma mózg hormady? Że to nie Vor Daj, a istota wyrosła z laboratoryjnej kadzi?

– Nie – odparła. – Nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie. Nie wydaje mi się, abym miała problemy z przekonaniem samej siebie, że mózg i ciało stanowią jedność. Zresztą, wręcz przeciwnie, trudno byłoby mi wyobrazić sobie, że mózg ożywiający ciało Tor-dur-bara począł się w kadzi z oślizłej, zwierzęcej tkanki.

– Gdyby Ras Thavas znalazł dla mnie ładne ciało, Vor Daj z pewnością zyskałby rywala – rzuciłem żartobliwie.

Obrzuciła mnie zagadkowym spojrzeniem.

– Nie sądzę – odpowiedziała. Zastanawiałem się, co miała na myśli.

Nie mogła przecież domyślać się prawdy, ponieważ niewyobrażalne było, aby jakikolwiek człowiek pozwolił przenieść swój mózg do ciała hormady. Czyżby chciała przez to powiedzieć, że nikt nie mógł rywalizować z Vor Dajem?

Zapadła noc, kiedy zbliżyliśmy się do Mokradeł Toonol. Wielka flota przemierzała majestatycznie niebo nad Phundahl; oświetlone miasto lśniło w mroku pod nami, ale żaden patrolowiec nie zapuścił się w górę, żeby nas wypytać. Nasze statki były oświetlone i musiały być widoczne na długo, zanim znaleźliśmy się nad miastem, ale Phundahl, dysponując niewielką liczbą statków powietrznych, nie mogło rzucić wyzwania tak potężnej flocie. Potrafiłem wyobrazić sobie, jak jego władca odetchnął spokojnie, kiedy rozplynęliśmy się w ciemności na wschodzie.

KONIEC DWÓCH ŚWIATÓW

Bezludne bagienne pustkowia Toonol, nad którymi lecieliśmy tej nocy, nabrały w ciemności niezwykłego, dziwnego piękna i aury tajemnicy. Niezliczone gwiazdy, widoczne w rzadkiej atmosferze Marsa, odbijały się w wodzie, a mknące po niebie księżyce rysowały się odbiciem w nieruchomych lagunach lub spowijały skaliste wysepki miękkim blaskiem, zmieniającym je w wyspy czarów.

Tu i ówdzie widać było ogniska dzikich ludzi i do naszych uszu docierały cicho stłumione przez odległość zawodzące barbarzyńskie pieśni oraz dudnienie bębnow, przerywane co jakiś czas rykiem lub wrzaskiem dzikiego zwierzęcia.

– Ostatnie resztki wielkich oceanów – powiedział John Carter, który przyłączył się do mnie przy relingu. – Kiedy w końcu znikną, będzie to bez wątpienia oznaczać koniec tego świata, a Mars będzie pędził wiecznie w próżni niezamieszkaną nawet przez cienie dawnej świetności.

– Myśl o tym napawa mnie smutkiem – powiedziałem.

– Mnie również – odrzekł.

– Mógłbyś przecież wrócić na Ziemię – przypomniałem. Uśmiechnął się.

– Nie sądzę, żeby któryś z nas musiał martwić się końcem Marsa, przynajmniej przez następny milion lat.

Roześmiałem się.

– Nie wiem dlaczego, kiedy opowiadałeś o tym, zdawało się, jakby koniec był bardzo blisko.

– Z perspektywy czasu, istotnie nie jest zbyt daleki – odparł. – To płytkie bagno w dole, to wszystko, co zostało z potężnych oceanów, które pokrywały kiedyś większość planety. Na Ziemi, wody zakrywają ponad trzy czwarte globu, miejscami osiągając głębokość ponad pięciu mil, a jednak ostatecznie czeka ją ten sam los. Góry zostaną zmyte do mórz, morza wyparują, a pewnego dnia wszystkim, co zostanie po wielkich oceanach, będą kolejne słone bagna na jałowym pustkowiu w miejscu, gdzie teraz przetaczają się fale Oceanu Spokojnego.

– Napawasz mnie smutkiem – powiedziałem.

– A zatem nie przejmujemy się tym – roześmiał się. – Musimy rozważyć o wiele ważniejsze sprawy niż koniec dwóch światów. Los przyjaciela jest ważniejszy od losów planety. Co zrobisz, jeśli nie uda nam się odzyskać twojego ciała?

– Nie wrócę do Helium w tej postaci – odpowiedziałem.

– Nie dziwię ci się. Trzeba będzie znaleźć ci inne ciało.

– Nie – oznajmiłem. – Dużo nad tym myślałem i podjąłem ostateczną decyzję. Jeśli moje ciało uległo zniszczeniu, unicestwię również to ciało, a z nim mój mózg. Oczywiście, istnieją inne ciała, o wiele lepsze od mojego, ale przywiązałem się do niego na tyle silnie, że nie chciałbym mieszkać w cudzym.

– Nie podejmuj zbyt pochopnych decyzji, Vor Daju.

– Tor-dur-barze, mój książę – poprawiłem.

– Po co ciągnąć tę maskaradę? – zapytał.

– Ponieważ ona nie wie.

Skinął głową.

– Sądzisz, że to miałoby dla niej jakieś znaczenie?

– Obawiam się, że nigdy nie zapomni tego odczłowieczoności ciała i twarzy, i zawsze będzie zastanawiać się, czy mózg również nie należał do hormady, choćby spoczywał w czaszce Vor Daja. Poza tobą i Ras

Thavasem, księżę, nikt tego nie wie. Błagam cię, abyś nigdy nie wyjawiał jej prawdy.

– Jak sobie życzysz – stwierdził. – Choć jestem przekonany, że popełniasz błąd. O ile zależy jej na tobie, to nie będzie to miało dla niej znaczenia; gdyby zaś nie zależało, nie będzie miało znaczenia dla ciebie.

– Nie – oświadczyłem. – Chcę zapomnieć o Tor-dur-barze i stanowczo chciałbym, żeby ona również o nim zapomniała.

– Ale tak się nie stanie, ponieważ z tego, co mi powiedziała, darzy go mocnym uczuciem! To groźny rywal dla Vor Daja! – powiedział.

– Nie mów tak, proszę. Sama myśl jest odpychająca.

– To charakter tworzy człowieka, a nie glina, która jest dla niego mieszkaniem – stwierdził John Carter.

– Nie, przyjacielu – odpowiedziałem. – Żadne mądrości nie sprawią, że Tor-dur-bar stanie się odpowiednim małżonkiem dla czerwonej kobiety, a już zwłaszcza dla Janai.

– Może i masz rację, ale czuję, że po poświęceniu, na jakie się dla niej zdobyłeś, należy ci się lepsza nagroda niż śmierć z własnej ręki.

– Cóż, jutro wszystko się rozstrzygnie – stwierdziłem. – A tymczasem widzę nad horyzontem pierwsze pasmo świtu.

Dumał w milczeniu przez kilka chwil, po czym powiedział:

– Możliwe, że dotarcie do celi 3-17 i ciała Vor Daja to najmniejsze z trudności, jakie nas czekają. Bardziej martwi mnie możliwość, że twój z sali nr 4 mógł opanować już cały budynek, praktycznie uniemożliwiając dotarcie do prywatnego laboratorium Ras Thavasa, gdzie znajdują się przyrządy potrzebne do operacji przeniesienia mózgu z powrotem do twojego ciała.

– Przewidziałem to – odpowiedziałem – i podczas ucieczki przeniosłem cały potrzebny sprzęt do celi 3-17.

– Świetnie! To wielka ulga! Obaj z Ras Thavasem martwiliśmy się o to. On jest zdania, że dotarcie do jego prywatnego laboratorium okaże się

praktycznie niemożliwe. Uważa, że trzeba będzie zniszczyć całe miasto, aby powstrzymać rozrost tego tworu.

Kiedy zbliżaliśmy się do Morbus, był już dzień. Wszystkie okręty poza „Ruzaarem” z nami na pokładzie, wysłano aby okrążyły wyspę i stwierdziły, dokąd dotarł twór z kadzi numer 4.

„Ruzaar” zszedł na pułap kilku jardów, lecąc w stronę wysepki, gdzie znajdował się tunel prowadzący do celi 3-17. Kiedy zbliżaliśmy się do wylotu tunelu, naszym oczom ukazał się koszmarny widok. Masa skłębionej, drżącej tkanki rozlała się z głównej wyspy przez wodę, a teraz pokrywała całkowicie wysepkę z ukrytym przejściem. Szkaradne głowy patrzyły na nas w górę, wrzeszcząc wyzywająco; dłonie wyciągały się daremnie, próbując nas chwycić.

Szukałem wzrokiem wylotu tunelu, ale był zakryty przez wijący się twór. Serce we mnie zamarło, ponieważ byłem pewny, że twór znalazł wejście do tunelu i dotarł do celi z moim ciałem, ponieważ potrafił wcisnąć się w każdy otwór i podążał po linii najmniejszego oporu, dopóki nie trafił na barierę nie do pokonania.

Uchwyciłem się jednak kurczowo nadziei, że zamaskowałem wylot tunelu na tyle dobrze, aby twór nie zdołał dostać się do środka. Ale czy nawet wtedy mogliśmy mieć nadzieję, że uda nam się przebić do podziemi przez ten odpychający, koszmarny kordon?

John Carter stał przy relingu w otoczeniu najwyższych oficerów swojej straży. Ras Thavas, Janai i ja staliśmy obok. Z widoczną grozą wpatrywał się w owoc eksperymentów Ras Thavasa. Po pewnym czasie wydał oficerom rozkazy i dwóch z nich oddaliło się, żeby wcielić je w życie. Czekaliśmy w milczeniu, oniemieli pod wpływem wzbierającego w dole kosmaru, wrzeszczącego, gestykułującego i poruszającego bezgłośnie ustami.

Janai stała obok mnie. Chwyciła mnie zaraz za rękę. Po raz pierwszy dotknęła mnie z własnej woli.

– Co za okropność! – szepnęła. – To niemożliwe, żeby ciało Vor Daja przetrwało! Ten odrażający twór na pewno rozpełzł się już po wszystkich budynkach i dotarł poza mury miasta.

Potrząsnąłem głową. Nie miałem nic do powiedzenia. Ścisnęła mnie mocno za ramię.

– Obiecuj, że nie zrobisz nic lekkomyślnego, jeśli ciało Vor Daja uległo zniszczeniu, Tor-dur-barze.

– Nawet tak nie myślmy – odpowiedziałem.

– Ale musimy wziąć to pod uwagę, a ty musisz złożyć mi obietnicę. Potrząsnąłem głową.

– Prosisz o zbyt wiele. Nie mogę być szczęśliwy, dopóki jestem w ciele hormady. Wiedziałem, że właśnie się zdradziłem, ale wyglądało na to, że tego nie zauważyła. Stała tylko w milczeniu, wpatrzona w koszmar pod nami.

„Ruzaar” zaczął się wznosić i wzbijał się coraz wyżej, aż wszedł na pułap pięciuset czy sześciuset stóp, po czym zatrzymał się, wisząc nad dokładnie tą częścią wysepki, w której znajdowało się wejście do podziemi. Niedługo spadła bomba zapalająca. Twór zadrżał i wybuchł wrzaskiem, kiedy eksplodowała, rozrzucając na wszystkie strony płonąca zawartość.

Nie będę wdawał się w szczegółowy opis tego kosmaru, ale rzucaliśmy na niego bombę za bombą, aż w promieniu stu stóp od wylotu tunelu została tylko dymiąca masa zwęglonego mięsa. Wtedy „Ruzaar” zszedł bliżej powierzchni i opuszczono mnie na wyspę na linie, razem z Ras Thavasem i dwiema setkami wojowników uzbrojonych we włócznie i pochodnie, którymi od razu zaatakowali twór, zaczynający już odzyskiwać utraconą powierzchnię wyspy.

Z duszą na ramieniu zacząłem usuwać ziemię i kamienie, którymi zawałem wejście do tunelu. Nic nie wskazywało jednak na to, żeby coś się przez nie przedarło i wkrótce wejście ukazało się przede mną. Omal nie zawołałem głośno z radości, widząc że było puste.

Nie potrafię opisać, co czułem, idąc ponownie długim tunelem do celi 3-17. Czy moje ciało nadal tam było, całe i zdrowe? Wyobrażałem sobie wszelkiego rodzaju potworności, jakie mogły przydarzyć mu się podczas mojej długiej nieobecności. Omal nie puściłem się biegiem przez mrok, nie mogąc doczekać się poznania prawdy, aż wreszcie trzęsącymi się dłońmi uniosłem pokrywę nad wejściem do podziemi i po chwili stanąłem w celi.

Ciało Vor Daja leżało tam, gdzie je zostawiłem.

Niedługo dołączył do mnie Ras Thavas. Zauważyłem, że on również odetchnął z ulgą na widok przyrządów i nietkniętego ciała.

Nie czekając na jego polecenie, wyciągnąłem się na ersytowym blacie. Chirurg pochylił się nade mną, poczułem lekkie nacięcie i ukłucie bólu, po czym odpłynąłem w nieświadomość.

31.

KONIEC PRZYGODY

Otworzyłem oczy. Ras Thavas pochylał się nade mną. Obok mnie leżało ciało Tor-dur-bara. Do oczu napłynęły mi łzy ulgi i radości, jakiej jeszcze nie zaznałem w całym dotychczasowym życiu, nie tyle dlatego, że odzyskałem własne ciało, ale ponieważ mogłem złożyć je wreszcie u stóp Janai.

– Chodźmy, synu – powiedział chirurg. – Długo tu byliśmy, a twój z sali numer 4 kłębi się i zawodzi w korytarzu za drzwiami. Miejmy nadzieję, że nie uda mu się odzyskać utraconego terenu po drugiej stronie tunelu.

– Dobrze – odparłem. – Wracajmy jak najszybciej.

Zsunąłem się ze stołu i stanąłem wyprostowany na własnych nogach. Czuję się nieco odrętwiały. Nie umknęło to uwadze Ras Thavasa.

– Za chwilę ci przejdzie – powiedział. – Dość długo byłeś martwy. – Uśmiechnął się.

Stałem przez chwilę, patrząc na zdeformowane ciało hormady.

– Dobrze ci służyło – zauważył Ras Thavas.

– Owszem – przytaknąłem – a najlepsze, co mogę mu za to zaoferować, to wieczne zapomnienie. Zostawimy je tutaj, pogrzebane na zawsze w podziemiach budynku, gdzie po raz pierwszy poczuło życie. Żegnam się z nim bez najmniejszego żalu.

– Było bardzo silne i na ile rozumiem, dobrze władało mieczem – powiedział chirurg.

– Mimo to uważam, że poradzę sobie w życiu bez niego.

– Próżność, czysta próżność! – odparł głośno. – Ty, wojownik, zamieniłbyś ogromną siłę i niezrównaną rękę na przystojną twarz?

Widziałem, że kpi ze mnie, ale z chęcią pozwoliłbym się wyśmiewać ze mnie całemu światu, gdybym tylko mógł odzyskać w ten sposób własne ciało.

Pobiegliśmy z powrotem tunelem, a kiedy wyłoniliśmy się z niego na wyspie, wojownicy walczyli nadal z powracającym uparciem tworem. Od kiedy zesliśmy z pokładu „Ruzaara”, oddział był czterokrotnie luzowany. Przylecieliśmy wczesnym ranem, a teraz słońce miało zapaść za odległy horyzont, miałem jednak wrażenie, że od zejścia z pokładu minęło ledwie kilka chwil.

Wciągnięto nas zaraz z powrotem na pokład, gdzie omal nie zadusili nas, gratulując sukcesu.

John Carter położył mi dłoń na ramieniu.

– O los własnego syna nie troszczyłbym się bardziej niż o twój – powiedział.

Tylko tyle, ale znaczyło to dla mnie więcej niż całe tomy słów z ust kogoś innego. Zauważył zaraz, że wędrowałem wzrokiem po pokładzie, i na jego wargach pojawił się uśmiech.

– Gdzie ona jest? – zapytałem.

– Nie mogła znieść oczekiwania – odrzekł – i poszła położyć się w swojej kabinie. Lepiej idź tam i sam jej powiedz.

– Dziękuję, sir – powiedziałem i po paru chwilach zapukałem do drzwi kabiny Janai.

– Kto tam? – zapytała.

– Vor Daj – odpowiedziałem, po czym nie czekając na zaproszenie pchnąłem drzwi i wszedłem do środka.

Podniosła się i ruszyła w moją stronę, z otwartymi szeroko w niedowierzaniu oczami.

– To naprawdę ty? – zapytała.

– Owszem, ja – zapewniłem i podszedłem do niej. Chciałem wziąć ją w ramiona i powiedzieć, że kocham ją; ale wyglądało na to, że odgadła mój zamiar, ponieważ powstrzymała mnie gestem.

– Zaczekaj – powiedziała. – Zdajesz sobie sprawę, że prawie nie znam Vor Daja?

O tym nie pomyślałem, ale taka była prawda. Tor-dur-bara znała o wiele lepiej.

– Odpowiedz mi na jedno pytanie.

– Jakie? – zapytałem.

– Jak zginął Teeaytan-ov?

Poczułem się dziwnie. Co to miało wspólnego z nią czy ze mną?

– Zginął w korytarzu do celi 3-17, zabity przez jednego z hormadów podczas ucieczki z laboratorium – odpowiedziałem.

Błysnęła nagle śnieżnobiałym uśmiechem.

– Co chciałeś mi powiedzieć, kiedy cię zatrzymałam?

– Chciałem powiedzieć, że cię kocham, i spytać, czy jest jakakolwiek nadzieja, że odwzajemnisz moje uczucie.

– Prawie nie znam Vor Daja – oświadczyła. – Nauczyłam się kochać Tor-dur-bara, ale teraz znam prawdę, której domyślałam się od jakiegoś czasu i zdaję sobie sprawę z poświęcenia, na które byłeś dla mnie gotów.

Podeszła, objęła najdroższymi ramionami moją szyję i po raz pierwszy poczułem na ustach wargi ukochanej kobiety.

* * *

Przez dziesięć dni wielka flota krążyła nad Morbus, zasypując gradem bomb miasto, wyspę i monstrualny twór, który zaczął rozprzestrzeniać się na wszystkie strony, żeby pochłonąć świat. John Carter nie chciał odlatywać, dopóki ostatnie resztki tego koszmaru nie zostały całkowicie unicestwione. Ostatecznie okręty obrały jednak kurs na Helium i –

z krótkim przystankiem w Phundahl, aby odstawić Pandara do ojczyzny – poleciliśmy w stronę domu, a Janai i ja ku szczęściu, dla którego przeszliśmy razem koszmar.

Kiedy w oddali wyrosły przed nami olbrzymie wieże bliźniaczych miast, staliśmy we dwoje na dziobie „Ruzaara”.

– Powiedz, dlaczego spytałaś mnie, jak zginął Teeaytan-ov – zapytałem.
– Przecież wiedziałaś to równie dobrze jak ja.

– Głuptasie! – zawołała ze śmiechem. – Kiedy wróciliśmy z flotą do Morbus, Tor-dur-bar, Pandar i ja byliśmy jedynymi osobami, które przeżyły tamto starcie. Z tej trójki przed spotkaniem ze mną mogłeś widzieć tylko Tor-dur-bara. Dlatego, kiedy odpowiedziałeś prawidłowo, wiedziałam, że jego mózg przeniesiono do twojej czaszki. Tylko tyle chciałam wiedzieć, ponieważ to umysł nadawał Tor-dur-barowi charakter i szlachetność, które nauczyłam się kochać, i nie obchodzi mnie, do kogo pierwotnie należał. Nie będę pytać, jeśli nie zechcesz mi tego powiedzieć, ale przypuszczam, że należał do ciebie i kazałeś przenieść go do głowy hormady, aby móc mnie lepiej chronić przed Ay-madem.

– To mój mózg i należy do mnie – odpowiedziałem.

– Należał, chciałeś powiedzieć – roześmiała się. – Teraz bowiem jest mój.